

JULIAN BARNES
PAPUGA FLAUBERTA

przełożył Adam Szymanowski



CZYTELNIK Warszawa 1992

*Tytuł oryginału angielskiego
Flaubert's Parrot*

© *Julian Barnes 1984*

*Obwolutę, oprawę
i kartę tytułową projektował
Zbigniew Czarnecki*

*Redaktor
Marta Staszewska*

© *Copyright for the Polish edition
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik
Warszawa 1992
ISBN 83-07-02242-8*

Pat poświęcam

*Kiedy piszesz biografię przyjaciela, musisz robić
to tak, jakbyś brał za niego odwet.*

List Flauberta do Ernesta Feydeau, 1872 r.

SPIS TREŚCI

1. Papuga Flauberta
2. Chronologia
3. Szperacze-zbieracze
4. Bestiarium Flauberta
5. Pstryk!
6. Oczy Emmy Bovary
7. Przeprowadzenie przez Kanał
8. Przewodnik do Flauberta dla kolekcjonerów lokomotyw
9. Flaubertowskie apokryfy
10. Sprawa przeciwko
11. Wersja Luizy Colet
12. Słownik Braithwaite'a obiegowych wyobrażeń
13. Wyłącznie historia
14. Arkusz egzaminacyjny
15. A co z papugą

1. PAPUGA FLAUBERTA

Sześciu mężczyzn pochodzących z Afryki Północnej grało w kule pod pomnikiem Flauberta. Wyraźne stuknięcia kuli o kulę przebijały przez uliczny zgiełk. Końcowe, jakby ironiczne muśnięcie palcami i brunatna dłoń wyrzuca srebrzystą kulę. Kula pada, podskakuje ciężko i zbacza z prostego kursu, wzbijając ospały obłok gęstego pyłu. Rzucający zastyga na chwilę w wytworny posąg; kolana nie do końca wyprostowane, prawa ręka wyciągnięta w ekstatycznym geście. Zwróciłem uwagę na podwiniętą białą koszulę, obnażone przedramię i plamkę na nadgarstku. Nie był to zegarek, chociaż tak w pierwszej chwili pomyślałem, ani tatuaż, ale barwna kalkomania: oblicze politycznego mędrca podziwianego na pustyni.

Zacznijmy od pomnika: tego ponad nami, trwałego, wyzbytego elegancji, płaczącego miedzianymi łzami, w zwiotczalym krawacie, kanciasto wciśniętego w kamizelkę, w workowate spodnie, z przerzedzonym wąsem; rozważnego, wyniośle samotnego, przekazanego nam przez minioną epokę wizerunku człowieka. Flaubert nie odwzajemnia spojrzenia. Spogląda na południe z place des Carmes w stronę katedry, ponad miastem, którym pogardzał i które odpłaciło mu się, ogólnie rzecz biorąc, lekceważeniem. Głowa znajduje się na bezpiecznej wysokości: tylko gołębie mogą zobaczyć w pełni rozległość łysiny pisarza.

Ten posąg nie jest oryginalny. W 1941 r. pierwszego Flauberta zabrali Niemcy — razem z ogrodzeniami z siatki i kołatkami do drzwi. Może został przerobiony na odznaki wojskowe. Przez mniej więcej dziesięć lat cokolwiek był pusty. Potem mer Rouen, miłośnik pomników, odnalazł oryginalną matrycę gipsową — wykonaną przez Rosjanina o nazwisku Leopold Bernstamm — a rada miejska wyraziła zgodę na wykonanie nowego wizerunku. Rouen zakupiło z własnych funduszy odpowiedni stop, składający się w 93 procentach z miedzi i w 7 z cyny; Rudierowie, giserzy z Châtillon-sous-Bagneux, twierdzą, że takie proporcje dają gwarancję zabezpieczenia przed korozją. Dwa inne miasta, Trouville i Barentin, wniosły swój wkład w przedsięwzięcie i otrzymały w zamian posągi z betonu. Te sprawiły się gorzej. W Trouville trzeba było łątać Flaubertowi udo, a ponadto utracił sporo wąsów: pręty zbrojeniowe sterczą niby żyły z betonowych kosmyków na górnej wardze.

Być może należy dać wiarę zapewnieniom giserów, być może drugi odlew posągu okaże się trwały. Ale nie dostrzegam jakichś szczególnych podstaw do ufności. Ze wszystkiego, z czym miał styczność Flaubert, niewiele przetrwało. Umarł, z grubsza biorąc, ledwie sto lat temu, a pozostał po nim jedynie papier. Papier, myśli, zdania, metafory,

wypracowana proza, którą można zamienić w dźwięki. Tego właśnie pragnął; boleją nad tym tylko jego sentymentalni admiratorzy. Dom pisarza w Croisset zburzono wkrótce po jego śmierci i na tym miejscu wzniesiono gorzelnię wytwarzającą spirytus ze stęchłego zboża. Łatwo można by się pozbyć również posągu: skoro jeden miłujący pomniki mer mógł go postawić, inny — jakiś politykier z intelektualnymi pretensjami, który przeczytał po łebkach to, co o Flaubercie napisał Sartre — może go w przyływie gorliwości zwalić.

Zacząłem od posągu, gdyż tu właśnie tkwią korzenie mojego zamysłu. Dlaczego dzieło prowokuje nas do polowania na autora? Dlaczego nie możemy zostawić go w spokoju? Dlaczego nie wystarczą książki? Przecież sam Flaubert chciał, by liczyły się tylko one; niewielu pisarzy mocniej wierzyło w obiektywną wymowę samego tekstu, w to, że osobowość pisarza nie ma tu żadnego znaczenia; a jednak jesteśmy nieposłuszni i robimy swoje. Wizerunek, twarz, podpis; posąg odlany w 93 procentach z miedzi i fotografia z pracowni Nadara; strzęp ubrania i pukiel włosów. Co sprawia, że tak pożądamy relikwii? Czyżbyśmy nie dość wierzyli słowom? Czyżbyśmy sądzili, że okruchy życia zawierają jakąś pomocniczą prawdę? Kiedy umarł Robert Louis Stevenson, jego zaradna szkocka niania poczęła najzwyczajniej w świecie sprzedawać włosy, które — jak zapewniała — ucięła z głowy pisarza czterdzieści lat wcześniej. Wyznawcy, poszukiwacze, myśliwi kupili ich tyle, że wystarczyłoby do napchania sofy.

Postanowiłem zostawić sobie Croisset na później. Miałem pięć dni na Rouen, a odruch z dzieciństwa nadal każe mi zachowywać na koniec to, co najlepsze. Czy podobny impuls kieruje czasem pisarzami? Wytrzymaj, wytrzymaj, najlepsze jeszcze przed tobą? Jeśli tak, jakąż udrękę i prowokację dla wyobraźni stanowią nie dokończone książki! Dwie z nich natychmiast przychodzą na myśl: *Bouvard i Pécuchet*, gdzie Flaubert zamierzał zawrzeć cały świat, zgłębić wszystkie ludzkie dążenia i klęski, oraz *Uldiot de la familie*, gdzie Sartre starał się zmieścić całego Flauberta: podsumować go jako wielkiego pisarza, wielkiego mieszcza, wroga, mędrca i postrach społeczeństwa. Atak apopleksji przerwał pierwszy zamysł, ślepotą skróciła drugi.

Kiedyś sam myślałem o pisaniu książek. Miałem swoje pomysły; porobiłem nawet notatki. Ale byłem lekarzem, człowiekiem żonatym i dzieciatym. Dobrze można robić tylko jedną rzecz; Flaubert o tym wiedział. Dobrze spisywałem się jako lekarz. Moja żona... umarła. Moje dzieci rozpierzchnęły się już po świecie; piszą, kiedy poczują wyrzuty sumienia. Każde z nich ma naturalnie swoje własne życie. „Życ, żyć! Bez ustanku mieć wzwód!” [1]. Któregoś dnia przeczytałem ten

Flaubertowski okrzyk. Poczułem się jak kamienny posąg z załatanym prawym udem.

Nie napisane książki? Bez urazy. I tak jest już za dużo książek. Poza tym pamiętam zakończenie *Szkoły uczuć*. Fryderyk i jego kolega Deslauriers spoglądają wstecz na swoje życie. Ostatnie, ulubione wspomnienie to wizyta w burdelu w czasach, kiedy byli jeszcze uczniami. Zaplanowali wyprawę ze wszystkimi szczegółami, specjalnie ufryzowali włosy na tę okazję i nawet ukradli kwiaty dla dziewcząt. Ale kiedy weszli do burdelu, Fryderyk stracił zimną krew i uciekli. To był najlepszy dzień w ich życiu. Czyż najbardziej godną zaufania formą rozkoszy, sugeruje Flaubert, nie jest zatem rozkosz antycypowana? Czyż koniecznie trzeba wtargnąć na opustoszały strych spełnienia?

Pierwszy dzień spędziłem na włóczędździe po Rouen, próbując się zorientować, któredy maszerowałem w 1944 r. Rzecz jasna, znaczne obszary zostały wówczas zbombardowane i ostrzelane; po czterdziestu latach nie skończyli jeszcze łątać katedry. Niewiele znalazłem rzeczy, które pozwoliłyby podkolorować jednobarwne wspomnienia. Następnego dnia pojechałem samochodem do Caen i dalej na północ ku wybrzeżu. Trzeba się trzymać serii wyblakłych blaszanych znaków ustawionych przez Ministère des Travaux Publics et des Transports. Tędy w stronę Circuit des Plages de Débarquement: turystyczny objazd miejsca desantu. Na wschód od Arromanches położone są plaże brytyjskie i kanadyjska — Złoto, Juno, Miecz. Nie wysilono nadmiernie wyobraźni przy wymyślaniu nazw; o ileż mniej pamiętne niż Omaha albo Utah. Chyba że to dzięki wydarzeniom słowa zapadają w pamięć, nie zaś na odwrót.

Graye-sur-Mer, Courseulles-sur-Mer, Ver-sur-Mer, Asnelles, Arromanches. Wędrując wąskimi bocznymi uliczkami, nagle wychodzi się na Plac Królewskich Saperów albo W. Churchilla. Rdzewiejące czołgi pełnią straż nad kabinami na plaży; pamiątkowe płyty w kształcie kominów okrętowych głoszą po angielsku i francusku: „W tym miejscu dnia 6 czerwca 1944 r. Europa została wyzwolona dzięki bohaterstwu wojsk sprzymierzonych”. Jest tu bardzo spokojnie, ani śladu grozy. W Arromanches wsunąłem dwie jednofrankowe monety do wnętrza Télioscope Panoramique (Très Puissant 15/60 Longue Durée) i śledziłem wygięty kształt Mulberry Harbour, sięgający daleko w morze. Kropka, kreska, kreska, kreska — nadawały betonowe kesony, między którymi chlupotała bez pośpiechu woda. Kwadratowe głązy, pozostałość po wojnie, zostały skolonizowane przez kormorany.

Zjadłem obiad w Hôtel de la Marine, wychodzącym na morze. Byłem blisko miejsca, gdzie zginęli moi przyjaciele — w tamtych latach

przyjaźnie szybko się zawiązywały — a jednak nie czułem wzruszenia. 50 Dywizja Pancerna, Druga Armia Brytyjska. Wspomnienia dobywają się ze swoich skrytek, ale wzruszenia — nie; nie ma nawet wspomnienia wzruszeń. Po lunchu poszedłem do muzeum i obejrzałem film o lądowaniu, potem pojechałem dziesięć kilometrów do Bayeux, by obejrzyć inną inwazję przez Kanał, o dziewięć wieków wcześniejszą. Gobelin królowej Matyldy jest niby poziomy film, którego klatki stykają się ze sobą. Oba wydarzenia robią jednakowo dziwaczne wrażenie: jedno zbyt dawne, by mogło być prawdziwe, drugie zbyt swojskie, by mogło być prawdziwe. W jaki sposób obejmujemy umysłem przeszłość? Czy to w ogóle możliwe? Kiedy byłem studentem medycyny, podczas potańcówki na zakończenie semestru paru figlarzy wpuściło do sali nasmarowane tłuszczem prosię. Plątało się pod nogami, wymykało z rąk, kwiczało jak najęte. Ludzie rzucali się na nie, próbując je schwycić, a skutek był tylko taki, że się ośmieszali. Wygląda na to, że przeszłość zachowuje się zawsze jak to prosię.

Trzeciego dnia pobytu w Rouen poszedłem do Hôtel-Dieu, szpitala, gdzie ojciec Gustawa był naczelnym chirurgiem i gdzie pisarz spędził dzieciństwo. Aleją Gustawa Flauberta, na tyłach Imprimerie Flaubert i snack-baru noszącego nazwę Le Flaubert: człowiek czuje, że podąża we właściwym kierunku. W pobliżu szpitala zaparkowany był duży biały ambulans marki peugeot; widniały na nim niebieskie gwiazdy, numer telefonu i napis AMBULANCE FLAUBERT. Pisarz jako uzdrowiciel? To mało prawdopodobne. Przypomniałem sobie macierzyńskie napomnienie, jakiego młodszemu koledze udzieliła George Sand. „Ty dajesz rozpacz — napisała — a ja niosę pociechę.” Na peugeotcie powinno być napisane AMBULANCE GEORGE SAND.

W Hôtel-Dieu przywitał mnie ponury, znerwicowany gardien, którego biały fartuch wprowadził mnie w zdumienie. Nie był lekarzem, pharmacien ani sędzią krykietowym. Biały fartuch oznacza aseptyczność i czyste sędziowanie. Czemuż muzealny woźny miałby nosić taki fartuch — żeby chronić dzieciństwo Gustawa od mikrobów? Wyjaśnił, że muzeum poświęcone jest częściowo Flaubertowi, a częściowo historii medycyny, i pośpiesznie oprowadził mnie po zbiorach, z hałaśliwą skutecznością zamykając za nami drzwi. Pokazano mi pokój, gdzie Gustaw się urodził, buteleczkę wody kolońskiej, słoiczek na tytoń i pierwszy artykuł w periodyku. Różne wizerunki pisarza potwierdziły, że paskudnie szybko przebył drogę od przystojnego młodzieńca do brzuchatego, łysiejącego mieszczucha. Syfilis — mówią jedni. Zwykle dziewiętnastowieczne starzenie się — powiadają inni. A może po prostu jego ciało miało wyczucie harmonii: kiedy umysł oznajmił, że jest

przedwcześnie dojrzały, ciało zrobiło, co mogło, żeby nie zostać w tyle. Przypominałem sobie, że był blondynem. Trudno powiedzieć: na fotografii każdy wygląda jak brunet.

W pozostałych salach umieszczono instrumenty medyczne z osiemnastego i dziewiętnastego wieku: ciężkie metalowe zabytki o spiczastych zakończeniach, gruszki do lewatywy o rozmiarach, które nawet mnie wprawiły w osłupienie. Medycyna musiała być wtedy zajęciem nader ekscytującym, desperackim i uciekającym się do gwałtu; dzisiaj to tylko pigułki i biurokracja. A może po prostu przeszłość ma więcej lokalnego kolorytu niż teraźniejszość? Przestudiowałem pracę doktorską brata Gustawa, Achillesa; nosi tytuł „Garść uwag o wyborze momentu operacji w przypadku zawężonej przepukliny”. Braterska paralela: rozprawa Achillesa stała się później dla Gustawa metaforą. „Czuję wobec głupoty moich czasów przypływ nienawiści, który mnie dławi. Gównno podchodzi mi do ust jak w przypadku zawężonej przepukliny. Ale chcę je zatrzymać, unieruchomić, utwardzić; chcę wymyślić lepsze, którym pokryję dziewiętnasty wiek w taki sam sposób, w jaki maluje się hinduskie pagody krowim łajnem.”

Połączenie tych dwóch muzeów wydawało się zrazu czymś dziwnym. Nabrało sensu, kiedy przypomniałem sobie sławny rysunek Lemota przedstawiający Flauberta w trakcie przeprowadzania sekcji Emmy Bovary. Pokazuje pisarza wymachującego ogromnym widelcem, na który nabił ociekające krwią serce wydarte triumfalnie z ciała bohaterki. Potrząsa nad głową tym organem, jakby to był eksponat nagrodzony na wystawie chirurgicznej, podczas gdy po lewej stronie rysunku widać stopy leżącej, zbezczeszczonej Emmy. Pisarz jako rzeźnik, pisarz jako wrażliwe bydło.

Wtedy zobaczyłem papugę. Siedziała sobie w małej niszy, jaskrawozielona i żwawooka, z głową pochyloną, jakby chciała o coś zapytać. „Psittacus — głosił napis na końcu żerdki — Papuga wypożyczona przez G. Flauberta z muzeum w Rouen i stojąca na jego biurku, kiedy pisał *Prostotę serca*, gdzie nazwana została Lulu; papuga Felicyty, głównej bohaterki opowiadania.” Fotokopia listu Flauberta potwierdzała ten fakt: papuga stała na jego biurku od trzech tygodni, pisał, i jej widok zaczął już go irytować.

Lulu była w doskonałej formie, pióra zapewne równie nastroszone i oczka równie irytujące jak sto lat wcześniej. Wpatrywałem się w ptaka i ku mojemu zdumieniu poczułem dojmującą bliskość pisarza, który wzgardliwie zabronił potomnym interesować się choćby w najmniejszym stopniu swoim życiem osobistym. Jego posąg był duplikatem; jego dom zburzono; jego książki żyły oczywiście własnym

życiem — lecz odbiór dzieła literackiego to nie kontakt z pisarzem jako człowiekiem. I oto tutaj, w tej nie mającej w sobie nic nadzwyczajnego papudze, zachowanej w sposób rutynowy i zarazem tajemniczy, było coś, co sprawiło, że poczułem się, jakbym prawie znalazł pisarza. Byłem tym poruszony i uradowany.

Wracając do hotelu kupiłem szkolne wydanie *Prostoty serca*. Może znacie tę powiastkę. Mówi o biednej i niewykształconej posługaczce imieniem Felicycy, która służy u tych samych ludzi przez pół wieku, bez urazy poświęcając swe życie innym. Przywiązuje się kolejno do szorstkiego narzeczonego, do dzieci pani, do siostrzeńca, do starca, któremu wrzód toczy rękę. Los wszystkich jej zabiera: umierają, wyjeżdżają albo po prostu zapominają o niej. Nic więc dziwnego, że smutek podobnej egzystencji szuka pociechy w religii.

Ostatnim ogniwem coraz to krótszego łańcucha uczuciowego Felicycy jest papuga Lulu. Kiedy, naturalną kolejną rzeczą, papuga zdycha, Felicycy oddaje ją do wypchania. Nie rozstaje się z ukochanymi szczątkami i w końcu, odmawiając pacierz, zaczyna przed nimi klękać. W jej prostym umyśle powstaje doktrynalny zamęt: zastanawia się, czy Duch Święty, stereotypowo przedstawiany w postaci gołąbka, nie prezentowałby się lepiej jako papuga. Bez wątpienia logika jest po jej stronie: zarówno papuga, jak i Duch Święty potrafią mówić, podczas gdy gołąb — bynajmniej. Na zakończenie opowieści umiera także sama Felicycy. „Na jej wargach był uśmiech. Rytm serca stopniowo słabł, tracił wyrazistość, omdlewał jak wysychająca fontanna lub zanikające echo; a kiedy wydawała ostatnie tchnienie, zdało się jej, że otwierają się dla niej niebiosy i że widzi ogromną papugę unoszącą się nad jej głową.”

Żywotne znaczenie ma tu pełen umiaru ton. Proszę sobie tylko wyobrazić, jakie techniczne trudności nasuwa napisanie opowieści, w której niechlujnie wypchany ptak o śmiesznym imieniu zajmuje w zakończeniu miejsce trzeciej osoby Trójcy i w której intencja autora nie jest zgoła satyryczna, sentymentalna ani bluźniercza. Proszę sobie następnie wyobrazić, że tę historyjkę trzeba opowiedzieć z punktu widzenia ciemnej starej kobiety, i to tak, żeby nie brzmiała protekcjonalnie ani czułościowo. Ale też zamysł *Prostoty serca* jest całkiem inny: papuga to przykład doskonałej i świadomie zastosowanej Flaubertowskiej groteski.

Możemy, jeśli mamy ochotę (i jeśli zdecydujemy się być nieposłuszni wobec Flauberta), poddać ptaka dodatkowej interpretacji. Na przykład są tu ukryte analogie między życiem przedwcześnie postarzałego powieściopisarza i w stosownym wieku postarzałej Felicycy. Krytycy zaczęli myszkować. Oboje byli samotni; życie obojga było naznaczone

stratą bliskich; chociaż oboje przepętniał żal, żadne się nie poddało. Ci, którzy skłonni są pójść dalej w takich rozważaniach, sugerują, że epizod, w którym Felicyta zostaje potrącona na drodze do Honfleur przez dyliżans pocztowy, stanowi zamaskowane nawiązanie do pierwszego ataku epilepsji u Gustawa, którego doświadczył, kiedy został potrącony na drodze w okolicy Bourg-Acharad. Bo ja wiem? Jak głęboko musi tkwić aluzja, by całkiem zatonać?

Z jednej — i to zasadniczej — strony Felicyta to oczywiście całkowite przeciwieństwo Flauberta: jest właściwie niema. Ale można by powiedzieć, że właśnie z tego powodu pojawia się Lulu: papuga, zwierzę mówiące, jedno z nielicznych stworzeń, które wydają ludzkie dźwięki. Nie bez kozery Felicyta bierze Lulu za Ducha Świętego, istotę zsyłającą dar mówienia różnymi językami.

Felicyta + Lulu = Flaubert? Niezupełnie; można jednak utrzymywać, że mieści się on w każdym z dwojga. Felicyta ma jego charakter, Lulu przemawia jego głosem. Można powiedzieć, że papuga, reprezentująca zmyślną artykulację bez władzy umysłowej, jest Słowem w czystej postaci. Francuski akademik określiłby ją mianem un symbole du Logos. Jak przystało na Anglika, zwróciłem się czym prędzej z powrotem w stronę cielesności: do tego smukłego, żwawego stworzenia, które ujrzałem w Hôtel-Dieu. Wyobraziłem sobie Lulu siedzącą po drugiej stronie Flaubertowskiego biurka i przyglądającą się mu niby szydercze odbicie w krzywym lustrze. Nic dziwnego, że trzy tygodnie tej parodystycznej obecności wywołały irytację. Czy pisarz nie jest aby taką właśnie przemądrzałą papugą?

Powinniśmy może w tym miejscu odnotować cztery najważniejsze spotkania powieściopisarza z członkami papuziej rodziny. W latach trzydziestych ubiegłego wieku, podczas corocznych wakacji w Trouville domownicy Flauberta regularnie odwiedzali byłego kapitana statków zwanego Pierre Barbey; w skład jego dobytku wchodziła, jak się okazuje, wspaniała papuga. W 1845 r. Gustaw, podróżując do Włoch, znalazł się w Antibes, gdzie natknął się na chorą długoogoniastą papugę, która zasłużyła sobie na notatkę w jego dzienniku: ptak miał zwyczaj siadać ostrożnie na błotniku lekkiego wozu swojego właściciela, w porze kolacji zaś sprowadzano go do domu i sadzano na gzymsie kominka. Notujący zwrócił uwagę na rzucającą się w oczy „dziwną miłość” między człowiekiem a jego ulubienicą. W 1851 r., wracając przez Wenecję ze Wschodu, Flaubert usłyszał, jak papuga naśladowała ze złotej klatki gondoliera, wykrzykując nad Canal Grande: „Fà eh, capo die”. W 1853 r. znalazł się znowu w Trouville; mieszkał u pharmacien i miał okazję stwierdzić, że bez ustanku irytuje go papuga, wykrzykująca:

„As-tu déjeuné, Jako?” oraz „Cocu, mon petit coco”. Wygwizdywała także: „J’ai du bon tabac”. Czy któryś z tych czterech ptaków był, w całości lub częściowo, inspiracją przy opisywaniu Lulu? I czy Flaubert widział jakąś inną żywą papugę między 1853 a 1876 r., kiedy z muzeum w Rouen pożyczył tę wypchaną? Pozostawiam kwestię do rozstrzygnięcia specjalistom.

Usiadłem na łóżku hotelowym; w sąsiednim pokoju telefon papugował głos innych telefonów. Pomyślałem o papudze w niszy, ledwie pół mili od tego miejsca. Zuchwały ptak budzący sympatię, a nawet szacunek. Co Flaubert zrobił z nią po napisaniu *Prostoty serca*? Czy wstawił do kredensu i zapomniał o jej irytującym istnieniu aż do chwili, kiedy sięgał po dodatkowy arkusz papieru? I co stało się cztery lata później, gdy po ataku apopleksji leżał umierający na sofie? Może wyobrażał sobie, że unosi się nad nim gigantyczna papuga — tym razem nie na znak powitania przez Ducha Świętego, lecz na znak pożegnania ze Słowem?

„Męczy mnie skłonność do zdecydowanego nadużywania metafor. Porównania zżerają mnie niczym wszy i cały mój czas spędzam na tępieniu ich.” Słowa przychodziły Flaubertowi łatwo; ale dostrzegał także fundamentalną nieadekwatność słowa. Wspomnijmy choćby jego smutną definicję z *Pani Bovary*: „Mowa ludzka jest jak pęknięty kocioł, na którym wygrywamy muzykę, by tańczyły przy niej niedźwiedzie, chociaż marzymy o tym, by wzbudzić współczucie w gwiazdach”. Można więc widzieć w pisarzu zarówno zawziętego i gładkiego stylistę, jak i kogoś, kto uważał język za tragicznie niewydolny. Sartryści wolą drugą opcję: dla nich niezdolność Lulu do czegoś więcej niż tylko powtarzanie zasłyszanych z drugiej ręki zdań jest pośrednim przyznaniem się pisarza do klęski. Papuga / pisarz akceptuje język jako coś otrzymanego, imitatywnego i bezwładnego. Sam Sartre karmił Flauberta za pasywność, za wiarę (albo znowę w wierze), że on est parlé — jest się mówionym.

Czy to bulgotanie baniek na powierzchni zapowiada śmierć następnej tonącej w głębinach aluzji? W momencie, kiedy zaczynasz podejrzewać, że zbyt wiele doczytano się w opowieści, czujesz się najbardziej bezbronny, odizolowany i być może głupi. Czy krytyk myli się odczytując Lulu jako symbol Słowa? Czy czytelnik myli się — a może, co gorsza, popada w sentymentalizm — kiedy myśli o papudze z Hôtel-Dieu jako o symbolu głosu pisarza? Ja sam tak to właśnie odebrałem. Być może dowodzi to, że jestem takim samym prostaczkiem jak Felicyta.

Ale czy nazwiemy *Prostotę serca* opowieścią, czy tekstem,

pozostawia niezatarty ślad w umyśle. Pozwólcie, że zacytuję Davida Hockneya, dobrotliwego, acz nieco nijakiego w swojej autobiografii: „Opowieść głęboko mnie wzruszyła i poczułem, że ten temat mógłbym naprawdę sobie przyswoić i wykorzystać”. W 1974 r. pan Hockney wykonał dwie akwaforty: burleskową wersję wyobrażenia Felicyty o obcych krajach (mała umykająca z kobietą na grzbiecie) i spokojną scenę przedstawiającą Felicytę śpiącą u boku Lulu. Być może wykona ich więcej we właściwym czasie.

Ostatniego dnia pobytu w Rouen pojechałem do Croisset. Padał normandzki deszcz, drobny i rześisty. Dawną zapadłą wioskę nadsekwańską przesłoniętą zielonymi wzgórzami pochłoneły huczące doki. Echo kafarów, suwnice nad głową, a zmętniała rzeka służy gospodarce. Przejeżdżające ciężarówki wprawiają w drżenie szyby baru o niechronionej nazwie Bar le Flaubert.

Gustaw znał i pochwalał wschodni zwyczaj burzenia domu zmarłego; tak więc on sam byłby zapewne mniej zgorszony zniszczeniem swego domu, niż byli jego czytelnicy i prześladowcy. Na gorzelnię pędzącą spirytus ze stęchłego ziarna też przyszła kolej i też zrównano ją z ziemią; na tym miejscu stoi teraz, co jest chyba stosowniejsze, duża papiernia. Z całej rezydencji Flauberta pozostał mały parterowy pawilon, położony przy drodze w odległości kilkuset metrów: letni domek, gdzie pisarz chronił się, kiedy potrzebował jeszcze większej samotności niż zazwyczaj. Wygląda teraz nędznie i niedorzecznie, ale dobre i to. Na tarasie dla upamiętnienia autora *Salambo* ustawiono pniak żłobkowanej kolumny wykopanej w Kartaginie. Pchnąłem furtkę; zaczął szczekać owczarek i podeszła do mnie siwowłosa gardienne. Nie zatroszczono się dla niej o biały fartuch, miała na sobie dobrze skrojony niebieski uniform. Przemawiając moją zgrzytliwą francuszczyzną, przypominałem sobie znak wyróżniający kartagińskich tłumaczy w *Salambo*: każdy miał wytatuowaną na piersi papugę jako symbol swojego zawodu. Dzisiaj brunatny nadgarstek Afrykańczyka grającego w kule jest ozdobiony portretem Mao.

Pawilon składa się z jednego pokoju, kwadratowego, z dwuspadową powalą. Przypomni mi się pokój Felicyty: „Miał wygląd kaplicy i jednocześnie bazaru”. Tutaj też zestawienie było nie pozbawione ironii — trywialne ozdóbki obok namaszczonej relikwii — rodem z Flaubertowskiej groteski. Zbiory rozmieszczono tak niechlujnie, że często musiałem klękać, by zajrzeć do gablotki: postawa nabożna, ale także postawa łowcy skarbów w sklepie ze starzyzną.

Felicyta znajdowała pociechę w gromadzeniu przypadkowych przedmiotów, które łączyła jedynie miłość właściciela. Flaubert

postępował tak samo, zachowując trywia pachnące wspomnieniami. Wiele lat po śmierci matki nadal prosił od czasu do czasu o jej stary szal i kapelusz i zasiadał, żeby odrobinę nad nimi pomarzyć. Gość odwiedzający pawilon w Croisset może zrobić prawie to samo: niedbale rozplanowana wystawa chwyta czasem za serce. Portrety, fotografie, popiersie z gliny; fajki, słoik na tytoń, nóż do otwierania listów; kałamarz-ropucha z rozdziawioną gębą; złoty Budda, który stał na biurku pisarza i nigdy go nie irytował; pukiel włosów, ma się rozumieć jaśniejszych niż na fotografii.

Łatwo można przeoczyć dwa eksponaty umieszczone w bocznej gablocie: mały kubek, z którego Flaubert wypił ostatni łyk wody przed śmiercią, i zmiętą białą chusteczkę, którą otarł sobie czoło w ostatnim być może geście w życiu. Te banalne przedmioty — które, wydawać by się mogło, wykluczają lament i melodramat — sprawiły, że poczułem się, jakbym asystował przy śmierci przyjaciela. Byłem prawie zażenowany: trzy dni wcześniej stałem bez śladu wzruszenia na plaży, gdzie zginęli moi bliscy koledzy. Może to zaleta przyjaźni z ludźmi, którzy już nie żyją: że twoje uczucia wobec nich nigdy nie stygną.

I właśnie wtedy ją zobaczyłem. Na szczycie wysokiego kredensu siedziała papuga. Również jasnozielona. I również — zgodnie z zapewnieniami gardienne i treścią tabliczki na żerdce — miała to być ta papuga, którą Flaubert wypożyczył z muzeum w Rouen, kiedy brał się do pisania *Prostoty serca*. Poprosiłem, by pozwolono mi zdjąć drugą Lulu, a następnie posadziłem ją ostrożnie na rogu wystawowej gabloty i zdjąłem chroniącą ptaka szklaną kopułę.

Jak porównać dwie papugi, jedną wyidealizowaną już przez pamięć i metaforę, i drugą, która jest w tej sytuacji skrzeczącym intruzem? Zrazu uznałem, że ta druga robi wrażenie mniej autentycznej niż pierwsza, przede wszystkim dlatego, że wygląda bardziej dobrotliwie. Głowa prościej osadzona na tułowiu, ogólne wrażenie mniej irytujące niż w przypadku ptaka z Hôtel-Dieu. Potem uświadomiłem sobie błędność tego rozumowania: przecież Flaubert nie miał papug do wyboru; a zresztą nawet ta druga, która robiła wrażenie spokojniejszej towarzyszki, mogła po paru tygodniach zacząć działać człowiekowi na nemy.

Wspomniałem gardienne o problemie autentyczności. Była, co oczywiste, po stronie swojej papugi i z wielką pewnością siebie zakwestionowała roszczenia Hôtel-Dieu. Zastanawiałem się, czy ktoś zna odpowiedź. Zastanawiałem się też, czy ma to jakieś znaczenie dla kogokolwiek poza mną, który nieroztropnie wyposażyłem w sens pierwszą papugę. Głos pisarza. Co właściwie upoważnia do sądu, że tak łatwo można go umiejscowić? Takiego napomnienia udzieliła mi druga

papuga. Kiedy tak stałem, patrząc na być może nieautentyczną Lulu, słońce oświetliło kąt pokoju i wskutek tego upierzenie stało się jaskrawiej żółte. Odstawiłem ptaka na miejsce: jestem już starszy niż Flaubert, kiedy umierał. Wydało mi się to arogancją; czymś smutnym i nie zasłużonym.

Czy pora na umieranie jest kiedykolwiek właściwa? Nie była właściwa dla Flauberta; ani dla George Sand, która żyła za krótko, by móc przeczytać *Prostotę serca*. „Zacząłem to tylko dla niej, tylko po to, żeby się jej spodobać. Umarła, kiedy byłem w środku pracy. Tak to już jest ze wszystkimi naszymi marzeniami.” Czy lepiej więc nie mieć marzeń, nie pracować, żeby potem nie przeżywać smutku, jeśli praca nie zostaje ukończona? Być może tak jak Fryderyk i Deslauriers winniśmy upodobać sobie pociechę niespełnienia: planowana wizyta w burdelu, rozkosz antycypacji, a potem, po latach, nie wspomnienie czynu, ale pamięć o minionym oczekiwaniu? Może w ten sposób wszystko stałoby się czyściejsze i mniej bolesne?

Kiedy wróciłem do domu, dubeltowa papuga nadal fruwała w mojej głowie: jedna miła i prawa, druga zarozumiała i wścibska. Napisałem do różnych uczonych, którzy mogliby wiedzieć, czy któraś z nich została nie bez podstaw uznana za autentyczną. Napisałem do ambasady francuskiej i wydawcy przewodników Michelina. Napisałem też do pana Hockneya. Opowiedziałem mu o mojej wycieczce i zapytałem, czy był kiedyś w Rouen; chciałem dowiedzieć się, czy miał na myśli którąś z tych dwóch papug, kiedy sporządzał portret śpiącej Felicjy. Jeśli nie, być może on z kolei wypożyczył papugę z muzeum i wykorzystał jako model. Ostrzegłem go o niebezpiecznej tendencji tego gatunku do pośmiertnej partenogenezy.

Miałem nadzieję, że rychło doczekam się odpowiedzi.

2. CHRONOLOGIA

I

1821 Narodziny Gustawa Flauberta, drugiego syna Achillesa Kleofasa Flauberta, naczelnego chirurga w Hôtel-Dieu, Rouen, oraz Anny Justyny Karoliny Flaubert, née Fleuriot. Rodzina należy do majątnej pracującej klasy średniej i ma liczne posiadłości w okolicach Rouen. Solidne, światłe, sympatyczne i przeciętnie ambitne środowisko.

1825 Objęcie służby u Flaubertów przez Julię, niańkę Gustawa, która pozostaje z rodziną aż do śmierci pisarza pięćdziesiąt pięć lat

później. Niewiele będzie miał Flaubert w życiu kłopotów ze służbą.

- 1830 Poznaje Ernesta Chevaliera, który miał stać się jego pierwszym przyjacielem. Długi szereg intensywnych, wiernych i płodnych przyjaźni będzie podtrzymywał Flauberta na duchu przez całe życie: szczególnie ważne są przyjaźnie z Alfredem le Poittevinem, Maksymem du Campem, Ludwikiem Bouilhetem i George Sand. Gustaw łatwo wzbudza przyjaźń i podsyc ją przez przekorny i uczuciowy sposób bycia. 1831-2 Wstępuje do College de Rouen i okazuje się wybitnym uczniem, mocnym w historii i literaturze. Najwcześniejszy tekst, jaki przetrwał do naszych czasów, szkic o Corneille'u, pochodzi właśnie z 1831 r. W okresie młodzieńczym pisze zarówno mnóstwo dramatów, jak i utworów epickich.
- 1836 Poznaje w Trouville Elizę Schlesinger, żonę niemieckiego wydawcy muzycznego, i płonie do niej „potworną” namiętnością. Ta namiętność wypełnia resztę jego lat młodzieńczych. Ona traktuje go bardzo miło i czule; pozostaną ze sobą w kontakcie przez następnych czterdzieści lat. Spoglądając wstecz, Flaubert czuje ulgę, że nie odwzajemniła jego namiętności. „Szczęście jest jak syfilis. Złapane zbyt wcześnie, zniszczy twój organizm.”
- c. 1836 Inicjacja seksualna Gustawa z jedną z pokojówek mamy. Jest to wstęp do aktywnej i barwnej kariery erotycznej, przebiegającej od burdelu do salonu, od chłopca kąpielowego z Kairu po paryską poetesę. U progu wieku męskiego jest bardzo pociągający dla kobiet, a szybkość, z jaką wraca do seksualnej sprawności, budzi wedle tego, co sam głosi, wielki szacunek; ale nawet w późniejszym życiu jego uprzejme obejście, inteligencja i sława zapewniają mu uwagę i towarzystwo. Jego pierwszy wydany utwór ukazuje się w roueńskim periodyku „Le Colibri”.
- 1840 Robi baccalauréat. Wyprawia się w Pireneje z przyjacielem rodziny, doktorem Jules'em Cloquetem. Chociaż często uważano Flauberta za pustelnika, którego nie sposób ruszyć z miejsca, podróżuje, gdzie się da: do Włoch i Szwajcarii (1845), Brytanii (1847), Egiptu, Palestyny, Syrii, Turcji, Grecji i Włoch (1849-51), Anglii (1851, 1865, 1866, 1871), Algierii i Tunezji (1858), Niemiec (1865), Belgii (1871) i Szwajcarii (1874). Porównaj tylko przypadek alter ego Flauberta, Ludwika Bouilheta, który marzył o Chinach, a nie wyprawiał się nawet do Anglii. Studiując prawo w Paryżu, poznaje Victora Hugo. Pierwszy atak epilepsji kładzie kres studiom prawniczym w Paryżu i skazuje go na pobyt w nowym domu rodzinnym w Croisset. Konieczność przerwania nauki nie

jest jednak dla niego zbyt bolesna, a ponieważ zamknięcie przynosi zarówno samotność, jak i stabilną bazę niezbędną w życiu poświęconym pisaniu, ten atak okazuje się na długą metę błogosławieństwem.

- 1846 Poznaje Luizę Colet, „Mużę”, i zaczyna swój najbardziej rozślawiony romans: długotrwałą, namiętą dwurundową walkę (1846-8, 1851-4). Choć niedopasowani temperamentem i skłócenii w kwestiach estetycznych, Gustaw i Luiza byli ze sobą związani dłużej, niż można by się spodziewać. Czy powinniśmy żałować, że ich romans dobiegł końca? Tylko z tego powodu, że oznaczało to koniec olśniewających listów Gustawa do ukochanej.
- 1851-7 Napisanie i wydanie *Pani Bovary*, a następnie proces i triumfalne uniewinnienie. Succès de scandale, wychwalany przez autorów tak rozmaitych, jak Lamartine, Sainte-Beuve i Baudelaire. W 1846 r., powątpiewając w to, że zdoła kiedykolwiek napisać coś godnego opublikowania, Gustaw obwieścił: „Jeśli wystąpię któregoś dnia, to w pełnej zbroi”. Teraz jego pancerz lśni oślepiającym blaskiem, a włócznia sięga wszędzie. Curé z Canteleu, wsi sąsiadującej z Croisset, zabrania swoim parafianom lektury tej powieści. Po 1857 r. sukces literacki prowadzi w naturalny sposób do sukcesów towarzyskich: Flauberta częściej widuje się w Paryżu. Poznaje Goncourtów, Renana, Gautiera, Baudelaire’a i Sainte-Beuve’a. W 1862 r. zapoczątkowany zostaje cykl obiadów literackich w restauracji u Magny’ego: Flaubert zaczyna tam regularnie bywać od grudnia tegoż roku.
- 1862 Publikacja *Salambo*. Succès fou. Sainte-Beuve pisze do Matthew Arnolda: „*Salambo* to wielkie wydarzenie!” Powieść dostarcza tematów dla kilku balów kostiumowych w Paryżu. Daje nawet nazwę nowemu przepisowi na ptifurki.
- 1863 Flaubert zaczyna uczęszczać do salonu księżniczki Matyldy, siostrzenicy Napoleona I. Niedźwiedź z Croisset przywdziewa skórę lwa salonowego. Sam także przyjmuje, w niedzielne popołudnia. W tymże roku następuje pierwsza wymiana listów z George Sand i spotkanie z Turgieniewem. Przyjaźń z rosyjskim pisarzem stanowi zaczątek szerszej europejskiej sławy.
- 1864 Przedstawiony cesarzowi Napoleonowi III w Compiègne. Szczyt towarzyskich sukcesów Gustawa. Wysyła kamelie cesarzowej.
- 1866 Mianowany chevalier de la Legion d’honneur.
- 1869 Publikacja *Szkoły uczuć*: Flaubert zawsze twierdził, że jest to chef-d’oeuvre. Wbrew legendzie o heroicznym zmaganiu z piórem (którą on sam zaczyna rozpowszechniać), pisanie

przychodzi Flaubertowi łatwo. Skarży się bez ustanku, ale te skargi są zawsze zawarte w listach zadziwiająco potocznych. Przez ćwierć wieku pisze co pięć do siedmiu lat grubą, solidną księgę, wymagającą zresztą pilnych badań. Być może przechodzi katusze pracując nad jakimś słowem, zdaniem, asonansem, ale nigdy nie cierpi na pisarską obstrukcję.

1874 Publikacja *Kuszenia Świętego Antoniego*. Pomimo dziwaczności, zachęcający sukces handlowy.

1877 Publikacja *Trzech opowieści*. Sukces wśród krytyków i czytelników: po raz pierwszy Flaubert otrzymuje pochlebną recenzję w „Le Figaro”; książka osiąga pięć wydań w ciągu trzech lat. Flaubert zaczyna pracę nad *Bouvardem i Pecuchetem*. W tych ostatnich latach jego wybitne miejsce wśród francuskich powieściopisarzy zostaje uznane przez następną generację. Jest fetowany i czczony. Jego niedzielne popołudnia zyskują sobie sławę w literackiej socjocie; Henry James odwiedza mistrza. W 1879 r. przyjaciele Gustawa ustanawiają doroczne obiady świętego Polikarpa na jego cześć. W 1880 r. pięciu współautorów *Les Soirees de Medan*, w tym Zola i Maupassant, wręcza mu imienny egzemplarz: ten dar można uważać za symboliczny hołd złożony realizmowi przez naturalizm.

1880 Syt zaszczytów, powszechnie kochany i ciężko pracujący do samego końca, Gustaw Flaubert umiera w Croisset.

II

1817 Śmierć Karoliny Flaubert (w wieku dwudziestu miesięcy), drugiego dziecka Achillesa Kleofasa Flauberta i Anny Justyny Karoliny Flaubert.

1819 Śmierć Emila Kleofasa Flauberta (w wieku ośmiu miesięcy), ich trzeciego dziecka.

1821 Narodziny Gustawa Flauberta, ich piątego dziecka.

1822 Śmierć Jules’a Alfreda Flauberta (w wieku trzech lat i pięciu miesięcy), ich czwartego dziecka. Jego brat, Gustaw, który urodził się entre deux morts, jest słabowity i nikt nie wróży mu długiego życia. Doktor Flaubert wykupuje dla rodziny miejsce na Cimetière Monumental i spodziewając się rychłej śmierci syna, każe wykopać dla niego mały grób. Ku zdumieniu wszystkich Gustaw nie umiera. Okazuje się powolnym dzieckiem, z upodobaniem siedzącym całymi godzinami z palcem w buzi i „prawie głupkowskim” wyrazem twarzy. Zdaniem Sartre’a jest „rodzinnym

idiotą”.

- 1836 Początek beznadziejnej, obsesyjnej namiętności do Elizy Schlesinger, uczucia, które wypala mu serce i na zawsze czyni niezdolnym do pokochania innej kobiety. Spoglądając wstecz, Flaubert wspomina: „Każdy z nas ma w sercu komnatę królewską. Ja swoją zamurowałem”.
- 1839 Wyrzucony z College de Rouen za łobuzerstwo i nieposłuszeństwo.
- 1843 Fakultet prawa w Paryżu ogłasza wyniki egzaminów na pierwszym roku. Egzaminatorzy wyrażają swój pogląd za pomocą czerwonych i czarnych kul. Gustaw otrzymuje dwie czerwone i dwie czarne, a zatem nie przechodzi.
- 1844 Druzgocący pierwszy atak epilepsji; czekają go dalsze. „Każdy atak — napisze później Gustaw — był jak gwałtowne krwawienie układu nerwowego... Był wydzieraniem duszy z ciała, był krzyżowaniem.” Puszczają mu krew, dostaje pigułki i napary, ustalają dla niego specjalną dietę, zakazują alkoholu i tytoniu; niezbędne jest ściśle zamknięcie i macierzyńska piecza, jeśli nie zamierza upominać się o swoje miejsce na cmentarzu. Nie wkroczywszy nawet w świat, Gustaw usuwa się z niego. „A więc pilnują cię niby małą dziewczynkę?” — szydzi później celnie Luiza Colet. Przez cały czas, poza ośmioma ostatnimi latami jego życia, Mme Flaubert zamęcza go troskliwością i cenzuruje plany podróży. Stopniowo, wraz z upływem dziesięcioleci, staje się węższa niż on: prawie już przestał być dla niej przedmiotem troski, teraz ona jest ciężarem dla niego.
- 1846 Śmierć ojca Gustawa i wkrótce potem śmierć ukochanej siostry, Karoliny (w wieku dwudziestu jeden lat); w tej sytuacji musi pełnić zastępczo rolę ojca dla swojej siostrzenicy. Przez całe życie bezustannie spada na niego śmierć kogoś z bliskich. A przyjaciele umierają również na inne sposoby: w czerwcu żeni się Alfred le Poittevin. Gustaw ma uczucie, że jest to trzecie osierocenie w tym roku: „Zrobiłeś coś niedorzecznego” — skarży się. Do Maksyma du Campa pisze tego roku: „Łzy są dla serca tym, czym woda dla ryby”. Czy to, że w tym właśnie roku poznaje Luizę Colet, przynosi mu pociechę? Pedantyczność i krnąbrność nie tworzą zgodnego stadła z nieumiarkowaniem i instynktem posiadania. Zaledwie sześć dni od chwili, kiedy została jego kochanką, ustalony zostaje pierwszy wzorzec ich wzajemnych stosunków: „Krzycz trochę ciszej! — skarży się on. — Te krzyki są dla mnie udręką. Czego ode mnie oczekujesz? Mam rzucić wszystko i zamieszkać w

Paryżu? To niemożliwe”. Ten niemożliwy związek wlecze się jednak przez osiem lat; Luiza jest zdumiewająco ślepa na fakt, że Gustaw może ją kochać, nie pragnąc zgoła jej widywać. „Gdybym był kobietą — napisał po sześciu latach — nie chciałbym mieć takiego kochanka jak ja. Na jedną noc — owszem, ale intymny związek — nigdy.”

1848 Śmierć, w wieku trzydziestu dwóch lat, Alfreda le Poittevina.

„Widzę, że nikogo — żadnego mężczyzny ani żadnej kobiety — nie kochałem tak jak jego.” Dwadzieścia pięć lat później: „Nie ma dnia, bym o nim nie pomyślał”.

1849 Gustaw swój pierwszy normalnej długości utwór napisany w wieku dojrzałym, *Kuszenie Świętego Antoniego*, odczytuje dwóm najbliższym przyjaciołom, Bouilhetowi i Du Campowi. Zajmuje to cztery dni w tempie ośmiu godzin dziennie. Po pełnej zakłopotania naradzie słuchacze mówią mu, żeby wrzucił rękopis do ognia.

1850 W Egipcie Gustaw łapie syfilis. Wypada mu mnóstwo włosów; staje się otyły. Kiedy Mme Flaubert spotyka go następnego roku w Rzymie, z trudem poznaje syna i stwierdza, że stał się bardzo pospolity. Zaczyna się wiek średni. „Ledwieś się narodził, a już gnić zaczynasz.” W ciągu kolejnych lat życia wypadną mu wszystkie zęby poza jednym; ślinę będzie miał zawsze czarną wskutek kuracji rtęcią.

1851-7 *Pani Bovary*. Praca jest męcząca — „Pisząc tę książkę, jestem jak człowiek, który gra na pianinie, mając przywiązane do palców ołowiane kulki” — zaś proces sądowy budzi lęk. W późniejszych latach Flaubertowi zaczyna ciążyć natrętna sława arcydzieła, która sprawia, że ludzie uważają go za autora jednej książki. Mówi Du Campowi, że gdyby udało mu się wygrać na giełdzie, wykupiłby „za każdą cenę” wszystkie będące w obiegu egzemplarze *Pani Bovary*. „Rzuciłbym je do ognia i nigdy więcej o nich nie słyszał.”

1862 Eliza Schlesinger zostaje zamknięta w szpitalu dla umysłowo chorych; postawiono diagnozę, że cierpi na „ostrą postać melancholii”. Po opublikowaniu *Salambo* Flaubert zaczyna obcować z bogatymi przyjaciółmi. Ale pozostaje dziecinny w sprawach finansowych: matka musi sprzedać posiadłość, żeby zapłacić jego długi. W 1867 r. pisarz przekazuje w tajemnicy kontrolę nad swoimi sprawami finansowymi mężowi siostrzenicy, Ernestowi Commanville. W ciągu następnych trzynastu lat wskutek ekstrawaganckiego trybu życia, niekompetentnego obracania kapitałem i braku szczęścia Flaubert traci wszystkie

swoje pieniądze.

- 1869 Śmierć Ludwika Bouilheta, którego nazwał kiedyś „wodą mineralną ułatwiającą mi trawienie życia”. „Tracąc mojego Bouilheta, straciłem akuszerkę, człowieka, który głębiej zagłębiał w moje myśli niż ja sam.” Także śmierć Sainte-Beuve’a. „Jeszcze jeden odszedł! Mała grupka topnieje. Z kim mam teraz rozmawiać o literaturze?” Publikacja *Szkoły uczuć*; krytyczna i handlowa klapa. Ze stu pięćdziesięciu dodatkowych egzemplarzy wysłanych do przyjaciół i znajomych zaledwie trzydzieści zostało potwierdzonych.
- 1870 Śmierć Jules’a de Goncourta: pozostało teraz trzech spośród siedmiu przyjaciół, którzy zainaugurowali obiady u Magny’ego w 1862 r. Podczas wojny francusko-pruskiej nieprzyjaciel okupuje Croisset. Wstydząc się, że jest Francuzem, Flaubert przestaje nosić Légion d’honneur i postanawia zapytać Turgieniewa, co należy zrobić, żeby uzyskać obywatelstwo rosyjskie.
- 1872 Umiera Mme Flaubert: „Uzmysłowiłem sobie w ciągu ostatnich dwóch tygodni, że moja biedna, kochana, stara matka była tą osobą, którą najbardziej kochałem. To tak, jakby wydarto mi część trzewi”. Także śmierć Gautiera. „Wraz z nim odszedł ostatni z moich najbliższych przyjaciół. Lista została zamknięta.”
- 1874 Teatralny debiut Flauberta sztuką *Le Candidat*. Kompletna klapa; aktorzy schodzą ze sceny ze łzami w oczach. Sztuka pada po czterech przedstawieniach. Opublikowanie *Kuszenia Świętego Antoniego*. „Rozdarta na strzępy — notuje Flaubert — przez wszystkich, od « Figaro » po « Revue des deux mondes »... Najbardziej zaskakuje nienawiść, którą podszyta jest większość tych recenzji — nienawiść do mnie, do mojej osoby — rozmyślne oczernianie... Ta lawina obelg przygnębia mnie.”
- 1875 Finansowa ruina Ernesta Commanville’a spycha na dno także Flauberta. Sprzedaje farmę w Deauville; musi prosić siostrzenicę, żeby nie wypędzała go z Croisset. Ona i Commanville nadają mu przydomek „Żarłok”. W 1879 r. sytuacja zmusza go do przyjęcia państwowej renty, którą załatwili mu przyjaciele.
- 1876 Śmierć Luizy Colet. Śmierć George Sand. „Moje serce stało się nekropolią.” Ostatnie lata Gustawa są jałowe i samotne. Mówi siostrzenicy, że żałuje, iż się nie ożenił.
- 1880 Zbiedniały, samotny i znużony, Gustaw Flaubert umiera. Zola stwierdza w nekrologu, że był nie znany czterem piątym mieszkańców Rouen, a znienawidzony przez resztę. Pozostawił nie dokończoną powieść *Bouvard i Pécuchet*. Niektórzy twierdzą, że

zabiła go praca nad tą książką; Turgieniew powiedział Flaubertowi, zanim ten zaczął pisać, że byłoby to lepsze jako nowela. Po pogrzebie grupa żałobników, w której znaleźli się poeta François Coppée i Théodore de Banville, wydała w Rouen obiad dla uczczenia zmarłego pisarza. Kiedy siadają do stołu, spostrzegają, że jest ich trzynastu. Zabobonny Banville nalega, żeby znaleźć czternastego stołownika, i zięć Gautiera, Emile Bergerat, zostaje wysłany, żeby rozejrzał się po ulicy. Po kilku niepowodzeniach wraca z żołnierzem na przepustce. Żołnierz nigdy nie słyszał o Flaubercie, ale marzy o poznaniu Coppee'go.

III

- 1842 Ja i moje książki w tym samym mieszkaniu: niby korniszon w occie.
- 1846 Kiedy byłem jeszcze całkiem młody, miałem pełne przeczucie życia. Było jak mdlący zapach gotowania docierający przez wywietrznik z kuchni. I bez jedzenia wiadomo, że można się od tego rozchorować.
- 1846 Zrobiłem z Tobą to, co przedtem zrobiłem z tymi, których najbardziej kochałem: pokazałem im dno torby i gryzący kurz, jaki się stamtąd wzbił, zadławił ich.
- 1846 Moje życie jest przykute do innego życia (Mme Flaubert) i tak już zostanie, dopóki trwać będzie to drugie życie. Niby strzęp wodorostu miotanego wichrem, przywarłem do skały jedynym mocnym pędem. Jeśli pęknie, gdzie uleci ta biedna, niepotrzebna roślina?
- 1846 Chcesz okrzesać drzewo. Niesforne gałęzie obrośnięte gęsto liśćmi strzelają na wszystkie strony, rwą się do słońca i powietrza. Ale ty chcesz, żebym stał się uroczym pnączem rozpiętym na ścianie, wydającym smaczne owoce, które dziecko mogłoby zrywać, nie korzystając z drabiny.
- 1846 Nie myśl, że należę do tej pospolitej rasy mężczyzn, którzy odczuwają odrazę po zażyciu rozkoszy i dla których miłość istnieje tylko jako lubieżność. Nie: we mnie to, co wzrasta, nie więdnie tak szybko. Mech porasta zamki mojego serca, jak tylko zostają zbudowane; ale trzeba sporo czasu, by zamieniły się w ruinę; jeśli w ogóle kiedykolwiek się w nią obróć.
- 1846 Jestem jak cygaro: musisz ssać jego koniec, żeby się paliło.
- 1846 Wśród wypływających na morze są żeglarze, którzy odkrywają nowe lądy, przysparzają ziemi kontynentów, a niebu gwiazd: to

mistrzowie, giganci na wieki otoczeni chwałą. Następnie są ci, którzy sieją przerażenie z dział swoich okrętów, którzy grabią, obrastają w tłuszcz i bogactwa. Inni wyprawiają się, by szukać złota albo jedwabiu pod obcymi niebami. Jeszcze inni łowią łososie dla smakoszy albo dorsze dla biedaków. Ja jestem tajemniczym i cierpliwym poławiaczem pereł, który nurkuje na najgłębszych wodach i wypływa z pustymi rękoma i zsiniałą twarzą. Jakiś zgubny impuls ciągnie mnie w dół w otchłanie myśli, w te najtajniejsze zakamarki, które zawsze fascynują silnych. Chętnie spędzę życie wpatrując się w ocean sztuki, gdzie inni podróżują albo walczą; i od czasu do czasu zabawię się, nurkując po te zielone i żółte muszle, których nikt nie zechce. Zatrzymam je dla siebie i pokryję nimi ściany mojego szałas.

- 1846 Jestem tylko literacką jaszczurką pławiącą się przez cały dzień w słońcu Piękna. To wszystko.
- 1846 Głęboko we mnie tkwi radykalna, swojska, gorzka i nieustanna nuda, która niczym nie pozwala mi się cieszyć i dławi moją duszę. Pojawia się przy lada okazji, jak nabrzmiałe ciała utopionych psów wynurzają się na powierzchnię, mimo że do szyi przywiązano im kamienie.
- 1847 Ludzie są niby jadło. Mnóstwo mieszczan robi na mnie wrażenie gotowanej wołowiny: sama para, żadnej soczystości, żadnego smaku (wypełnia cię natychmiast i jest chętnie jedzona przez cymbałów). Inni ludzie są jak białe mięso, słodkowodne ryby, wysmukłe węgorze z błotnistej dna rzeki, ostrygi (w różnym stopniu słone), głowizna cielęca, owsianka na słodko. A ja? Ja jestem jak ciągnący się, cuchnący makaron z serem, który musisz zjeść wiele razy, zanim w nim zasmakujesz. W końcu zaczynasz go lubić, ale dopiero kiedy mnóstwo razy poczułeś mdłości po zjedzeniu go.
- 1847 Niektórzy ludzie mają czułe serce i bezwzględny umysł. Ja jestem ich przeciwieństwem: mam tkliwy rozum i szorstkie serce. Jestem jak orzech kokosowy, który chroni mleko pod kilkoma warstwami drewna. Trzeba siekiery, żeby go otworzyć; i cóż wtedy znajdujesz, jeśli w ogóle cokolwiek? Jakąś kwaśną śmietankę.
- 1847 Miałaś nadzieję znaleźć we mnie ogień, który wszystko by rozpłomieniał, spalał i rozświetlał; który dawałby wesołe światło, wysuszał mokre ściany z drewna, czynił powietrze zdrowszym, a życie na nowo pełnym żaru. Niestety! Jestem tylko marnym nocnym światełkiem, lampką, której czerwony knot pryska w stawie kiepskiej oliwy zmieszanej z wodą i kurzem.

- 1848 Przyjaźń ze mną jest jak wielbłąd: jak już raz nabierze rozpędu, nie sposób jej zatrzymać.
- 1849 Kiedy człowiek się starzeje, serce gubi liście jak drzewo. Nie możesz oprzeć się niektórym wichrom. Każdy dzień zdziera z ciebie coraz więcej liści; są wreszcie wichury, które odłamują wiele gałęzi na raz. Ale o ile zieleń przyrody odradza się z każdą wiosną, zieleń serca nie odradza się już nigdy.
- 1852 Jakąż okropną rzeczą jest życie, prawda? Jest jak zupa, w której pływa mnóstwo włosów. A jednak trzeba to przełknąć.
- 1852 Śmieję się ze wszystkiego, nawet z tego, co kocham najbardziej. Nie ma takiego wydarzenia, takiej rzeczy, takiego uczucia, takiej osoby, którym nie nadałbym pogodnego połysku moimi błazeństwami, niczym żelazko sztuce materiału.
- 1852 Kocham moją pracę żarliwą i znieprawioną miłością — tak, jak asceta kocha swoją włosiennicę, która drapie go w brzuch.
- 1852 W żyłach wszystkich Normandczyków płynie krew z domieszką jabłecznika: gorzka sfermentowana ciecz, która czasem wysadza szpunt.
- 1853 Jeśli chodzi o sprawę mojego natychmiastowego przeniesienia się do Paryża, będziemy musieli to przełożyć; albo raczej ustalmy to od ręki. W tej chwili jest to dla mnie niemożliwe. Znam siebie wystarczająco dobrze i oznaczałoby to utratę całej zimy, a co za tym idzie, być może całej książki. Bouilhetowi łatwo mówić: ma to szczęście, że potrafi pisać byle gdzie; od dwunastu lat pracuje jakby nigdy nic mimo ciągłych przeszkód... Ale ja jestem jak rząd konwi z mlekiem: jeśli chcesz, żeby utworzyła się śmietanka, musisz je pozostawić w spokoju.
- 1853 Oszałamia mnie Twoja łatwość. W ciągu dziesięciu dni napisałeś sześć opowiadań! Nie mogę tego pojąć... Jestem jak jeden z tych starych akweduktów: tyle śmieci przywiera do pobrzeży mojej myśli, że płynie ona wolno i ledwie się sączy z końca pióra, kropla po kropli.
- 1854 Szufladkuję moje życie i wszystko ma w nim swoje miejsce; składam się z mnóstwa skrytek i przegródek, jak stary kufer podróżny okręcony sznurem i umocowany za pomocą trzech mocnych rzemieni.
- 1854 Żądasz miłości, skarżysz się, że nie posyłam ci kwiatów? Doprawdy, kwiaty! Jeśli to tego pragniesz, znajdź sobie jakiegoś młodzieniaszka o wytwornych manierach i właściwych poglądach. Ja jestem jak tygrys, który ma kępki sierści na czubku członka i chłoszcze nimi samice.

- 1857 Książek nie poczyna się tak jak dzieci: buduje się je niby piramidy. Najpierw długo obmyśla się plan, a następnie układa się kolejne bloki kamienia jeden na drugim i od tej mozolnej pracy łamie cię w krzyżu i ociekasz potem. A wszystko bez żadnego celu! Budowle stoją sobie po prostu na pustyni! Ale panują nad nią swym ogromem. Szakale obsikują podstawę, mieszcuchy gramolą się na szczyt itd. Możesz ciągnąć dowolnie to porównanie.
- 1857 Jest taka łacińska sentencja, która mówi z grubsza: „Nawet z gówna grosz zębami wyrwać”. Była to figura retoryczna opisująca skąpców. Jestem jak oni: nic mnie nie powstrzyma, gdy szukam złota.
- 1867 To prawda, że wiele rzeczy doprowadza mnie do furii. W dniu, kiedy przestanę się oburzać, padnę płasko na pysk, jak lalka, z której usunięto podtrzymujące ją druty.
- 1872 Moje serce pozostaje nienaruszone, ale moje uczucia wyostrzyły się po jednej stronie, a stępiły po drugiej, jak stary nóż, zbyt często ostrzony, który ma szczyrby i łatwo może się złamać.
- 1872 Nigdy jeszcze sprawy ducha nie liczyły się tak mało. Nigdy jeszcze nienawiść do wszystkiego, co wielkie, nie była taka jawna — pogarda dla Piękna, obrzydzenie do literatury. Zawsze starałem się żyć w wieży z kości słoniowej, ale fala gówna bije o mury, grożąc podmyciem.
- 1873 Nadal wytwarzam sentencje, jak mieszcuch robi kółka na serwetki na poddaszu. W ten sposób mam czym się zająć i daje mi to pewną osobistą przyjemność.
- 1875 Wbrew Twojej radzie, nie mogę zdobyć się na to, żeby się „zahartować”... Jestem cały obolały, moje nerwy i mój mózg są chore, bardzo chore; czuję, że tak właśnie jest. Ale znowu zaczynam się uskarżać, choć przecież wcale nie chcę Cię martwić. Ograniczę się do Twojej wzmianki o „skale”. Wiedz zatem, że bardzo stary granit przemienia się czasem w pokłady gliny.
- 1875 Czuję się wykorzeniony niby garść wodorostów rzucona przez fale to tu, to tam.
- 1880 Kiedy książka będzie skończona? Oto pytanie. Jeśliby miała się ukazać następnej zimy, nie mam ani chwili do stracenia. Ale jestem czasami tak zmęczony, że czuję, jak rozpływam się niby stary camembert.

3. SZPERACZE-ZBIERACZE

Sieć można zdefiniować na jeden z dwóch sposobów, zależnie od punktu widzenia. Normalnie powiedziałyby się, że jest to rodzaj siatki

do łapania ryb. Ale równie dobrze można, z niewielkim uszczerbkiem dla logiki, odwrócić ten obraz i zdefiniować sieć tak, jak uczynił to pewien krotochwilny leksykograf, który nazwał ją zestawem dziur połączonych szpagatem.

Tak samo można postąpić z biografią. Włók napętnia się i wtedy biograf wciąga zawartość do łodzi, sortuje, wyrzuca, umieszcza w ładowni, filetuje i sprzedaje. Pomyślmy jednak o tym, czego nie złowił: jest tego zawsze znacznie więcej. Biografia stoi sobie na półce, opasła i po mieszczańsku szacowna, nadęta i stateczna: życie za szylinga ujawni wszystkie fakty, życie za dziesięć funtów — także wszystkie hipotezy. Ale pomyśleć tylko, co się wymyka, co ulatuje wraz z ostatnim tchnieniem człowieka, którego biografię się pisze. Jakie szanse ma najprzemysłniejszy choćby biograf, jeśli przedmiot jego zainteresowania zobaczy, co się święci, i postanowi się zabawić?

Eda Wintertona poznałem, kiedy położył swoją dłoń na mojej w hotelu Europa. Tak tylko żartuję, aczkolwiek wcale nie mijam się z prawdą. Było to na prowincjonalnych targach księgarzy i sięgnąłem trochę szybciej niż on po ten sam egzemplarz *Literackich wspominków* Turgieniewa. Ten przypadkowy dotyk pociągnął za sobą natychmiastowe przeprosiny i zażenowanie tak z jego, jak i z mojej strony. Kiedy obaj uświadomiliśmy sobie, że bibliofilska pożądlivość była jedynym uczuciem, które doprowadziło do tego spotkania się dłoni, Ed wymamrotał:

— Chodźmy stąd i pogadajmy.

Nad filiżanką kiepskiej herbaty opowiedzieliśmy sobie, jak idąc różnymi drogami, dotarliśmy do tej samej książki. Ja opowiedziałem mu o Flaubercie, on zaś ujawnił swoje zainteresowanie Gosse'em i angielską socjetą literacką z końca ubiegłego wieku. Niewielu znam amerykańskich uczonych i mile mnie zaskoczyło, że ten właśnie był znudzony grupą Bloomsbury i zadowolony, iż może zostawić nowoczesne prądy młodszym i ambitniejszym kolegom po fachu. Ale też Ed Winterton lubił przedstawiać siebie jako człowieka, któremu się nie powiodło. Miał nieco ponad czterdzieści lat, postępującą łysinę, różową wygoloną twarz i prostokątne okulary bez oprawki: typ uczonego-bankiera, rozważny i uduchowiony. Kupił sobie angielskie ubranie, ale nie wyglądał bynajmniej na Anglika. Pozostał jednym z tych Amerykanów, którzy zawsze chodzą po Londynie w płaszczu, bo wiedzą, że w tym mieście deszcz pada z bezchmurnego nieba. Nie zdejmował płaszcza nawet w hallu hotelu Europa.

W wypadku Wintertona owa aura niepowodzenia nie miała w sobie nic desperackiego; wydawało się raczej, że wynika z zaakceptowanej

bez urazy świadomości, iż nie został stworzony do sukcesów, a jego obowiązkiem jest tylko dbać o to, żeby ponieść klęskę w poprawny, możliwy do przyjęcia sposób. W pewnym momencie, kiedy mówiliśmy o tym, jak nieprawdopodobne jest, żeby skończył kiedykolwiek biografię Gosse'a, nie mówiąc już o jej opublikowaniu, przerwał i zniżył głos:

— Ale tak czy owak, zastanawiam się czasem, czy pan Gosse zaaprobowałby to, co robię.

— Ma pan na myśli... — Niewiele wiedziałem o Gosse'ie i moje szeroko otwarte oczy wskazywały może zbyt wyraźnie na gołe praczki, Metyski z nieprawego łoża i poćwiartowane ciała.

— Och, nie, nie. Miałem po prostu na myśli pisanie o nim. Mógłby pomyśleć, że to trochę... cios poniżej pasa.

Oczywiście zrezygnowałem z Turgieniewa na jego korzyść, choćby dlatego, że chciałem uniknąć dyskusji o moralności posiadania. Nie potrafiłem dostrzec, co etyka ma wspólnego z posiadaniem kupionej okazji książki; ale Ed to wiedział. Obiecał, że skontaktuje się ze mną, jeśli natrafi na inny egzemplarz. Potem odbyliśmy zwięzłą dyskusję na temat, czy powinienem, czy też nie płacić za jego herbatę.

Nie spodziewałem się, że da jeszcze znak życia, a już najmniej tego, że będzie to w związku ze sprawą, która skłoniła go do napisania listu jakiś rok później. „Czy interesuje pana Juliet Herbert? Wygląda to na fascynującą znajomość, sądząc po materiale. Będę w Londynie w sierpniu, jeśli to panu odpowiada. Pański Ed (Winterton).”

Co czuje narzeczona, kiedy otwiera pudełeczko i widzi pierścionek spoczywający na purpurowym aksamicie? Nie zapytałem o to żony, a teraz już za późno. Albo co czuł Flaubert, kiedy na wierzchołku wielkiej piramidy oczekiwał brzasku i w końcu zobaczył pasemko złota przebijające się przez purpurowy aksamit nocy? Zdumienie, groza i niepohamowana radość napłynęły mi do serca, kiedy przeczytałem te dwa słowa w liście Eda. Nie, nie chodzi o „Juliet Herbert”, ale o inne dwa: najpierw „fascynująca”, a następnie „materiał”. Czy za tą radością, jak również perspektywą ciężkiej pracy, kryło się coś jeszcze? Wstydliva myśl o uzyskaniu gdzieś honorowego tytułu?

Juliet Herbert to pusta przestrzeń obwiązana sznurkiem. W pewnym momencie, w środku lat pięćdziesiątych, została guwernantką siostrzenicy Flauberta, Karoliny, i pozostawała w Croisset przez parę lat, nie wiadomo dokładnie, jak długo, a potem wróciła do Londynu. Flaubert pisywał do niej, a ona do niego; co jakiś czas odwiedzali się wzajemnie. Poza tym nie wiemy nic. Nie zachował się żaden list od niej

ani do niej. Nic prawie nie wiemy o jej rodzinie. Nie wiemy nawet, jak wyglądała. Nie zachował się żaden opis jej postaci i żaden z przyjaciół Flauberta nie napomknął o niej po jego śmierci, chociaż większość ważnych w jego życiu kobiet została utrwalona na kartach pamiętników.

Biografowie nie są zgodni co do Juliet Herbert. Zdaniem jednych niedostatek informacji wskazuje, że odegrała niewielką rolę w życiu Flauberta; inni z tego niedostatku wysnuwają wprost przeciwny wniosek i twierdzą, że zwodnicza guwernantka była z pewnością jedną z kochanek pisarza, być może Wielką Nieznaną Namiętnością jego życia, a nawet narzeczoną. Hipoteza zależy bezpośrednio od charakteru biografów. Czy możemy wydedukować miłość do Juliet Herbert z faktu, że Gustaw swojego charta nazwał Julio? Niektórzy mogą. Mnie jednak wydaje się to nieco tendencyjne. Rozumując w ten sposób, jakież wnioski wyciągniemy z faktu, że w licznych listach Gustaw zwracał się do swojej siostrzenicy per „Loulou”, które to imię przeniósł następnie na papugę Felicjty? Albo z faktu, że George Sand miała barana imieniem Gustaw?

Jawną aluzję do Juliet Herbert znajdujemy w liście Flauberta do Bouilheta napisanym po wizycie tego ostatniego w Croisset:

Odkąd zobaczyłem, że podnieca Cię guwernantka, ja też czuję podniecenie. Przy stole mój wzrok z lubością wędruje po łagodnym zboczku jej piersi. Zdaje się, że ona to dostrzega, gdyż pięć, sześć razy w ciągu posiłku czerwieni się po same uszy. Jakież piękne porównanie można by zrobić między zboczem piersi a przedpiersiem twierdzy. Amorki raz po raz osuwają się podczas szturmów (do wypowiedzenia głosem naszego* szejka): „Cóż, z pewnością wiem, jaką armatę skieruję na ten cel”.

Czy powinniśmy wyciągać stąd pochopne wnioski? Szczerze mówiąc, chodzi tu o ten chełpliwy, porozumiewawczy styl, jakiego Flaubert zawsze używał, pisząc do swoich przyjaciół. Ja sam uważam to za mało przekonujące: prawdziwe pożądanie nie przeobraża się tak łatwo w metaforę. Ale cóż, sekretnym pragnieniem biografów jest zawłaszczanie życia seksualnego swoich bohaterów i nadawanie mu kierunku; musicie osądzić mnie tak samo jak Flauberta.

Czy rzeczywiście Ed odkrył jakiś materiał odnoszący się do Juliet Herbert? Przyznaję, że już z góry owładnął mną instynkt posiadania. Wyobraziłem sobie, jak przedstawiam dokumenty w którymś z czołowych literackich periodyków; może powierzyłbym je „Times Literary Supplement”. „Juliet Herbert: rozwikłana zagadka, napisał Geoffrey Braithwaite”, i jako ilustracja jedna z tych reprodukcji, na

których zupełnie nie można przeczytać odręcznego pisma. Zacząłem się również martwić, że Ed mógłby wypaplać o swoim odkryciu w kampusie i z całą otwartością powierzyć sekret jakiemuś ambitnemu romaniście ostrzyżonemu na astronautę.

Ale były to niegodne i, mam nadzieję, nietypowe dla mnie uczucia. Najbardziej byłem przejęty myślą o poznaniu tajemnicy związku Gustawa i Juliet (do czegoż innego mogłoby odnosić się w liście Eda słowo „fascynująca”?). Ekscytowało mnie także, że dzięki temu materiałowi zdołam sobie, być może, jeszcze dokładniej wyobrazić, jaki był Flaubert. Sieć zaciskała się. Czy uda się nam na przykład dowiedzieć, jak pisarz zachowywał się w Londynie?

Było to szczególnie interesujące. W dziewiętnastym wieku wymiana kulturalna między Anglią a Francją miała, w najlepszym razie, charakter pragmatyczny. Francuscy autorzy przeprawiali się przez Kanał nie po to, żeby dyskutować nad problemami estetycznymi ze swoimi angielskimi kolegami; albo uciekali przed ramieniem sprawiedliwości, albo rozglądali się za jakąś pracą. Hugo i Zola przybyli jako banicy, Verlaine i Mallarmé jako nauczyciele. Villiers de Pisie-Adam, chronicznie biedny, a przy tym szaleńczo praktyczny, przybył w poszukiwaniu dziedziczki do wzięcia. Paryski pośrednik matrymonialny zaopatrzył go na tę wyprawę w futro, budzik repetier i nową sztuczną szczękę, za które pisarz miał zapłacić po złowieniu posagu dziedziczki. Ale Villiers, bezustannie ponoszący porażki, niezmiennie ścigany przez zły los, spartaczył umizgi. Dziedziczka odrzuciła go, pośrednik zażądał zwrotu futra i zegarka i w rezultacie odprawiony konkurent został w Londynie na bruku, z ustami pełnymi zębów, ale bez grosza przy duszy.

A jak było z Flaubertem? Niewiele mamy wiadomości o jego czterech podróżach do Anglii. Wiemy, że Wielka Wystawa z 1851 r. zyskała jego nieoczekiwaną aprobatę — „Bardzo ładna, chociaż podziwiana przez wszystkich” — ale jego notatki dotyczące pierwszej wizyty zajmują zaledwie siedem stron: dwie poświęcone British Muséum plus pięć na temat działu chińskiego i hinduskiego w Crystal Palace. Jakie były jego pierwsze wrażenia odnośnie nas, Anglików? Musiał wyjawić to Juliet. Czy żyliśmy zgodnie z hasłem w jego *Dictionnaire des idées reçues* (Anglicy: Wszyscy bogaci. Angielki: Okaż zdumienie, że rodzą takie ładne dzieci)?

A jak przebiegały następne wizyty, kiedy był już autorem głośnej *Pani Bovary*? Czy starał się nawiązać kontakt z pisarzami angielskimi? Czy myszkował po angielskich burdelach? Czy spędzał miło czas w domu Juliet, pozerając ją wzrokiem przy kolacji, a następnie szturmując jej fortecę? A może byli (prawie tego pragnąłem) tylko przyjaciółmi? Czy

angielszczyzna Flauberta była taka na chybił-trafił, jak można sądzić na podstawie jego listów? Czy też mówił wyłącznie językiem Szekspira? I czy bardzo uskarżał się na mgłę?

Kiedy spotkałem się z Edem w restauracji, robił wrażenie człowieka jeszcze mniej stworzonego do sukcesów niż poprzednio. Mówił o cięciach budżetowych, okrucieństwie świata i braku własnych publikacji. Raczej wydedukowałem, niż usłyszałem, że został wyrzucony z pracy. Wyjaśnił, na czym polega ironia tego zwolnienia: wzięło się bowiem z pietyzmu dla wykonywanej pracy, z tego, że przedstawiając Gosse'a światu, chciał w pełni oddać mu sprawiedliwość. Zwierzchnicy akademicy sugerowali mu, żeby wygładził nieco kanty. Otóż tego właśnie nie zamierzał robić. Zbyt szanuje pisarstwo i pisarzy. „No bo czy nie mamy wobec tych facetów czegoś w rodzaju długu?” — zakończył swoją wypowiedź.

Być może ofiarowałem mu nieco mniej współczucia, niż oczekiwał. Czy jednak człowiek jest w stanie wytyczać ścieżki, którymi chadza szczęście? Raz chociaż trafiło ono do mnie. Szybko zamówiłem kolację, prawie nie zważając na to, co jem; Ed rozważał menu, jakby był Verlaine'em, któremu stawiają pierwszy solidny posiłek od wielu miesięcy. Słuchanie nudnego uzalania się Eda nad sobą i patrzeć, jak bez pośpiechu przeżuwa smażone rybki, wystawiało na próbę moją cierpliwość, nie zmniejszało jednak podekscytowania.

— No dobrze — powiedziałem, kiedy przystąpiliśmy do głównego dania. — Juliet Herbert.

— Och — zreflektował się. — Oczywiście. — Wyglądało na to, że może trzeba go będzie trochę przycisnąć. — To dziwna historia.

— Jakżeby inaczej.

— No właśnie. — Ed robił wrażenie odrobinę zmartwionego, prawie zażenowanego. — Otóż byłem tutaj jakieś pół roku temu, poszukując jednego z dalekich potomków pana Gosse'a. Nie żebym spodziewał się coś znaleźć. Chodziło po prostu o to, że o ile wiedziałem, nikt przedtem nie rozmawiał z damą, której szukałem, i uznałem, że moim... moim obowiązkiem jest zobaczyć się z nią. A nuż dotarła do niej jakaś rodzinna legenda, której nie uwzględniłem.

— No i?

— No i? Och, nie, nic z tych rzeczy. Spotkanie z nią zupełnie nic nie dało. Był to jednak przyjemny dzień. Kent. — Znowu robił wrażenie zatroskanego; wyglądał, jakby brakowało mu płaszcza, którego pozbawił go bezlitośnie kelner. — Ach tak, wiem, o co panu chodzi. Zachowały się jednak pewne listy. Teraz ustalmy parę faktów, proszę

mnie w razie czego poprawić. Juliet Herbert umarła w 1909 r. czy coś koło tego, prawda? Dobrze. Miała kuzynkę. Dobrze. Otóż ta kobieta znalazła listy, wręczyła je panu Gosse'owi i poprosiła o jego opinię co do ich wartości. Pan Gosse pomyślał, że zechce od niego pieniędzy, powiedział więc, że są interesujące, ale nic niewarte. Na co kuzynka najwidoczniej oddała mu po prostu listy, mówiąc, że skoro nie są nic warte, może je sobie wziąć. Co też uczynił.

— Jak się pan o tym wszystkim dowiedział?

— Znalaziono własnoręczny list Gosse'a.

— Więc?

— W ten sposób znalazły się u tej damy w Kencie. Zadała mi, niestety, to samo pytanie: Czy mają one jakąś wartość? Żałuję, ale zachowałem się w sposób niezbyt moralny. Powiedziałem jej, że miały wartość, kiedy Gosse je badał, ale teraz już ją straciły. Powiedziałem, że nadal są dosyć interesujące, ale niewiele warte, bo połowa z nich została napisana po francusku. Po czym kupiłem je od niej za pięćdziesiąt funtów.

— Dobry Boże. — Nic dziwnego, że miał taką przebiegłą minę.

— Tak, to niezbyt ładnie, prawda? Nie mam żadnego usprawiedliwienia, ale wtedy fakt, że sam pan Gosse kłamał, kiedy je otrzymywał, pomógł mi zbagatelizować tę kwestię. Czy nie sądzi pan, że tkwi w tym interesujący problem etyczny? Tylko że ja byłem dosyć przygnębiony wylaniem z uczelni i pomyślałem, iż zabiorę je ze sobą do kraju i sprzedam, dzięki czemu mógłbym kontynuować pisanie książki.

— Ile jest tych listów?

— Jakies siedemdziesiąt pięć. Mniej więcej po trzy tuziny z każdej strony. Tak właśnie ustaliliśmy cenę — funt za list po angielsku, pięćdziesiąt centów za list po francusku.

— Dobry Boże. — Zacząłem zastanawiać się, ile też mogą być warte. Może tysiąc razy wyższą cenę. Albo i więcej.

— No właśnie.

— Więc niechże mi pan o nich opowie.

— Ach tak. — Przerwał i obrzucił mnie spojrzeniem, które można by uznać za szelmowskie, gdyby nie chodziło o faceta tak łagodnego i pedantycznego. Pewnie rozkoszował się moim podekscytowaniem. — Wał pan śmiało. Co chce pan wiedzieć?

— Czytał je pan?

— O tak.

— No i, no i... — Nie wiedziałem, o co pytać. Ed najwyraźniej delectował się teraz sytuacją. — I co? Był między nimi romans? Pewno był, prawda?

— O tak, bez wątpienia.

— Kiedy się zaczął? Zaraz po jej przyjeździe do Croisset?

— O tak, wkrótce.

W tej sytuacji list do Bouilheta staje się jasny; Flaubert urządził sobie zabawę, droczył się z nim, utrzymując, że ma dokładnie tyle samo szans wobec guwernantki co jego przyjaciel; podczas gdy w istocie...

— I trwało to przez cały czas jej pobytu?

— O tak.

— A kiedy on znalazł się w Anglii?

— Tak, wtedy też.

— Czy była jego narzeczoną?

— Trudno powiedzieć. W każdym razie prawie, jak przypuszczam. W ich listach są napomknienia na ten temat, przeważnie żartobliwe. Uwagi o zwykłej angielskiej guwernantce usidlającej sławnego francuskiego literata; co by zrobiła, jeśliby poszedł do więzienia za kolejną obrazę moralności publicznej; tego rodzaju aluzje.

— No, no, no! A czy możemy stwierdzić, jaka była?

— Jaka była? Och, ma pan na myśli, jak wyglądała?

— Tak. Nie było... nie było... — wyczuwał moją nadzieję — ...fotografii?

— Fotografii? Owszem, nawet kilka, ze studio w Chelsea, odbite na kartonie. Pewnie po~prosił, żeby je przysłała. Czy ma to jakieś znaczenie?

— Niewiarygodne. Jak wyglądała?

— Ładna, milutka, ale nie rzucająca się w oczy. Ciemne włosy, mocna szczęka, kształtny nos. Nie przyglądałem się zbyt uważnie; nie mój typ w gruncie rzeczy.

— Bardzo byli do siebie przywiązani? — Właściwie nie bardzo wiedziałem, o co jeszcze mógłbym zapytać. „Angielska narzeczona Flauberta — powtarzałem sobie w duchu. — Napisał Geoffrey Braithwaite.”

— O tak, na to wygląda. Zdaje się, że więź między nimi była bardzo mocna. Pod koniec opanował sporo angielskich czułych słówek.

— Tak że radził sobie z naszym językiem?

— O tak, w jego listach jest parę dłuższych ustępów po angielsku.

— Czy podobał mu się Londyn?

— Owszem. Jakżeby nie? Było to przecież miasto jego fiancée.

Pocziwy stary Gustaw — szepnąłem do siebie; poczułem dla niego tkliwość. Tutaj, w tym mieście, sto kilka lat temu, z moją rodaczką, która zniewoliła jego serce.

— Czy narzekał na mgłę?

— Oczywiście. Napisał coś w rodzaju: Jak możesz żyć w takiej mgle? Zanim dżentelmen rozpozna damę, która idąc w jego stronę, wyłania się z mgły, jest już zbyt późno, żeby uchylić kapelusza. Dziwi mnie, że ten ród nie wymarł, skoro warunki tak utrudniają naturalną uprzejmość.

Jakże pasuje do niego ten ton: elegancki, przekorny, odrobinę frywolny.

— A Wielka Wystawa? Czy wdawał się w szczegóły? Założę się, że mu się podobała.

— Tak. Oczywiście było to kilka lat przed ich pierwszym spotkaniem, ale wspominał ją z sentymentem; zastanawiał się, czy mógł nieświadomie natknąć się na Juliet w tłumie. Uważał, że było to trochę straszne, ale jednocześnie naprawdę wspaniałe. Zdaje się, że na wszystkie eksponaty patrzył jak na ogromny skład surowca pisarskiego.

— A... hmm... — No cóż, czemu by nie. — Przypuszczam, że nie odwiedził żadnego burdelu?

Ed spojrzał na mnie krzywym okiem.

— Przecież pisał do swojej przyjaciółki, prawda? Chyba trudno, żeby się tym chełpił?

— Oczywiście. — Poczułem się skarcony. A jednocześnie zrobiło mi się wesoło. Moje listy. Moje listy. Bo przecież Winterton pozwoli mi je chyba opublikować?...

— Kiedy mógłbym je zobaczyć? Pewnie ma je pan przy sobie?

— O nie.

— Nie? — Cóż, to na pewno rozsądnie z jego strony, że trzyma je w jakimś bezpiecznym miejscu. W podróży niejedno może się zdarzyć. Chyba że... chyba że czegoś nie zrozumiałem. Może... chce pieniędzy? Nagle uświadomiłem sobie, że nie wiem o Edzie Wintertonie absolutnie nic poza tym, że wszedł w posiadanie mojego egzemplarza *Literackich wspominków* Turgieniewa. — Nie przyniósł pan ani jednego?

— Nie. Widzi pan, ja je spaliłem.

— Co takiego?

— Tak, właśnie dlatego powiedziałem, że to dziwna historia.

— W tej chwili brzmi to jak opowieść kryminalna.

— Byłem pewien, że mnie pan zrozumie — oznajmił ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu i uśmiechnął się szeroko. — To znaczy, jedynie pan. Co prawda w pierwszej chwili postanowiłem nikomu o niczym nie mówić, ale potem przypomniałem sobie pana. Pomyślałem, że jednej osobie z branży trzeba powiedzieć. Żeby nie poszło w zapomnienie.

— Proszę mówić dalej. — Ten człowiek to maniak, nie było co do tego dwóch zdań. Nic dziwnego, że wywalili go z uniwersytetu. Szkoda tylko, że nie zrobili tego wiele lat wcześniej.

— Widzi pan, listy zawierały mnóstwo interesującego materiału. Wiele z nich było długich, wypełnionych refleksjami na temat innych pisarzy, życia publicznego i tak dalej. Były nawet bardziej swobodne niż te jego listy, które są ogólnie znane. Może dlatego, że wysyłał je poza swój kraj, pozwalał sobie na taką swobodę. — Czy ten zbrodniarz, blagier, miernota, morderca, ten łysy piromaniak wiedział chociaż, jaki ból mi zadaje? Najprawdopodobniej wiedział. — A jej listy były również na swój sposób ciekawe. Wyjawiały całą historię jej życia. Bardzo odkrywcze, jeśli chodzi o Flauberta. Pełne nostalgicznych opisów życia domowego w Croisset. RzUCA się w oczy, że była bardzo spostrzegawcza. Zauważyła rzeczy, których, jak mi się wydaje, nikt inny by nie zauważył.

— Proszę mówić. — Skinąłem z ponurą miną na kelnera. Czuję, że dłużej nie wytrzymam. Miałem wielką ochotę powiedzieć Wintertonowi, jak bardzo się cieszę, iż Brytyjczycy spalili Biały Dom, tak że została kupka popiołu.

— Z pewnością zastanawia się pan, dlaczego zniszczyłem listy. Widzę przecież, że coś wytrąciło pana z równowagi. Otóż w ostatnim liście Flaubert pisze, że w wypadku jego śmierci jej listy zostaną odesłane i że ma ona spalić całą korespondencję.

— Czy podał jakiś powód?

— Nie.

Wydawało się to dziwne, zakładając oczywiście, że ten maniak mówi prawdę. Ale przecież Gustaw spalił sporą część swojej korespondencji z Du Campem. Być może jakiś chwilowy przypływ dumy z własnych korzeni rodzinnych sprawił, że nie chciał, by świat dowiedział się, iż o

mały włos nie poślubił angielskiej guwernantki. A może nie chciał, byśmy się dowiedzieli, jak poważnie zagrożone było jego sławetne upodobanie do samotności i sztuki. Ale świat dowie się o wszystkim. Rozgłoszę to, w ten lub inny sposób.

— Sam pan widzi, że w tej sytuacji nie miałem wyboru. Chodzi mi o to, że skoro człowiek zajmuje się pisarzami, musi postępować wobec nich uczciwie, czyż nie mam racji? Musi być im posłuszny, nawet jeśli inni ludzie nie są. — Co za filister, co za moralizujący sukinsyn! Posługiwał się etyką jak kokota szminką. A poza tym udało mu się połączyć w jednej formułce wcześniejszy fałsz i późniejsze filisterstwo. — W tym ostatnim liście było jeszcze jedno. Chodzi o dosyć dziwne polecenie połączone z prośbą, by panna Herbert spaliła korespondencję. Napisał: Jeśli ktokolwiek zapyta, co było w moich listach albo jakie było moje życie, proszę Cię, skłam. A właściwie, ponieważ jesteś ostatnią osobą, od której miałbym prawo żądać kłamstwa, powiedz to, co Twoim zdaniem chcieliby usłyszeć.

Czułem się jak Villiers de l'Isle-Adam: ktoś wypożyczył mi na kilka dni futro i zegarek repetier, a potem bezlitośnie je wydarł. Szczęście, że właśnie w tym momencie przyszedł kelner. Poza tym Winterton nie był wcale taki głupi: odsunął swoje krzesło od stołu i zajął się paznokciami. — Szkoda tylko — oznajmił, kiedy chowałem kartę kredytową — że teraz prawdopodobnie nie będę w stanie sfinansować pana Gosse'a. Ale jestem pewny, że zgodzi się pan, iż chodziło tu o interesujący wybór moralny.

Zdaje się, że uwaga, jaką wtedy rzuciłem, była głęboko niełojalna wobec pana Gosse'a zarówno jako pisarza, jak i istoty płciowej; nie sposób jednak było darować jej sobie.

4. *BESTIARIUSZ FLAUBERTA*

Przyciągam szaleńców i zwierzęta.

List do Alfreda le Poittevina,

26 maja 1845 r.

NIEDŹWIEDŹ

Gustaw był Niedźwiedziem. Jego siostra Karolina — Szczurem; „Twój kochany szcur”, „Twój wiemy szcur” — podpisywała się; „mały szcur”. „Ach, szcurku, pocziwy szcurku, stary szcurku”, „stary szcurze, wstrętny stary szcurze, pocziwy szcurze, biedny stary szcurze” — zwracał się do niej; lecz sam Gustaw był

Niedźwiedziem. Kiedy był zaledwie dwudziestolatkiem, ludzie uważali go za „dziwaka, niedźwiedzia, młodzieńca niepodobnego do innych” i jeszcze przed atakiem epilepsji i zamknięciem w Croisset wizerunek ten zdążył się już utrwalić: „Jestem niedźwiedziem i chcę pozostać niedźwiedziem skrytym w swoim mateczniku, na swoim legowisku, w swojej skórze, skórze starego niedźwiedzia; chcę żyć spokojnie, z dala od mieszcuchów”. Po ataku bestia utwierdziła swoją pozycję: „Żyję sam jak niedźwiedź”. (Słowo „sam” w tym zdaniu najlepiej można zinterpretować jako: „sam, wyłączając moich rodziców, siostrę, służbę, psa, kozę Karoliny i regularne wizyty Alfreda le Poittevina”.)

Wrócił do zdrowia, pozwolono mu podróżować; w grudniu 1850 r. napisał do matki z Konstantynopola, rozbudowując wizerunek Niedźwiedzia. Wyjaśniał za jego pomocą nie tylko swój charakter, ale również swoją strategię literacką:

Jeśli uczestniczysz w życiu, niezbyt dobrze się w nim rozeznajesz: zbyt wiele przynosi ci albo bólu, albo uciech. Moim zdaniem artysta jest wybrykiem natury, czymś nie mieszczącym się w jej obrębie. Wszystkie klęski, jakie Opatrzność na niego zsyła, biorą się z uporu, z jakim zaprzecza tej maksymie... Dlatego też (jest to mój wniosek) pogodziłem się z takim życiem, jakie dotychczas wiodłem: samotny w tłumie wielkich ludzi, którzy są dla mnie jedynym kręgiem przyjaciół, niedźwiedź na niedźwiedziej skórze, moim wiernym towarzyszem.

Nie trzeba chyba dodawać, że tym „tłumem przyjaciół” byli nie ludzie odwiedzający jego dom, ale kamraci z półek bibliotecznych. Jeśli zaś chodzi o niedźwiedzia-dywanik, zawsze się on troszczył: dwukrotnie napisał ze Wschodu (Konstantynopol, kwiecień 1850 i Benisouef, czerwiec 1850), prosząc matkę, żeby o niego dbała. Jego siostrzenica Karolina także zapamiętała ten centralny element wyposażenia jego gabinetu. Prowadzono ją tam o godzinie pierwszej na lekcję: żaluzje opuszczano, żeby było chłodniej, i zaciemniony pokój napelniał się zapachem kadzidełek i tytoniu. „Jednym skokiem rzucałam się na wielkie białe futro niedźwiedzia, które uwielbiałam, i okrywałam wielki łeb pocałunkami.”

Jeśli złapiesz niedźwiedzia — powiada macedońskie przysłowie — będzie dla ciebie tańczył; Gustaw nie tańczył; Flaubert [2] nie był niczym niedźwiedziem. (Jak oddać to po francusku? Może Gourstave.)

Niedźwiedź: Zwykle nosi imię Marcin. Przytocz opowieść o starym wojaku, który zobaczywszy, że zegarek wpadł do niedźwiedziej jamy,

zsunął się do środka i został pożarty.

Dictionnaire des idées reçues

Gustaw uosabiał również inne zwierzęta, w młodości wręcz całą ich różnorodność w grupach: spragniony ujrzeć Ernesta Chevaliera staje się „lwem, tygrysem — tygrysem indyjskim, boa dusicielem” (1841); odczuwając, co zdarzało się rzadko, pełnię sił, staje się „wołem, sfinksem, czapłą, słoniem, wielorybem” (1841). Później zmienia się już tylko w jedno zwierzę na raz. Jest ostrygą zamkniętą w skorupie (1845); ślimakiem w skorupie (1851); jeżem kulącym się w samoobronie (1853, 1857). Jest literacką jaszczurką wygrzewającą się w słońcu Piękna (1846) i gajówką o przenikliwym głosie, która kryje się w głębi lasów i tylko sama siebie słyszy (również 1846). Staje się łagodny i krzepki jak krowa (1867); czuje się zmordowany jak osioł (1867); ale nadal pluszcze się w Sekwanie jak morświn (1870). Pracuje jak muł (1852); życie, jakie prowadzi, zabiłoby trzy nosorożce (1872); haruje „jak XV wołów” (1878); chociaż jednocześnie radzi Luizie Colet zagrzebać się w pracy niby kret (1853). Zdaniem Luizy podobny jest do „dzikiego bawołu z amerykańskiej prerii” (1846). George Sand wydaje się jednak „łagodny jak jagnię” (1866) — czemu on sam zaprzecza (1869) — a oboje gawędzą ze sobą niby sroki (1866); dziesięć lat później na jej pogrzebie płacze jak cielę (1876). Samotny w swoim gabinecie, kończy opowieść, którą pisze specjalnie dla niej, opowieść o papudze; z rykiem wyrzuca ją z siebie „niby goryl” (1876).

Od czasu do czasu igra z nosorożcem i wielbłądem jako wizerunkami samego siebie, ale nade wszystko, w skrytości ducha, z natury swojej jest Niedźwiedziem: upartym niedźwiedziem (1852), niedźwiedziem wpędzanym w coraz głębszą niedźwiedziowatość przez głupotę swojej epoki (1853), parszywym niedźwiedziem (1854), a nawet wypchanym niedźwiedziem (1869); i tak dalej, aż do ostatniego roku życia, kiedy nadal „ryczy głośno niby niedźwiedź w swojej jamie” (1880).

Zauważmy, że w *Herodiadzie*, ostatnim dokończonym utworze Flauberta, uwięziony prorok Iaoanan, kiedy rozkazano mu zaprzestać potępiania znieprawionego świata, odpowiada, że on też będzie nadal ryczał „jak niedźwiedź”.

Mowa ludzka jest jak pęknięty kocioł, na którym wygrywamy muzykę, by tańczyły przy niej niedźwiedzie, chociaż marzymy o tym, by wzbudzić współczucie w gwiazdach.

Pani Bovary

W czasach Gourstave’a łatwiej było o niedźwiedzia niż teraz:

brunatne żyły w Alpach, rdzawe w Sabaudii. W wytwornych sklepach można było kupić soloną szynkę niedźwiedzią. Aleksander Dumas jadł niedźwiedzi stek w Hôtel de la Poste, w Marigny, w 1832 r.; później, w swoim *Grand dictionnaire de cuisine* (1870) zanotował, że „niedźwiedzie mięso jest obecnie jedzone przez wszystkie narody europejskie”. Od kuchmistrza przy JKM królu Prus Dumas otrzymał przepis na łapy niedźwiedzie po moskiewsku. Kupić odarte ze skóry łapy. Opłukać, nasolić i marynować przez trzy dni. Gotować na małym ogniu z bekonem i jarzynami przez siedem albo osiem godzin; osuszyć, wytrzeć, poproszyć pieprzem i obsmażyć na roztopionym smalcu. Obtoczyć w tartej bułce i piec przez pół godziny. Podaje się z ostrym sosem i dwiema łyżeczkami galaretki porzeczkowej.

Nie wiadomo, czy Flaubert jadł kiedykolwiek swojego imiennika. W 1850 r. jadł w Damaszku wielbłąda. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że gdyby jadł niedźwiedzia, skomentowałby tę ipsofagię.

Jakim dokładnie gatunkiem niedźwiedzia był Flaubert? Możemy wytropić to w jego listach. Z początku jest po prostu bliżej nie określonym ours, niedźwiedziem (1841). Bliżej nie określonym pozostaje — chociaż wchodzi w posiadanie jamy — w 1843 r., w styczniu 1845 r. i maju 1845 r. (w tym czasie chełpi się już potrójną warstwą futra). W czerwcu 1845 r. chce kupić do swojego pokoju obraz przedstawiający niedźwiedzia i zatytułować go „Portret Gustawa Flauberta” — „By wskazać moje psychiczne i towarzyskie nastawienie”. Dotychczas wyobrażaliśmy sobie (a być może on sam także) ciemne zwierzę — amerykańskiego niedźwiedzia brunatnego, rosyjskiego niedźwiedzia czarnego, rdzawego niedźwiedzia z Sabaudii. Ale we wrześniu 1845 r. Gustaw stanowczo obwieszcza, że jest „białym niedźwiedziem”.

Dlaczego? Czy dlatego, że — chociaż niedźwiedź — jest także białym Europejczykiem? Czy może natchnieniem dla tego utożsamienia się było futro białego niedźwiedzia leżące na podłodze w jego gabinecie (o którym to futrze po raz pierwszy wspomina Luizie Colet w liście z sierpnia 1846 r., oznajmiając jej, że lubi wyciągnąć się na nim w ciągu dnia; może tak wybrał sobie odmianę, żeby mógł leżeć na tym futrze, dwuznaczny, kalamburowy i zakamuflowany)? Czy też zabarwienie to wskazuje na późniejsze odsunięcie się od ludzkości, zmierzanie ku skrajnej niedźwiedziowości? Brunatny, czarny, rdzawy niedźwiedź — wszystkie one są bliskie człowiekowi, bliskie miastom, a nawet ludzkiej przyjaźni. Kolorowy niedźwiedź łatwiej daje się oswoić. Ale niedźwiedź biały, polarny? Nie tańczy dla uciechy człowieka; nie żywi się jagodami;

nie można go zwabić wykorzystując słabość do miodu.

Inne niedźwiedzie są wykorzystywane. Rzymianie sprowadzali niedźwiedzie z Brytanii na swoje igrzyska. Mieszkańcy Kamczatki, ze wschodniej Syberii, używali wnętrzości niedźwiedzi jako masek na twarze, by ochronić się przed blaskiem słońca, a zaostrej kości łopatkowej — do ścinania trawy. Ale biały niedźwiedź, *thalassarctos maritimus*, to arystokrata wśród niedźwiedzi. Samotny, wyniosły, elegancko nurkujący, by złowić rybę, bezlitośnie czatujący na foki, kiedy wypływają, by zaczerpnąć powietrza. Morski niedźwiedź. Przemierza wielkie odległości na pływających polach lodowych. Pewnej zimy w ubiegłym stuleciu dwanaście wielkich białych niedźwiedzi dotarło w ten sposób na południe aż do Islandii; wyobraźcie sobie, jak podróżują na swoim roztopiającym się tronie, by wreszcie dokonać przerażającego, niemal boskiego desantu. William Scoresby, badacz Arktyki, odnotował, że wątroba niedźwiedzia jest trująca — jedyna trująca część ciała u wszystkich czworonogów. Dyrektorzy ogrodów zoologicznych nie znają żadnego testu na brzemienność niedźwiedzia polarnego. Dziwne fakty, które Flaubertowi być może wcale nie wydały się takie dziwne.

Kiedy Jakuci, lud syberyjski, spotykają niedźwiedzia, zdejmują czapki, pozdrawiają go, nazywają panem, starym człowiekiem albo dziadkiem i obiecują, że go nie zaatakują ani nawet nie będą o nim źle się wyrażali. Jeśli jednak widzą, że chce się na nich rzucić, strzelają i kiedy uda się im go zabić, ćwiartują go, pieką i częstując jedni drugich, powtarzają bez ustanku: „To Rosjanie cię zjadają, nie my”.

A. F. Aulagnier, *Dictionnaire des aliments et boissons*

Czy były jakieś inne powody, dla których postanowił zostać Niedźwiedziem? Przenośny sens *ours* jest mniej więcej taki sam jak po angielsku: bezlitosna dzika bestia. *Ours* oznacza w argot celę aresztu. *Avoir ses ours*, mieć swoje niedźwiedzie, oznacza „mieć miesiączkę” (przypuszczalnie dlatego, że wtedy kobieta zachowuje się ponoć jak niedźwiedź, którego boli głowa). Etymolodzy idąc za tym kolokwializmem cofnęli się do przełomu wieków. (Flaubert go nie używał; wolał „wylądowały czerwone mundury” lub inne żartobliwe wariacje na ten temat. Przy pewnej okazji, kiedy martwił się nieregularnością periodu Luizy Colet, odnotowuje w końcu z ulgą, że przybył lord Palmerston.) *Un ours mal léché*, źle wylizany niedźwiedź, oznacza kogoś nieokrzesanego i mizantropijnego. Bardziej stosowny dla Flauberta był *un ours*, żargonowe dziewiętnastowieczne określenie

działa, które było często proponowane i odrzucane, ale w końcu akceptowane.

Bez wątpienia Flaubert znał bajkę La Fontaine'a o niedźwiedziu i człowieku, który wylegiwał się w ogrodzie. Był raz niedźwiedź, brzydkie i kalekie stworzenie, które ukryło się przed światem i żyło sobie samotnie w lesie. Po jakimś czasie stało się smutne i zapamiętałe — „rzadko bowiem Rozum zamieszka na dłużej pośród pustelników”. Tak więc niedźwiedź wyprawił się w końcu w drogę i spotkał ogrodnika, który także prowadził pustelniczy tryb życia i także tęsknił za towarzystwem. Niedźwiedź zamieszkał w szopie ogrodnika. Ogrodnik został pustelnikiem, bo nie mógł znieść głupców; ponieważ zaś niedźwiedź wypowiadał ledwie trzy słowa na dzień, mógł bez przeszkód wykonywać swoją pracę. Niedźwiedź chadzał na polowania i przynosił dla obu zwierzynę. Kiedy ogrodnik zasypiał, niedźwiedź siadał obok i z oddaniem odganiał muchy, które chciały usiąść na twarzy ogrodnika. Pewnego dnia mucha usiadła na czubku nosa człowieka i nie dało się jej odpędzić. Niedźwiedź rozzłościł się strasznie na muchę, w końcu chwycił ogromny kamień i zabił ją. Na nieszczęście tym samym zmiądzzył głowę ogrodnika.

Być może Luiza Colet też знаła tę opowieść.

WIELBŁĄD

Gdyby Gustaw nie był Niedźwiedziem, mógłby być Wielbłądem. W styczniu 1852 r. pisze do Luizy i wyjaśnia raz jeszcze, dlaczego jest niepoprawny: jest, jaki jest, nie może się zmienić, nie ma nic na ten temat do powiedzenia, podlega ciężeniu rzeczy, „które sprawia, że niedźwiedź polarny zamieszkuje lodowate regiony, wielbłąd zaś chodzi po piasku”. Dlaczego właśnie wielbłąd? Może dlatego, że stanowi dobry przykład Flaubertowskiej groteski: jest poważny i komiczny zarazem i nic nie może na to poradzić. Pisarz donosi z Kairu: „Jedną z najwspanialszych rzeczy jest wielbłąd. Bez znużenia mogę patrzeć na to dziwne zwierzę, które kolebie się na boki jak indyk i kołysze szyją jak łabędź. Aż do zmęczenia usiłuję nauczyć się naśladować odgłos, jaki wydaje — mam nadzieję zaprezentować go po powrocie — ale ciężko to odtworzyć: coś jakby grzechocące rżenie, na które nakłada się niewiarygodny gulgot”.

Ten gatunek również przejawia swojski dla Gustawa rys charakteru: „Zarówno w mojej fizycznej, jak i umysłowej aktywności jestem niby dromader, którego bardzo trudno skłonić do biegu i równie trudno zatrzymać; i w odpoczynku, i w działaniu potrzebuję ciągłości”. Ta pochodząca z 1853 r. analogia, raz uruchomiona, także okazuje się trudna do zastopowania: biegnie dalej w liście do George Sand z 1868 r.

Chameau, wielbłąd, w argot oznaczał starą kurtyzanę. Nie sądzę, żeby to skojarzenie mogło zniechęcić Flauberta.

OWCA

Flaubert lubił jarmarki: zonglerów, olbrzymki, wybryki natury, tańczące niedźwiedzie. W Marsylii zwiedził stragan przy nabrzeżu reklamujący „kobiety-owce”, które biegały dokoła, podczas gdy marynarze szarpali je za wełnę, żeby przekonać się, czy są prawdziwe. Nie było to widowisko na najwyższym poziomie: „Trudno o coś głupszego i ohydniejszego” — donosił. O wiele większych wrażeń dostarczył mu pokaz w starym ufortyfikowanym mieście na północny zachód od St Nazaire — Guerande, które zwiedził podczas pieszej wędrówki po Bretanii z Du Campem w 1847 r. Natknęli się tam na cwane go wieśniaka, który z pikardyjskim akcentem zachwalał „młody fenomen”: okazało się, że chodzi o pięcionogą owcę z ogonem w kształcie trąbki. Flaubert był uszczęśliwiony zarówno tym wybrykiem natury, jak i jego właścicielem. Zachwycił się zwierzęciem; zabrał chłopca na kolację, zapewnił go, że mógłby zbić majątek, i poradził napisać do króla Ludwika Filipa w tej sprawie. Na zakończenie wieczoru, ku wyraźnemu zgorszeniu Du Campa, przeszedł z wieśniakiem na ty.

„Młody fenomen” zafascynował Flauberta i wszedł do jego żartobliwego słownika. Kiedy włączyli się z Du Campem, z szyderczą powagą przedstawiał swojego przyjaciela drzewom i krzakom: „Czy wolno mi przedstawić młodego fenomena?” W Breście Gustaw ponownie natknął się na cwane go Pikardyjczyka i jego wybryk natury, zjadł w ich towarzystwie kolację i upił się, a następnie znowu zachwalał wspaniałość zwierzęcia. Często ogarniały go te frywolne manie; Du Camp czekał spokojnie, aż to minie niby gorączka.

Następnego roku, w Paryżu, Du Camp był chory i musiał leżeć w łóżku. Pewnego dnia o czwartej po południu usłyszał odgłosy zamieszania na półpiętrze, po czym drzwi otworzyły się gwałtownie. Wkroczył Gustaw, a za nim pięcionoga owca i ubrany w niebieską bluzę właściciel zwierzęcia. Wypluł ich jakiś targ przy Inwalidach albo na Champs Elysees i Flaubert gorąco zapragnął podzielić się radością tego spotkania z przyjacielem. Du Camp oschle notuje, że owca „zachowała się nieodpowiednio”. Podobnie zresztą jak Gustaw, który wrzeszczał, domagając się wina, oprowadzał zwierzę po pokoju i krzykami zachwalał jego przymioty. „Młody fenomen skończył trzy lata, ma za sobą Academie de Medicine i został zaszczycony wizytą wielu koronowanych głów ” itd. Po kwadransie chory Du Camp miał tego po

dziurki w nosie. „Odprawiłem owcę wraz z jej właścicielem i kazałem zamieść pokój.”

Ale owca pozostawiła swoje bobki również w pamięci Flauberta. Na rok przed śmiercią nadal przypominał Du Campowi swoje niespodziewane wtargnięcie z młodym fenomenem i nadal śmiał się tak samo jak w dniu, kiedy to wszystko się wydarzyło.

MAŁPA, OSIOŁ, STRUŚ, DRUGI OSIOŁ ORAZ MAKSYM DU CAMP

Tydzień temu zobaczyłem na ulicy, jak małpa wskakuje na osła i przemocą go masturbuje. Osioł ryczał i wierzgał, właściciel małpy wrzeszczał, a sama małpa skrzeczała piskliwie. Poza dwójką lub trójką dzieci, które się śmiały, i mną, który uznałem rzecz za bardzo zabawną, nikt nie zwrócił uwagi na tę scenę. Gdy opisałem to panu Bellin, sekretarzowi konsulatu, powiedział mi, że kiedyś widział, jak struś próbował zgwałcić osła.

Któregoś dnia w opuszczonych dzielnicach wśród ruin Maks kazał doprowadzić się do wytrysku i bardzo to sobie potem chwalił.
List do Ludwika Bouilheta, Kair, 15 stycznia 1850 r.

PAPUGA

Zacznijmy od tego, że papugi [3] są istotami ludzkimi; etymologicznie, ma się rozumieć. Perroquet to zdrobnienie od Pierrot; parrot pochodzi od Pierre, hiszpańskie perico bierze się od Pedro. Dla Greków ich zdolność mówienia była jedną z kwestii w filozoficznej dyspucie o różnicach między człowiekiem a zwierzęciem. Elian donosi, że „bramini czczą je ponad wszelkie inne ptaki. I dodają, że jest to jedyny rozsądny sposób postępowania, gdyż tylko papuga umie dobrze naśladować ludzki głos”. Arystoteles i Pliniusz notują, że ten ptak staje się niezwykle rozpustny, kiedy się upije. Dla nas bardziej interesujące jest twierdzenie Buffona, że papugi mają skłonność do epilepsji. Flaubert wiedział o tej bratniej słabości: wśród gromadzonych na temat papug notatek do *Prostoty serca* znajduje się wykaz ich chorób — podagra, epilepsja, pleśniawka i owrzodzenie gardła.

Podsumujmy. Po pierwsze mamy Lulu, papugę Felicjy. Następnie są dwie rywalizujące ze sobą wypchane papugi, jedna w Hôtel-Dieu, druga w Croisset. Następnie trzy żywe papugi, dwie w Trouville i jedna w Wenecji; plus chora papuga w Antibes. Jako ewentualny pierwowzór Lulu możemy, jak sądzę, wyeliminować matkę „odrażającej” angielskiej rodziny spotkaną przez Gustawa na barce płynącej z Aleksandrii do

Kairu: z zielonym daszkiem od słońca przyczepionym do kapelusza wyglądała „jak chora stara papuga”.

Karolina w swoich *Souvenirs intimes* zauważa, że „Felicyta i jej papuga naprawdę istniały”, i kieruje nas ku pierwszej papudze z Trouville, tej kapitana Barbeya, jako prawdziwemu przodkowi Lulu. Ale nie daje to odpowiedzi na ważniejsze pytanie: jak i gdzie zwykły (aczkolwiek wspaniały) żywy ptak z lat trzydziestych przemienił się w skomplikowaną, transcendentną papugę z lat siedemdziesiątych? Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy; ale mamy podstawy domniemywać, w jakim punkcie ta transformacja się zaczęła.

Druga, nie dokończona część *Bouvarda i Pécucheta* miała składać się głównie z „La Copie”, ogromnego dossier dziwactw, idiotyzmów i jawnie głupich cytatów, które dwaj urzędnicy przepisywali z namaszczeniem gwoli własnemu zbudowaniu moralnemu, a które Flaubert zamierzał przytoczyć z bardziej szyderczą intencją. Wśród tysięcy wycinków gazetowych, jakie zgromadził, mając na widoku ewentualne włączenie ich do dossier, znajduje się następująca historyjka wycięta z „L’Opinion nationale” z 20 czerwca 1863 r.:

„W Gerouville, w pobliżu Arion, mieszkał raz człowiek, który miał wspaniałą papugę. Była jego jedyną miłością. Jako młodzieniec padł ofiarą nieszczęśliwej namiętności; to przeżycie sprawiło, że stał się mizantropem i żył później samotnie, z papugą jako jedynym towarzyszem. Nauczył ptaka wymawiać imię straconej miłości i słuchał, jak ptak powtarzał je sto razy dziennie. Był to jedyny talent tego ptaka, ale w oczach właściciela, nieszczęsnego Henriego K., był to talent cenniejszy niż wszystkie inne razem wzięte. Ilekroć słyszał święte imię wypowiedane tym dziwnym głosem, drżał z radości; miał wrażenie, że słyszy głos zza grobu, coś tajemnego i nadludzkiego.

Samotność rozpałała wyobraźnię Henriego K. i z czasem papuga zaczęła zajmować szczególne miejsce w jego umyśle. Stała się dla niego czymś w rodzaju świętego ptaka; odnosił się do niej z głębokim szacunkiem i całe godziny spędzał wpatrując się w nią z uniesieniem. Wtedy papuga, odwzajemniając spojrzenie pana nieruchomymi oczyma, wypowiadała kabalistyczne słowo i serce Henriego wypełniało się wspomnieniem straconego szczęścia. To dziwne życie trwało wiele lat. Jednak pewnego dnia ludzie zauważyli, że Henri K. wygląda posępniej niż zwykle, a w jego oczach lśni dziwne, dzikie światło. Papuga zdechła.

Henri K. żył nadal samotnie, teraz już zupełnie sam. Żadne więzy nie łączyły go ze światem zewnętrznym. Coraz bardziej zamykał się w sobie. W końcu całymi dniami nie opuszczał swojego pokoju. Jadł wszystko, co mu przyniesiono, ale nikogo nie widywał. W końcu zaczął

wierzyć, że sam przemienił się w papugę. Jakby naśladować nie żyjącego już ptaka, przez cały dzień skrzeczał imię, którego tak lubił słuchać; próbował ponoć dreptać jak papuga, przykucając na różnych przedmiotach i rozpościerając ramiona, jakby trzepotał skrzydłami.

Czasem tracił panowanie nad sobą i zaczynał rozbijać meble; tak więc rodzina postanowiła wysłać go do maison de santé w Gheel. Po drodze uciekł jednak w nocy. Następnego ranka znaleziono go siedzącego na drzewie. Przekonanie go, że powinien zejść na dół, okazało się bardzo trudne, aż wreszcie ktoś wpadł na myśl, żeby u stóp drzewa ustawić olbrzymią klatkę dla papug. Na widok klatki nieszczęsny monomaniak zszedł z drzewa i wtedy został pochwycony. Teraz przebywa w maison de santé w Gheel”.

Wiemy, że Flauberta uderzyła ta gazetowa opowieść. Pod linijką: „z czasem papuga zaczęła zajmować szczególne miejsce w jego umyśle” dopisał następującą uwagę: „Zmień zwierzę — weź psa zamiast papugi”. Jakiś zarys planu przyszłego utworu, to nie ulega wątpliwości. Ale kiedy przystąpił w końcu do pisania opowieści o Lulu i Felicycie, papuga pozostała na placu boju, zmienił się właściciel.

Przed *Prostotą serca* papugi gościły raczej przelotnie w twórczości Flauberta i jego listach. Wyjaśniając Luizie pociąg do obcych krajów (11 grudnia 1846), Gustaw pisze: „Póki jesteśmy dziećmi, pragniemy mieszkać w krainie papug i kandyzowanych daktyli”. Pocieszając smutną i zniechęconą Luizę (27 marca 1853), przypomniał, że wszyscy jesteśmy ptakami w klatce i że życie najbardziej ciąży tym, którzy mają największe skrzydła: „Wszyscy jesteśmy w większym lub mniejszym stopniu orłami albo kanarkami, papugami albo sępami”. Zaprzeczając wobec Luizy, iżby był próżny (9 grudnia 1852), dokonuje rozróżnienia między dumą a próżnością: „Duma to dzika bestia, która zamieszkuje jamy lub pustynie, próżność natomiast to papuga, która skacze z gałęzi na gałąź i papla na oczach wszystkich”. Opisując Luizie heroiczne poszukiwanie stylu przy tworzeniu *Pani Bovary* (19 kwietnia 1852), wyjaśnia: „Ileż to razy runąłem na twarz w chwili, kiedy już myślałem, że mam go w ręku! A jednak czuję, że nie mogę umrzeć, dopóki nie upewnię się, że styl, który słyszę w mojej głowie, zahuczy na powierzchni i zagłuszy głosy papug i cykad”.

W *Salambo*, jak już wspomniałem, kartagińscy tłumacze mają papugi wytatuowane na piersi (szczegół być może raczej szczęśliwie dobrany niż autentyczny?); w tej samej powieści niektórzy barbarzyńcy mają „w ręku parasolki od słońca albo papugi na ramionach”; natomiast w skład umeblowania tarasu Salambo wchodzi małe łóżko z kości słoniowej, którego poduszki wypchane są piórami papuzimi — „był to bowiem

proroczy ptak, poświęcony bogom”.

Nie ma papug ani w *Pani Bovary*, ani w *Bouvardzie i Pécuchecie*; nie ma hasła PAPUGA w *Dictionnaire des idées reçues*; i tylko kilka krótkich wzmianek w *Kuszeniu Świętego Antoniego*. W *Legendzie o Świętym Julianie Szpitalniku* niewiele gatunków zwierzęcych unika rzezi podczas pierwszego polowania Juliana — siedzącym na gałęziach kuropatwom obcina się nogi, a nisko lecące żurawie są stręcane z nieba biczem myśliwego — ale o papugach się nie wspomina ani nie wyrządza im krzywdy. W trakcie drugiego polowania jednak, kiedy ulatnia się zdolność Juliana do zabijania, kiedy zwierzęta stają się nieuchwytnymi, groźnymi obserwatorami swego potykającego się prześladowcy, pojawia się papuga. Błyski światła w lesie, które Julian wziął za gwiazdy nisko zawieszane na niebie, okazują się oczyma patrzących zwierząt: żbików, wiewiórek, sów, papug i małp.

I nie zapominajmy o papudze, której nie było. W *Szkole uczuć* Fryderyk błąka się po dzielnicy Paryża zrujnowanej przez rewolucję 1848 r. Mija zwalone barykady, widzi czarne kałuże, zapewne krwi; story w oknach zwisają na jednym gwoździu niby łachmany. Tu i ówdzie wśród tego chaosu ocalał jakiś kruchy przedmiot. Fryderyk zagląda do jednego z okien. Widzi zegar, parę sztychów i — żerdkę papugi.

Nie inaczej my błąkamy się po przeszłości. Zagubieni, chaotyczni, przestraszeni, podążamy za byle znakiem, który się ostał; odczytujemy nazwy ulic, ale nie mamy żadnej pewności, gdzie właściwie jesteśmy. Wszędzie wokół gruzy. Ci ludzie nigdy nie przestali między sobą walczyć. Potem widzimy dom; może to dom pisarza. Na frontowej ścianie jest tabliczka: „Gustaw Flaubert, pisarz francuski, 1821-1880, mieszkał tutaj podczas...” — i nagle litery kurczą się jak na tablicy u optyka. Podchodzimy bliżej. Zaglądamy przez okno. Tak, to prawda; pomimo rzezi parę kruchych rzeczy ocalało. Zegar nadal cyka. Ryciny na ścianach wskazują, że niegdyś ceniono tu sztukę. Przyciąga wzrok żerdka papugi. Rozglądamy się więc za papugą. Gdzie papuga? Słyszymy jeszcze jej głos; ale wszystko, co możemy zobaczyć, to goła drewniana żerdka. Ptak odleciał.

PSY

1. Pies romantyczny. Był to wielki nowofundlandczyk, własność Elizy Schlesinger. Jeśli wierzyć Du Campowi, nazywał się Nero; jeśli wierzyć Goncourtowi — Thabor. Gustaw poznał panią Schlesinger w Trouville: on miał czternaście i pół roku, ona dwadzieścia sześć lat. Była piękna, miała bogatego męża; nosiła ogromny słomiany kapelusz, a poprzez muślinową suknię przebijały jej kształtne ramiona. Neron — czy też

Thabor — zawsze się jej trzymał. Gustaw często chodził za nimi w dyskretnej odległości. Któregoś razu, na wydmach, rozpięła sukienkę i zaczęła karmić piersią swoje dziecko. Poczul się zagubiony, bezradny, udręczony, upadły. Zawsze potem utrzymywał, że krótkie lato 1836 r. wypaliło mu duszę. (Oczywiście mamy pełne prawo w to nie wierzyć. Co powiedzieli Goncourtowie? „Choć z natury całkowicie otwarty, nigdy nie jest do końca szczery w tym, co mówi o swoich uczuciach, cierpieniach i miłościach.”) A komu najpierw powiedział o tej namiętności? Kolegom szkolnym? Matce? Samej pani Schlesinger? Nie, powiedział Neronowi (czy też Thaborowi). Zabierał nowofundlandczyka na spacer po piaskach Trouville i w zacisznym odosobnieniu pośród wydm padał na kolana i obejmował psa; całował go tam, gdzie, jak wiedział, niedawno przytykała wargi jego pani (umiejscowienie tych pocałunków pozostaje przedmiotem dyskusji: niektórzy mówią o pysku, inni o czubku łba); szeptał do kudłatego ucha Nerona (czy też Thabora) sekrety, które pragnął powierzyć uchu znajdującemu się między muślinową suknią a słomkowym kapeluszem; i zalewał się łzami.

Pamięć o pani Schlesinger, a także jej obecność, prześladowała Flauberta do końca życia. Nie wiadomo natomiast, co stało się z psem.

2. *Pies rzeczywisty.* Moim zdaniem nie przeprowadzono należytych badań, jeśli chodzi o zwierzęta domowe trzymane w Croisset. Na krótkie mgnienie czasu zostają powołane do życia, raz opatrzone jakimś imieniem, innym razem i to nie; tylko z rzadka dowiadujemy się, kiedy i jak się tam znalazły oraz kiedy i jak zdechły. Oto ich spis:

W 1840 r. siostra Gustawa Karolina ma kozę imieniem Souvit.

W 1840 r. rodzina ma czarnego fundlandczyka, sukę, na którą wołano Neo (może to imię wpłynęło na wspomnienie Du Campa o nowofundlandczyku pani Schlesinger).

W 1853 r. Gustaw zjada w Croisset samotnie kolację, w towarzystwie nie wymienionego z imienia psa.

W 1854 r. Gustaw zjada kolację w towarzystwie psa zwanego Dakno; prawdopodobnie chodzi o to samo zwierzę co powyżej.

W 1856-7 jego siostrzenica Karolina ma królika.

W 1856 r. prezentuje na trawniku wypchanego krokodyla, którego przywiózł ze Wschodu, dając mu w ten sposób po raz pierwszy od trzech tysięcy lat okazję do wygrzewania się w słońcu.

W 1858 r. w ogrodzie zagnieżdża się dziki królik; Gustaw zakazuje zabicia go.

W 1866 r. Gustaw zjada kolację w towarzystwie złotych rybek pływających w słoju.

W 1867 r. pies (ni imienia, ni rasy) zdechł po spożyciu trucizny wyłożonej na szczury.

W 1872 r. Gustaw wchodzi w posiadanie charta Julio.

Uwaga: Aby uczynić kompletnym spis znanych nam zwierząt, którym Gustaw użył gościny w swoim domu, musimy wspomnieć, że w październiku 1842 r. cierpiał na mendy.

Spośród wymienionych powyżej zwierząt jedynym, o którym mamy wyczerpujące informacje, jest Julio. W kwietniu 1872 r. umarła pani Flaubert; Gustaw został sam w dużym domu, jedząc posiłki przy wielkim stole „tête-a-tête z sobą samym”. We wrześniu jego przyjaciel Edmond Laporte podarował mu charta. Flaubert wahał się, bo bał się wściekliczny; ale w końcu przyjął psa. Nazwał go Julio (na cześć Juliet Herbert? jeśli tak sobie życzysz, czytelniku) i szybko przywiązał się do niego. Pod koniec miesiąca napisał do swojej siostrzenicy, że jedyną jego rozrywką (trzydzieści sześć lat po tym, jak brał w objęcia nowofundlandczyka pani Schlesinger) jest przytulić do siebie swojego „pauvre chien”. „Jego spokój i uroda aż budzą zazdrość.”

Chart miał być jego ostatnim już towarzyszem w Croisset. Nieprawdopodobna para: otyły, nieruchawy powieściopisarz i rozpędzony gładkowłosy pies. Prywatne życie Julia stało się często powracającym tematem w korespondencji Flauberta: obwieścił, że pies wszedł w „morganatyczny związek” z „młodą osobką” z sąsiedztwa. Pan i pies nawet jednocześnie chorowali: wiosną 1879 r. Flaubert miał reumatyzm i spuchniętą stopę, a w tym samym czasie Julio cierpiał na nie określoną psią chorobę. „Jest zupełnie jak człowiek — pisał Gustaw. — Niektóre jego odruchy są głęboko ludzkie.” Obaj wyzdrowieli i jeszcze przez rok kroczyli niepewnie przez życie. Zima 1879-1880 była wyjątkowo surowa. Gospodyni Flauberta uszyła dla psa kubrak ze starych spodni. Razem przetrwali zimę. Na wiosnę Flaubert umarł. Nie odnotowano natomiast, co się stało z psem.

3. *Pies symboliczny*. Pani Bovary miała psa, podarunek od gajowego, którego leczył na zapalenie płuc jej mąż. Była to une petite levrette d'Italie: mała włoska charcica. Nabokov, który jest nadmiernie apodyktyczny wobec wszystkich tłumaczy Flauberta, czyni z niej charta wyścigowego. Niezależnie od tego, czy pod względem zoologicznym ma rację, czy też nie, nie ulega wątpliwości, że pomija płęć zwierzęcia, która mnie wydaje się ważna. Temu psu nadano chwilowe znaczenie jako... to mniej niż symbol, niezupełnie też metafora: nazwijmy to więc figurą. Emma wchodzi w posiadanie charcicy, kiedy mieszka jeszcze z Karolem w Tostes: okres wczesnych, rodzących się dopiero w niej

oznak, że czuje się nie zaspokojona; okres nudy i niezadowolenia, ale jeszcze nie zepsucia. Zabiera charcicę na spacer i zwierzę staje się — dyskretnie, przelotnie, na jakieś pół akapitu — czymś więcej niż tylko psem. „Najpierw jej myśl miała wędrować bez żadnego celu, jak jej charcica, która biegała w kółko, szczekając na żółte motyle, uganiając się za myszami polnymi i skubiąc maki na skraju kukurydzanego pola. Potem stopniowo jej myśli skupiały się, aż, usiadłszy na kępie trawy i dziobiąc ją końcem parasolki, jęła powtarzać sama do siebie: «O, Boże, po co ja wyszłam za męż?»».” Jest to pierwsze pojawienie się psa — delikatna wzmianka; potem Emma trzyma charcicę za głowę i całuje ją (jak Gustaw Nerona/Thabora); pies ma melancholijny wyraz pyska, ona zaś przemawia do niego jak do kogoś, kto potrzebuje pociechy. Innymi słowy (w obu znaczeniach tego wyrażenia), mówi do samej siebie. Drugie pojawienie się psa jest także ostatnim. Karol i Emma przenoszą się z Tostes do Yonville — ta podróż oznacza przejście Emmy ze świata marzeń i fantazji do rzeczywistości i znieprawienia. Warto odnotować także podróżnego, który jedzie tym samym powozem, ironicznie nazwanego panem Lheureux; jest sprzedawcą galanterii i lichwiarzem na pół etatu, który w końcu usidla Emmę (na obraz jej upadku korupcja finansowa składa się w tym samym stopniu, co zepsucie seksualne). Podczas jazdy chart Emmy ucieka. Przez dobry kwadrans gwiżdżą, żeby go przywołać, potem dają za wygraną. Pan Lheureux łamie opór Emmy przedsmakiem fałszywego ukojenia: opowiada jej pocieszające historie o zaginionych psach, które wracają do swoich panów pomimo wielkich odległości; był nawet taki, który wrócił do Paryża z Konstantynopola. Reakcja Emmy na te opowieści nie została odnotowana.

Ani też nie odnotowano, co się stało z psem.

4. *Pies topielec i pies fantastyczny.* W styczniu 1851 r. Flaubert i Du Camp byli w Grecji. Zwiedzili Marathón, Eleusis i Salamis. Poznali generała Morandiego, żołnierza najemnika, który walczył pod Missolonghi i który z oburzeniem zaprzeczył wobec nich kalumnie głoszonej przez brytyjską arystokrację, że Byron podczas pobytu w Grecji zdegenerował się moralnie. „Był wspaniały — oznajmił generał. — Wyglądał jak Achilles.” Du Camp zapisuje, jak zwiedzali Termopile i czytali na nowo Plutarcha na polu bitwy. 12 stycznia byli w drodze do Eleuthery — obaj przyjaciele, dragoman i uzbrojony policjant, który służył im za strażnika — kiedy pogorszyła się pogoda. Zaczął padać rześisty deszcz; równina, którą przemierzali, znalazła się pod wodą; szkocki terier policjanta został nagle porwany przez strumień, który wylał, i utonął. Deszcz przeszedł w śnieg i zapadły ciemności. Chmury

przesłoniły gwiazdy; byli kompletnie sami.

Minęła jedna godzina, druga; śnieg pokrył grubą warstwą fałdy ich odzieży; zabłądzili. Policjant wystrzelił parę razy w powietrze, ale nie było żadnej odpowiedzi. Przemoczeni i bardzo zmarznięci, stanęli przed perspektywą spędzenia nocy w siodle na niegościnnym terenie. Policjant martwił się stratą psa, dragoman natomiast — facet o wielkich wyłupiastych oczach jak u langusty — okazał się podczas całej wyprawy szczególnie niekompetentny; nie popisał się nawet jako kucharz. Jechali ostrożnie, wypatrując jakiegoś odległego światełka, kiedy nagle policjant wrzasnął: „Stać!” Gdzieś daleko szczekał pies. I wtedy właśnie dragoman ujawnił jedyny swój talent: umiejętność szczekania jak pies. Zaszczekał więc z energią, jaką daje rozpacz. Kiedy umilkł, zaczęli nasłuchiwać i usłyszeli szczekanie w odpowiedzi. Dragoman znowu dał głos. Posuwali się z wolna, zatrzymując się tylko, żeby poszczekać, usłyszeć psią odpowiedź i zgodnie z nią obrać kierunek jazdy. Po półgodzinnym posuwaniu się w stronę coraz to głośniejszego szczekania wiejskiego psa znaleźli w końcu na noc dach nad głową.

Nie odnotowano, co się stało z dragomanem.

Przypis: Czy będziemy w porządku, zaznaczając, że w swoim dzienniku Gustaw przedstawia inną wersję wydarzenia? Zgodny jest co do pogody; zgodny co do daty; zgodny co do tego, że dragoman nie nadawał się na kucharza (stałe podawana baranina i jajka na twardo zmusiły go do jedzenia czerstwego chleba). Jednak, co dziwne, nie wspomina o czytaniu Plutarcha na polu bitwy. Pies policjanta (w wersji Flauberta nie określonej rasy) nie został porwany przez strumień; po prostu utonął na głębokiej wodzie. Jeśli zaś chodzi o szczekanie dragomana, Gustaw wspomina jedynie, że kiedy usłyszeli dochodzące z oddali szczekanie, polecił policjantowi wystrzelić w powietrze. Pies zaszczekał w odpowiedzi; policjant strzelił znowu; i posługując się tym zwykłym sposobem, zdążali w stronę schronienia.

Nie odnotowano, co zdarzyło się naprawdę.

5. PSTRYK

W bardziej odczytanych kręgach angielskiej klasy średniej, kiedy tylko zdarzy się jakiś zbieg okoliczności, zawsze znajdzie się pod ręką ktoś, kto rzecz skomentuje następująco: „To całkiem jak u Anthony’ego Powella”. Często przy bliższym zbadaniu okazuje się, że chodziło o coś bez znaczenia; takim typowym przypadkiem mogłoby być spotkanie po wielu latach dwóch kolegów szkolnych lub uniwersyteckich. Ale nazwisko Powella wymienia się, żeby usankcjonować wydarzenie; to

coś jakby sprowadzenie księdza, żeby pobłogosławił nowy samochód.

Ja nie przywiązuję wagi do zbiegów okoliczności. Jest w nich coś niesamowitego: przez chwilę odczuwa się, co znaczy żyć w uporządkowanym wszechświecie, kierowanym przez Boga, który zagląda człowiekowi przez ramię i skwapliwie a natrętnie odsłania fragmenty kosmicznego planu. Wolę wyobrażać sobie, że wszystko jest chaosem, zarówno chwilowo, jak i po wsze czasy zwariowanym, i toczy się, dokąd chce; wolę czuć pewność ludzkiej ignorancji, brutalności i szaleństwa. „Cokolwiek jeszcze się zdarzy — napisał Flaubert, kiedy wybuchła wojna francusko-pruska — pozostaniemy głupcami.” Czy chodzi tu tylko o chełpliwy pesymizm? Czy też o konieczność porzucenia wszelkich oczekiwań, jeżeli cokolwiek ma być we właściwy sposób pomyślane, zrobione albo napisane?

Nie dbam nawet o nieszkodliwe, komiczne zbiegi okoliczności. Poszedłem raz na kolację i okazało się, że siedem spośród obecnych osób właśnie skończyło czytać *A Dance to the Music of Time*. Nie rozkoszowałem się tym: chociażby dlatego, że mogłem otworzyć usta dopiero, kiedy podano sery.

Jeśli zaś chodzi o zbiegi okoliczności w książkach — w tym chwycie jest coś tandetnego i sentymentalnego; zawsze i niezawodnie robi wrażenie kiczu. Trubadur pojawiający się w najodpowiedniejszym momencie, żeby uratować dziewczynę, która zaplątała się w żywopłot; dobroczyńcy, którzy u Dickensa przybywają zawsze, kiedy są najbardziej potrzebni; katastrofa morska przy obcym wybrzeżu, która sprawia, że łączą się ponownie rodzeństwa i kochankowie. Naraziłem się kiedyś pewnemu dopiero co poznanemu poecie, mówiąc z lekceważeniem o tym gnuśnym fortelu; był zapewne biegły w przypadkowym składaniu rymów. „A może — zasugerował wyniośle, jak przystało geniuszowi — ma pan zbyt prozaiczny umysł?”

— Z pewnością jednak — odparłem, dosyć zadowolony z siebie — prozaiczny umysł najlepiej pozwala ocenić prozę?

Gdybym był dyktatorem literatury, zakazałbym jakichkolwiek ślepych trafów. No, może nie całkiem. Przypadki byłyby dozwolone w powieściach przygodowych; tam jest ich miejsce. Dalej, korzystajcie z nich: niech pilot, którego spadochron zawiódł, spadnie na kopę siana, niech cnotliwy biedak z nogą ogarniętą gangreną znajdzie zakopany skarb — wszystko w porządku, nie ma to w istocie znaczenia...

Sposobem uprawomocnienia trafu jest oczywiście nazwanie go ironią. Tak postępują ludzie sprytni. W końcu, ironia to najnowszy krzyk mody, kumpel do kieliszka dla dźwięczności i dowcipu. Któż ważyłby się przeciwko niej występować? A jednak zastanawiam się czasami, czy

najsprytniejsza i najpiękniej dźwięcząca ironia nie jest aby tylko gładko przyczesanym, dobrze wychowanym trafem.

Nie wiem, jakie było zdanie Flauberta o przypadku. Miałem nadzieję znaleźć jakieś charakterystyczne hasło w jego niezmiennie ironicznym *Dictionnaire des idées reçues*: ale przeskakuje bezceremonialnie od cognac do coitus, opuszczając coincidence. A jednak jego upodobanie do ironii jest oczywiste; to jedna z najbardziej nowoczesnych cech jego pisarstwa. W Egipcie rozkoszował się odkryciem, że almeh, słowo oznaczające „sawantkę”, stopniowo zatracало początkowe znaczenie i zaczęto je z czasem stosować do „kurwy”.

Czy ironia niejako przyrasta do ironisty? Flaubert z pewnością tak właśnie myślał. Uroczystości dla uczczenia semej rocznicy śmierci Woltera w 1878 r. były sponsorowane przez firmę Ménier, produkującą czekoladę. „Biedny stary geniusz — skomentował Gustaw — że też ironia nigdy go nie opuszcza.” Prześladowała też Gustawa. Kiedy napisał o sobie: „Przyciągam szaleńców i zwierzęta”, być może powinien był dodać: „A także ironię”.

Weźmy *Panią Bovary*. Była zaskarżona za obsceniczność przez Ernesta Pinarda, który zyskał sobie także wątpliwą sławę tym, że wszczął proces przeciwko *Kwiatom zła*. Kilka lat po wyroku uniewinniającym na *Pani Bovary*, odkryto, że Pinard był anonimowym autorem zbioru sprośnych wierszy. Pisarza bardzo to rozbawiło.

Weźmy samą powieść. Dwa najbardziej pamiętne fragmenty to cudzołożna przejażdżka Emmy w zasłoniętym powozie (ustęp uznany przez prawomyślnych za szczególnie gorszący) i ostatnia linijka powieści — „Niedawno otrzymał Legię Honorową” — potwierdzająca mieszczańską apoteozę aptekarza Homais. Otóż okazuje się, że pomysł z zasłoniętym powozem przyszedł Flaubertowi do głowy w wyniku własnego ekscentrycznego zachowania w Paryżu, kiedy obawiał się natknąć na Luizę Colet. Nie chcąc być rozpoznany, postanowił przemieszczać się wyłącznie w zamkniętej dorożce. W ten sposób uchronił własną cnotę, wykorzystując chwyt, którego miał później użyć, by jego bohaterka mogła pofolgować swojej rozpustnej skłonności.

Z Legion d'honneur dla Homais rzecz ma się dokładnie odwrotnie: życie naśladuje sztukę i szydzi z niej. Zaledwie dziesięć lat po napisaniu ostatniej linijki *Pani Bovary* Flaubert, człowiek o skrajnie antymieszczańskim światopoglądzie i mężny przeciwnik rządów, pozwolił, by uczyniono z niego chevalier de la Legion d'honneur. W konsekwencji ostatnia linijka jego życia stała się papuzim echem ostatniej linijki jego arcydzieła: podczas pogrzebu asysta wojskowa wystrzeliła nad trumną salwę honorową i w ten oto tradycyjny sposób

państwo pożegnało jednego ze swych najbardziej zaskakujących i sarkastycznych chevaliers.

A jeśli nie spodobały się wam te ironiczne sytuacje, mam w zapasie inne.

1. BRZASK POD PIRAMIDAMI

W grudniu 1849 r. Flaubert i Du Camp wspięli się na wielką piramidę Cheopsa. Spędzili u jej stóp poprzednią noc i wstali o piątej, żeby mieć pewność, że dotrą na szczyt o wschodzie słońca. Flaubert obmył twarz w brezentowym wiadrze; zawył szakał; Gustaw zapalił fajkę. Następnie przy pomocy Arabów, z których dwóch pchało go, a dwóch ciągnęło, został powoli zaholowany po wysokich blokach na sam szczyt. Du Camp — pierwszy człowiek, który sfotografował Sfinksa — już tam był. Przed nimi rozpościerał się Nil skąpany w mgle, podobny białemu morzu; za nimi rozpościerała się mroczna pustynia: skamieniały ocean purpury. Wreszcie na wschodzie pojawiła się smuga pomarańczowego światła; i z wolna biała otchłań w dole zamieniła się w ogromną przestrzeń żyznej zieleni, podczas gdy purpurowy ocean za ich plecami biało się zaiskrzył. Wschodzące słońce rozświetliło szczytowe głązy piramidy; Flaubert spojrzął pod stopy i zauważył małą wizytówkę przypiętą w tym miejscu: „Humbert, frotteur” i adres w Rouen.

Cóż to za chwila bezbłędnie utrafionej ironii. Także chwila modernistyczna: jest to ten rodzaj wzajemnego oddziaływania, kiedy codzienność wyciska swe piętno na sprawach wzniosłych; oddziaływania, które w swej zachłanności chętnie uważamy za właściwe naszemu cierpkemu i trzeźwemu wiekowi. Dziękujemy Flaubertowi za spostrzegawczość; w pewnym sensie, nie było ironii, dopóki on jej nie zauważył. Inni zwiedzający mogli patrzeć na wizytówkę jako na zwykły śmieć — mogła tam pozostać, aż stopniowo zardzewiałyby krawieckie szpilki, całe lata; ale Flaubert wyznaczył jej rolę do odegrania.

A jeśli czujemy się w nastroju do interpretowania, możemy głębiej rozważyć ten krótki epizod. Czyż nie stanowi godnego uwagi historycznego trafu to, że największy europejski dziewiętnastowieczny powieściopisarz zawarł pod piramidami znajomość z jednym z najgłośniejszych dwudziestowiecznych powieściowych bohaterów? Że Flaubert, jeszcze ociekający wodą po zadawaniu się z chłopcami w kairskich łaźniach, natknął się na imię uwodziciela małoletnich amerykańskich dziewcząt z Nabokova? A dalej, jaki zawód wykonuje ta jednolufowa wersja Humberta Humberta? Jest un frotteur. Po francusku, dosłownie, froterem; ale także rodzajem zboczeńca seksualnego, który lubi ocierać się o ludzi w tłumie.

To jeszcze nie wszystko. Teraz o ironii samej ironii. Z notatek Flauberta z podróży wynika, że owej wizytówki nie przypiął sam Monsieur Frotteur; została tam umieszczona przez gibkiego i przemyślnego Maksyma du Campa, który pomknął pierwszy w purpurową noc i przygotował tę małą pułapkę na wrażliwego przyjaciela. Punkt ciężkości naszej reakcji ulega, wskutek wiedzy o tym, przesunięciu: Flaubert staje się człowiekiem ciężko myślącym i łatwym do rozszyfrowania; Du Camp zaś — dowcipnym dandysem, z ironią podchodzącym do modernizmu, zanim jeszcze modernizm się objawił.

Ale następnie wracamy do lektury. Jeśli zajrzemy do listów Flauberta, odkryjemy, że kilka dni po tym incydencie napisał do matki o sublimie surprise swego odkrycia. „I pomyśleć, że specjalnie wiozłem tę kartkę aż z Croisset, a w końcu nie ja umieściłem ją w zamierzonym miejscu. Nikczemnik wykorzystał moje zapominalstwo i znalazł tę cudownie pasującą wizytówkę na dnie mego szapokłaka.” Tak więc cała rzecz jest jeszcze dziwniejsza: Flaubert wyjeżdżając z domu z góry przygotował efekty specjalne, które, jak się później okazało, w sposób doskonały przylegały do jego sposobu widzenia świata. Ironia ogarnia coraz większe obszary; rzeczywistość się cofa. A tak z czystej ciekawości: po co właściwie zabierał szapokłak na wyprawę pod piramidy?

2. *ODKRYCIA BEZLUDNEJ WYSPY*

Gustaw zwykł spozierać wstecz na swoje letnie wakacje w Trouville — spędzone między papugą kapitana Barbeya a psem pani Schlesinger — jako na jeden z niewielu spokojnych okresów swojego życia. Wspominając czasy, kiedy miał kilkanaście lat, oznajmił Luizie Colet: „Największe wydarzenia w moim życiu to parę myśli, lektury, niektóre zachody słońca nad morzem w Trouville, oraz pięcio- czy sześciogodzinne rozmowy z przyjacielem (Alfredem le Poittevinem), który ożenił się i jest już dla mnie stracony”.

W Trouville poznał Gertrudę i Harriet Collier, córki brytyjskiego attache morskiego. Obie, jak się zdaje, zakochały się w nim. Harriet podarowała mu swój portret, który wisiał w Croisset nad kominkiem; ale bardziej podobała mu się Gertruda. Jej uczucie do niego można domyślić się z tekstu, jaki napisała kilka dziesięcioleci później, już po śmierci Gustawa. Przyjmując styl romantycznej fikcji i zmieniając nazwiska i imiona, chełpi się: „Kochałam go namiętnie, wprost uwielbiałam. Lata przepłynęły nade mną, ale nigdy już nie odczułam takiej czci, takiej miłości i jednocześnie lęku, jaki ogarnął wówczas mą duszę. Coś mówiło mi, że nigdy nie będę do niego należeć... Ale w najgłębszych zakątkach serca wiedziałam, jak prawdziwie mogę go kochać, jak go

czcić i jak być mu posłuszną”.

Ckliwe memuary Gertrudy mogły być równie dobrze dziełem wyobraźni: cóż w końcu jest bardziej pod względem uczuciowym nęcące niż zmarły geniusz i młodzieńcze wakacje nad morzem? Ale nie mamy pewności. Gustaw i Gertruda utrzymywali kontakt przez wiele dziesięcioleci. Posłał jej egzemplarz *Pani Bovary* (podziękowała, orzekła, że powieść jest „obrzydliwa”, i zacytowała mu opinię Philipa Jamesa Baileya, autora *Festusa*, na temat tego, jaki obowiązek ciąży na autorze, jeśli chodzi o udzielenie moralnych pouczeń czytelnikowi); a czterdzieści lat po pierwszym spotkaniu w Trouville przyjechała odwiedzić go w Croisset. Przystojny blond rycerz z jej młodości był teraz czerwony na twarzy, łysy i pozostało mu zaledwie kilka zębów. Ale nie podupadła na zdrowiu jego rycerskość. „Moja dawna przyjaciółko, moja młodości — napisał do niej później — przez długie lata żyłem nie wiedząc, co porabiasz, a nie było chyba ani jednego dnia, bym o tobie nie pomyślał.”

W ciągu tych długich lat (dokładnie w 1847 r., rok po tym, jak Flaubert opisał Luizie zachody słońca w Trouville) Gertruda obiecała miłość, szacunek i posłuszeństwo komuś zupełnie innemu: angielskiemu ekonomistcie o nazwisku Charles Tennant. Kiedy Flaubert z wolna osiągał europejską sławę jako powieściopisarz, także Gertruda gotowała się do opublikowania książki: dziennika swojego dziada, *France on the Eve of the Great Revolution*. Umarła w 1918 r. w wieku dziewięćdziesięciu dziewięciu lat i miała córkę, Dorotę, która poślubiła podróżnika Henry’ego Mortona Stanley a.

Podczas jednej z wypraw do Afryki ekipa Stanleya znalazła się w tarapatach. Badacz musiał stopniowo pozbywać się wszystkich zbędnych rzeczy. Była to w pewnym sensie odwrócona, należąca do realnego życia wersja „Odkryć bezludnej wyspy”; zamiast być wyekwipowany w rzeczy, które czynią znośniejszym życie w tropikach, Stanley musiał wyzbywać się rzeczy, żeby ocalić życie. Książki stanowiły oczywiście balast, więc zaczął się ich pozbywać, aż zostały tylko dwie, w które każdy gość na „Bezludnych wyspach” jest wyposażony jako w ostateczne cywilizacyjne minimum: Biblia i Szekspir. Trzecią książką, którą Stanley wyrzucił, zanim sprowadził siebie do owego niezbywalnego minimum, była *Salambo*.

3. MIGAWKA Z POGRZEBÓW

Znużony, hipochondryczny ton listu Flauberta do Luizy Colet poświęconego zachodom słońca nie był pozą. Rok 1846 to w końcu rok śmierci najpierw ojca, a następnie siostry, Karoliny. „Co za dom! —

napisał. — Co za piekło!” Przez całą noc Gustaw czuwał przy ciele siostry: ona leżąca w białej sukni ślubnej, on siedzący i czytający Montaigne’a.

Rankiem w dniu pogrzebu, kiedy spoczywała już w trumnie, złożył ostatni, pożegnalny pocałunek. Po raz drugi w ciągu trzech miesięcy usłyszał stukot podkutych ćwiekami butów, które pięły się po drewnianych schodach, by zabrać ciało. Trudno było tego dnia myśleć o żałobie; górę brały sprawy praktyczne. Trzeba było odciąć pukiel włosów Karoliny i wykonać gipsowy odlew jej twarzy i dłoni: „Widziałem, jak wielkie łapy tych prostaków dotykały jej i pokrywały twarz gipsem”. Prostacy są niezbędni przy pogrzebach.

Szlak prowadzący do cmentarza był mu już dobrze znany. Przy grobie mąż Karoliny załamał się. Gustaw patrzył, jak opuszczano trumnę. Nagle zaklinowała się; wykopano zbyt wąski dół. Grabarze złapali trumnę i zaczęli nią szarpać; ciągnęli ją to w jedną stronę, to w drugą, przekręcali, ociosy wali rydłem, podważali łomami; ani drgnęła. Wreszcie któryś z nich postawił stopę na wieku, dokładnie nad twarzą Karoliny, i siłą wepchnął trumnę do grobu.

Gustaw kazał wykonać wizerunek jej twarzy; popiersie królowało w gabinecie przez całe jego pracowite życie, do samej śmierci, która nastąpiła w tym samym domu w 1880 r. Maupassant pomógł ułożyć jego ciało. Siostrzenica Flauberta zażądała, żeby wykonano zgodnie z tradycją odlew ręki pisarza. Okazało się to niemożliwe: pięść była zbyt mocno zaciśnięta w ostatnim skurczu.

Procesja ruszyła najpierw do kościoła w Canteleu, następnie na Cimetière Monumental, gdzie wojskowa asysta wystrzeliła swoją nedorzeczną glosę do ostatniej linijki *Pani Bovary*. Wygłoszono parę słów, a potem spuszczone trumnę. Zaklinowała się. Tym razem właściwie oceniono szerokość, ale grabarze poskąpili długości. Synowie prostaków daremnie zmagali się z trumną; nie mogli jej ani wepchnąć, ani wydobyć. Po kilku kłopotliwych minutach żałobnicy powoli rozeszli się, pozostawiając Flauberta zaklinowanego w ziemi pod kątem skośnym.

Normandczycy są znani ze swojego skąpstwa, a z pewnością tamtejsi grabarze nie stanowią żadnego wyjątku; być może drażniła ich każda niepotrzebnie przerzucona gruda ziemi i być może podtrzymywali to uwrażliwienie jako zawodową tradycję w latach 1846-1880. Może Nabokov przeczytał listy Flauberta, zanim napisał *Lolite*. Może podziw H. M. Stanleya dla afrykańskiej powieści Flauberta nie jest tak bardzo dziwny. Być może to, co odczytujemy jako czysty przypadek, jedwabistą ironię albo śmiały dalekowzroczny modernizm, w swoim

czasie wyglądało zupełnie inaczej. Flaubert wiozł wizytówkę pana Humberta z Rouen aż pod piramidy. Czyżby w zamyśle miała to być rozchichotana reklama jego wrażliwości? Drwina z piaszczystej, niemożliwej do wypolerowania powierzchni pustyni? Czy może to nam chciał wypłatać figla?

6. OCZY EMMY BOVARY

Pozwólcie mi wyjaśnić, dlaczego nie cierpi krytyków. Nie ze zwykłych powodów; nie dlatego, że są nieudanymi twórcami (zazwyczaj nie są; mogą być nieudanymi krytykami, ale to już inna historia) albo że są z natury uszczypliwi, zazdrośni i próżni (zazwyczaj nie są; jeśli już, to można ich oskarżyć raczej o nadmierną szczodrobliwosć, o podnoszenie rangi rzeczy drugorzędnych, aby tym samym ich własne subtelne rozróżnienia okazały się bardziej wyszukane). Nie, powodem, dla którego nie cierpię krytyków — no, powiedzmy tylko niekiedy — jest to, że piszą zdania w rodzaju:

Flaubert nie budował swoich postaci, jak to czynił Balzak, poprzez obiektywny, zewnętrzny opis; w gruncie rzeczy, jest tak niedbały, jeśli chodzi o ich powierzchowność, że przy jednej okazji daje Emmie oczy piwne (14); przy innej czarne (15); przy jeszcze innej niebieskie (16).

To precyzyjne i przygnębiające oskarżenie zostało wytoczone przez zmarłą doktor Enid Starkie, emerytowaną panią docent z wydziału literatury francuskiej na Uniwersytecie Oksfordzkim, najbardziej wyczerpującego brytyjskiego biografę Flauberta. Numery w jej tekście odnoszą się do przypisów, w których kłuje powieściopisarza rozdziałem i wersem.

Wysłuchałem kiedyś wykładu doktor Starkie i z przyjemnością stwierdzam, że miała okropny akcent francuski; chodzi o tę dykcję pełną pewności siebie wyniesionej z żeńskiej szkoły i świadcząca o całkowitym braku słuchu, zataczającą się od szkolnej poprawności ćwiczeń do błędów rodem prosto z farsy, a wszystko często w obrębie jednego słowa. Naturalnie w niczym nie uszczupla to jej kompetencji, jeśli chodzi o wykładanie na Uniwersytecie Oksfordzkim, ponieważ do niedawna było to szczególne miejsce, gdzie języki nowoczesne traktowano jak martwe; dodawało im to szacowności, upodobniało do odległej doskonałości łaciny i greki. Nawet przy takim podejściu do sprawy, uderzył mnie jako osobliwość fakt, że ktoś żyjący z literatury francuskiej może być tak rozpaczliwie nieudolny, jeśli chodzi o

nadawanie podstawowym słowom tego języka brzmienia, jakie miały, gdy ludzie, których opisała w swych książkach, jej bohaterowie (jej, można by powiedzieć, pracodawcy), wypowiadali je po raz pierwszy.

Możecie pomyśleć, że chodzi o łatwą zemstę na zmarłej damie-krytyku tylko za to, że wytknęła Flaubertowi niewiarygodność w kwestii koloru oczu Emmy Bovary. A ja po prostu nie trzymam się zalecenia de mortuis nihil nisi bonum (w końcu, wypowiadałam się jako lekarz); i bardzo trudno uniknąć irytacji, kiedy krytyk wskazuje człowiekowi coś w tym rodzaju. Irytacja odnosi się, przynajmniej na początku, nie do doktor Starkie — która, jak to się mówi, zrobiła tylko swoje — ale do Flauberta. A więc ten sumienny geniusz nie potrafił nawet zachować stałej barwy oczu u swojej najślawniejszej postaci? Ha! Potem jednak przenosimy swoją urazę na krytyka, bo nie sposób przecież gniewać się długo na pisarza.

Muszę wyznać, że chociaż czytałem *Panią Bovary* wiele razy, nie zwróciłem uwagi na tęczowe oczy bohaterki. Czy powinienem był? A wy? Być może nazbyt byłem wtedy zajęty wypatrywaniem rzeczy, które uszły uwagi doktor Starkie (aczkolwiek nie przychodzi mi w tej chwili do głowy, jakie mianowicie rzeczy mogłyby wchodzić w grę)? Postawmy sprawę inaczej: czy istnieje gdzieś czytelnik doskonały, czytelnik wszechogarniający? Czy odczytanie dokonane przez doktor Starkie zawiera w sobie wszystkie reakcje, jakie ja miałem czytając *Panią Bovary*, oraz całe mnóstwo innych, tak że moje odczytanie staje się w pewnym sensie bezcelowe? No cóż, mam nadzieję, że nie. Moje odczytanie może się wydać bezsensowne z punktu widzenia historii krytyki literackiej; ale nie jest bez sensu, gdy oceniamy je w kategoriach przyjemności. Nie potrafię dowieść, że przeciętny czytelnik czerpie z czytania więcej przyjemności niż zawodowy krytyk; ale mogę wyjawić, jaką mamy nad tymi ostatnimi przewagę: możemy zapominać. Na doktor Starkie i jej kolegach po fachu ciąży przekleństwo pamiętania; książki, które czytają i o których piszą, nie mogą nigdy ulotnić się z ich pamięci. Stają się członkami rodziny. Może stąd właśnie bierze się ten typowy dla niektórych krytyków protekcjonalny sposób mówienia o przedmiocie swoich badań. Postępują tak, jakby Flaubert: albo Milton, albo Wordsworth był jakąś starą nudną ciotką w fotelu na biegunach, którą czuć stęchłym pudrem, która interesuje się tylko przeszłością i od wielu lat nie powiedziała nic nowego. Oczywiście, dom należy do niej i wszyscy mieszkają tu za darmo, ale i tak, cóż... już... najwyższy czas?

Natomiast pospolity, ale żarliwy czytelnik ma prawo zapomnieć, może sobie odejść, może zdradzić z innymi pisarzami, wrócić i raz jeszcze wpaść w zachwyty. Domowa powszedniość nie wyciska piętna na

wzajemnych kontaktach. Mogą być sporadyczne, ale gdy już do nich dochodzi, to są intensywne. Nie ma w nich zapiekłości, jaką wyzwala nuda codziennego obcowania. Nie zdarzyło się nigdy, bym znużonym głosem napominał Flauberta, żeby powiesił swój ręcznik kąpielowy albo używał szczotki klozetowej. A właśnie od tego doktor Starkie nie może się powstrzymać. Posłuchajcie, pisarze nie są doskonali! — chciałbym wykrzyknąć; tak samo jak nie są doskonali mężowie, jak nie są doskonałe żony. Jedyna niezawodna reguła mówi, że jeśli robią wrażenie doskonałych, to nie mogą być tacy. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że moja żona jest doskonała. Kochałem ją, ale nie oszukiwałem sam siebie. Pamiętam... Ale zostawmy to na inną okazję.

Przypomnę natomiast jeszcze jeden wykład, którego wysłuchałem kilka lat temu w ramach Festiwalu Literackiego w Cheltenham. Wygłosił go profesor z Cambridge, Christopher Ricks, i było to bardzo błyskotliwe wystąpienie. Błyszczała jego łysa głowa, błyszcząły czarne buty, a najbardziej błyszczał on sam, wygłaszając swój wykład. Tematem były pomyłki w Literaturze i czy mają one jakieś znaczenie. Na przykład Jewtuszenko popełnił, najwyraźniej, grubo błąd w jednym z wierszy o amerykańskim słowiku. Puszkina mylił się co do rodzaju munduru wkładanego na bal. John Wain mylił się co do pilota, który zrzucił bombę na Hiroszimę. Nabokov mylił się — i jest to dosyć zaskakujące — co do wymowy imienia Lolita. Były też inne przykłady: Coleridge, Yeats i Browning należeli do tych, których przyłapano na nieodróżnianiu sokoła (hawk) od piły ręcznej (handsaw), a przede wszystkim na tym, że w ogóle nie wiedzieli, co to jest piła ręczna.

Szczególnie uderzyły mnie dwa przykłady. Jeden to rewelacja dotycząca *Władcy much*. W sławnej scenie, w której okulary Prosiaczka są wykorzystane do ponownego odkrycia ognia, William Golding źle określił ich rodzaj. Prawdę mówiąc, całkiem odwrotnie. Prosiaczek jest bowiem krótkowidzem; soczewki, jakie powinno się mu zapisać przy tej wadzie wzroku, nie nadają się do rozpalenia ognia. Bez względu na to, w jaki sposób będzie się je trzymać, nie uzyska się skupienia promieni słonecznych.

Drugi przykład dotyczył „Szarzy lekkiej brygady”. „Doliną śmierci / Pędzi ich sześciuset.” Tennyson napisał swój wiersz bardzo szybko, po przeczytaniu w „The Times” sprawozdania, w którym zawarte było sformułowanie: „ktoś pobłądził”. Skorzystał też z wcześniejszej relacji, która wspominała o „607 szablach”. Później jednak liczba tych, którzy wzięli udział w tym, co Camille Rousset nazwał *ce terrible et sanglant steeplechase*, została oficjalnie skorygowana na 673. „Doliną śmierci / Pędzi ich sześciuset siedemdziesięciu trzech”? Jakoś brak tutaj

rozmachu. Może dałoby się zaokrąglić do siedmiu setek — co nadal nie jest ściśle, ale przynajmniej ściślej? Tennyson rozważył sprawę i postanowił wiersza nie ruszać: „Sześćset, pod względem metrycznym, jest lepsze niż siedemset (tak w każdym razie sądzę), więc zostawmy wszystko bez zmian”.

Niewstawienie „673” albo „700”, albo circa „700” zamiast po prostu „600” moim zdaniem trudno zakwalifikować jako pomyłkę. Natomiast niedostatek wiedzy z zakresu optyki u Goldinga musi być bez wątpienia określony jako błąd. Następne pytanie brzmi: Czy ma to jakieś znaczenie? O ile pamiętam wykład profesora Ricksa, argumentował on, że gdy faktograficzna strona literatury staje się niewiarygodna, to o wiele trudniej stosować takie zabiegi, jak ironia i fantazja. Jeśli człowiek nie wie, co jest prawdą albo co jako prawdę zamierzono, wtedy wartość tego, co prawdą nie jest albo czego jako prawdy nie zamierzono, zostaje obniżona. Wydaje mi się to bardzo mocnym argumentem; aczkolwiek zastanawiam się, do ilu przypadków literackich pomyłek da się on zastosować. Jeśli chodzi o okulary Prosiaczka, należy mniemać, że a) bardzo niewiele osób — poza okulistami, optykami i okularnikami-profesorami angielskiej literatury — to dostrzeże; oraz b) jeśli nawet to spostrzegą, po prostu sprawa wybuchnie — doprowadzą do kontrolowanej eksplozji małej bomby. W dodatku ten wybuch (który ma miejsce na zapadłej plaży i jedynym jego świadkiem jest pies) nie powoduje pożaru w pozostałych częściach powieści.

Takie błędy jak ten Goldinga są „błędami zewnętrznymi” — chodzi o rozbieżność między tym, co głosi książka, a tym, co wiemy o rzeczywistości; często wskazują po prostu na niedostatek określonej wiedzy technicznej u pisarza. Ten grzech można wybaczyć. Co jednak począć z „błędami wewnętrznymi”, kiedy autor głosi dwie rzeczy nie do pogodzenia ze sobą w obrębie jednego dzieła? Oczy Emmy są piwne, oczy Emmy są niebieskie. Niestety, można to przypisać jedynie niekompetencji, nawykowi tolerowania literackiej fuszerki. Czytałem kiedyś zachwalaną debiutancką powieść, której narrator — niedoświadczony seksualnie i jednocześnie miłośnik literatury francuskiej — robi sobie komiczną powtórkę ze sposobów całowania dziewczyny tak, by nie spotkać się z odprawą: „Z niespieszną, zmysłową, neodpartą siłą przyciągaj ją stopniowo do siebie, patrząc jednocześnie w jej oczy, jakbyś właśnie otrzymał egzemplarz pierwszej, wycofanej z obiegu edycji *Pani Bovary*”.

Pomyślałem sobie, że opis jest całkiem wyrazisty, a nawet dosyć zabawny. Jedyne kłopot polega na tym, że nie istnieje „pierwsza, wycofana z obiegu edycja *Pani Bovary*”. Powieść — co, jak mi się

zdawało, powszechnie wiadomo — najpierw ukazała się w odcinkach w „Revue de Paris”; potem był proces o obsceniczność; i dopiero po wyroku uniewinniającym utwór został opublikowany w formie książkowej. Mam nadzieję, że młody powieściopisarz (podanie jego nazwiska byłoby chyba niestosowne) miał na myśli „pierwszą, wycofaną z obiegu” edycję *Kwiatów zła*. Jestem pewny, że zdąży wprowadzić poprawkę do drugiego wydania; jeśli takowe będzie.

Oczy piwne, oczy niebieskie. Czy to ma jakieś znaczenie? Nie chodzi o to, czy ma znaczenie, że pisarz popada w sprzeczność z samym sobą, ale czy ma znaczenie, jaki jest ich kolor? Współczuję pisarzom, kiedy muszą opisać kolor niewieścich oczu: wybór jest bardzo mały, a bez względu na to, jaką się decyzję podejmie, implikacje będą banalne. Ma oczy niebieskie: niewinność i uczciwość. Czarne: namiętność i głębia. Zielone: dzikość i zazdrość. Piwne: solidność i zdrowy rozsądek. Ma oczy fioletowe: powieść napisał Raymond Chandler. Jak uniknąć tego wszystkiego, nie biorąc sobie jednocześnie na grzbiet całego plecaka informacji w nawiasie opisujących charakter damy? Ma oczy koloru gliny; jej oczy zmieniają odcień zależnie od tego, jakie zakłada szkła kontaktowe; nigdy nie spojrział jej w oczy. Do wyboru, do koloru. Moja żona miała oczy zielononiebieskie, co sprawia, że opowieść o niej musi być długa. Podejrzewam więc, iż w chwilach osobistej szczerości pisarz zapewne przyznaje, że opisywanie oczu nie ma sensu. Powoli kształtuje charakter bohaterki w wyobraźni, nadaje mu formę, a potem — prawdopodobnie na samym końcu — wciska parę szklanych oczu w puste oczodoły. Oczy? No tak, przydałyby się jej jakieś oczy — rozmyśla z pełną znużenia kurtuazją.

Bouvard i Pécuchet, prowadząc dociekania w zakresie literatury, przekonali się, że tracą szacunek dla autora, jeśli ten popełnia błąd. Mnie zaskakuje raczej to, że pisarze popełniają tak mało błędów. Biskup Liège umiera piętnaście lat wcześniej, niż powinien: czy to odbiera wartość powieści *Kwintyn Durward, czyli Szkot na dworze Ludwika XI*? To trywialne wykroczenie, coś przeznaczonego dla recenzentów. Już widzę pisarza, jak stoi oparty o barierkę na rufie płynącego przez Kanał promu i rzuca krążącym mewom chrząstki ze swojej kanapki.

Siedziałem zbyt daleko, żeby dojrzeć, jakiego koloru oczy miała Enid Starkie; pamiętam tylko marynarski strój, chód rugbisty i okropny akcent francuski. Ale powiem coś jeszcze. Emerytowana wykładowczyni literatury francuskiej na Uniwersytecie Oksfordzkim i honorowa członkini kolegium Somerville, „szeroko znana ze swoich badań nad życiem i twórczością takich pisarzy, jak Baudelaire, Rimbaud, Gautier, Eliot i Gide” (cytuję ze skrzydełka obwoluty — oczywiście

pierwszego wydania), która poświęciła dwie obszerne książki i wiele lat życia autorowi *Pani Bovary*, wybrała na frontyspis pierwszego tomu portret Flauberta „pędzła nieznanego autora”. On pierwszy rzuca się w oczy, to jakby moment, kiedy doktor Starkie przedstawia nas, jeśli tak można rzec, Flaubertowi. Kłopot tylko, że to nie on. Jest to portret Ludwika Bouilheta, jak powie ci każdy, począwszy od gardienne w Croisset. Co więc mamy z tym począć, kiedy już śmiech zamrze nam na wargach?

Wciąż pewnie myślicie, że biorę sobie odwet na zmarłej uczonej, która nie może mi odpowiedzieć. Niewykluczone. Ale w takim razie quis custodiet ipsos custodes? A i to jeszcze nie koniec. Właśnie przeczytałem po raz kolejny *Panią Bovary*.

... przy jednej okazji daje Emmie oczy piwne (14); przy innej czarne (15); przy jeszcze innej niebieskie (16).

A morał z tego wszystkiego wynika chyba taki: nie dajcie się zastraszyć przypisami. W całej książce Flaubert sześć razy wspomina o oczach Emmy Bovary. Najwyraźniej ma to dla pisarza pewne znaczenie:

1. (Pierwsze pojawienie się Emmy) „Cała jej uroda mieściła się w oczach; chociaż były piwne, mogły uchodzić za czarne, taki cień rzucały rzęsy...”

2. (Opisane przez uwielbiającego małżonka we wczesnym okresie małżeństwa) „Jej oczy wydawały mu się większe, zwłaszcza tuż po przebudzeniu, kiedy mrugała powiekami; były czarne w cieniu i ciemnoniebieskie w pełnym świetle; zdawało się, że nałożono na nie kilka warstw odcieni, mroczniejszych w głębi i jaśniejszych przy jakby emaliowanej powierzchni.”

3. (Na balu przy świecach) „Jej czarne oczy zdawały się jeszcze czarniejsze.”

4. (Przy pierwszym spotkaniu z Leonem) „Wpatrywała się w niego wielkimi, szeroko otwartymi, czarnymi oczyma.”

5. (W domu, kiedy ukazuje się Rudolfowi, który pierwszy raz się jej przygląda) „Czarne oczy.”

6. (Emma przeglądając się u siebie w domu w lustrze, wieczorem; właśnie uległa Rudolfowi) „Nigdy przedtem nie miała takich wielkich, czarnych, tak głębokich oczu.”

Jak ujęła to nasza pani krytyk? „Flaubert nie budował swoich postaci, jak to czynił Balzak, poprzez obiektywny, zewnętrzny opis; w gruncie rzeczy, jest tak niedbały, jeśli chodzi o ich powierzchowność, że...”

Byłoby rzeczą interesującą porównać, ile czasu poświęcił Flaubert na

upewnianie się, że jego bohaterka ma rzadko spotykane i trudne do opisanie oczy tragicznej cudzołożnicy, z tym czasem, jaki doktor Starkie poświęciła, by zbyć go jednym zdaniem.

I jeszcze jedno, ot, tak, dla uzyskania zupełnej pewności. Najwcześniejszym konkretnym źródłem wiedzy o Flaubercie są *Souvenirs littéraires* (Hachette, Paryż 1882-3, 2 t.) Maksyma du Campa; plotkarskie, chełpliwe, samousprawiedliwiające i niegodne zaufania, ale pod względem historycznym zasadnicze. Na 306 stronie pierwszego tomu (Remington & Co., Londyn 1893, brak informacji o tłumaczu) Du Camp opisuje bardzo szczegółowo kobietę, która posłużyła za model Emmy Bovary. Była to — oznajmia nam — druga żona inspektora służby zdrowia z Bon-Lecours, w okolicy Rouen:

Ta druga żona nie była piękna; niska, miała żółte włosy bez żadnego połysku i twarz pokrytą piegami. Była pretensjonalna i pogardzała mężem, którego uważała za głupca. Figury zaokrąglonej i wcale nie najgorszej, drobnokoścista, ale pulchna, a w jej ruchach i postawie w ogóle było coś gibkiego i falującego, co przywodziło na myśl węgorza. Głos, trochę wulgarny wskutek akcentu dolnonormandzkiego, pełen był pieszczotliwych tonów, a jej oczy, niezdecydowanego koloru, zielone, szare albo błękitne, zależnie od światła, miały błagalny wyraz, który nigdy ich nie opuszczał.

Odnoszę wrażenie, że doktor Starkie nie miała pojęcia o istnieniu tego pouczającego fragmentu. Wszystko razem wzięwszy, wydaje się, że pozwoliła sobie na rażące zaniedbanie w stosunku do pisarza, który przecież, w taki czy inny sposób, dokładał się do jej rachunków za gaz. Doprowadza mnie to po prostu do furii. Czy rozumiecie teraz, dlaczego nienawidzę krytyków? Mógłbym spróbować opisać wyraz moich oczu w tym momencie; ale są zbyt bezbarwne z gniewu.

7. PRZEPRAWA PRZEZ KANAŁ

Proszę posłuchać. Rattarattarattaratta. Potem na to nakłada się — szszsz. Fattafattafattafatta. I znowu rattarattarattaratta — fattafattafattafatta. Łagodna listopadowa fala sprawiała, że stoliki w barze stukwały o siebie metalicznie. Natarczywy napór najbliższego stolika; chwila przerwy, kiedy jakiś niedosłyszalny dreszcz przebiega przez statek; a potem łagodna odpowiedź z drugiej strony. Wołanie i odpowiedź, wołanie i odpowiedź, niby para mechanicznych ptaków w klatce. Posłuchajcie tego rytmicznego duetu: rattarattarattaratta fattafattafattafatta rattarattarattaratta fattafattafattafatta. Ciągłość, stabilność, wzajemne zaufanie — powiada; a jednak wystarczy, by

zmienił się wiatr albo nadciągnęła fala przyływu, i już po wszystkim.

Wypukłe okna na rufie są usiane kropelkami; przez jedno z nich można dojrzeć kilka masywnych kabestanów i bezwładne zwoje nasiąkniętych wodą lin. Mewy dawno już zostawiły w spokoju nasz prom. Wygoniły nas swym krzykiem z Newhavèn, zorientowały się, jaka pogoda, zauważyły brak zawiniątek z kanapkami na tylnym pokładzie spacerowym i zawróciły. Któż by je za to ganił? Mogły towarzyszyć nam przez cztery godziny, aż do Dieppe, w nadziei, że trafi się coś w drodze powrotnej; ale byłby to dziesięciogodzinny dzień pracy. W tej chwili pewnie wydobywają robaki na jakimś mokrym boisku piłkarskim w Rottingdean.

Pod oknem znajduje się kosz na śmieci z dwujęzycznym napisem, w którym jest błąd ortograficzny. U góry napis PAPIERS (jakże oficjalnie brzmi francuski: „Prawo jazdy! Dowód!” — robi to wrażenie takiego polecenia). Angielski przekład pod spodem głosi LITTERS. Jaką różnicę może spowodować jedna spółgłoska. Kiedy Flaubert zobaczył po raz pierwszy swoje nazwisko reklamowane — jako autora *Pani Bovary*, której odcinki miały się wkrótce ukazać w „Revue de Paris” — brzmiało ono Faubert. „Jeśli wystąpię któregoś dnia, to w pełnej zbroi” — tak się chełpił; ale nawet w pełnej zbroi pachy i pachwiny nie są w pełni chronione. Jak wskazał Bouilhetowi, podana w „Revue” wersja jego nazwiska ledwie jedną literą różniła się od mimowolnego reklamowego kalamburu: Faubet to było nazwisko właściciela sklepu kolonialnego przy rue Richelieu, dokładnie naprzeciwko Comédie-Française. „Jeszcze się nie objawił, a już łupią mnie żywcem ze skóry.”

Lubię te rejsy poza sezonem. Kiedy człowiek jest młody, woli prostackie miesiące, pełnię sezonu. W miarę jak się starzeje, uczy się lubić to, co zawieszono między porami roku, miesiące, które nie potrafią się zdecydować. Może w ten sposób przyznaje, iż porządek rzeczy nie wydaje mu się już tak niezachwiany jak niegdyś. A może chodzi tylko o stwierdzenie, że woli się puste promy.

W barze jest nie więcej niż pół tuzina osób. Jedna z nich wyciągnęła się na ławeczce; usypiający stukot stolików dobywa ze śpiącego pierwsze chrapnięcie. O tej porze roku nie ma wycieczek szkolnych; gry telewizyjne, grająca szafa i kino pogrążone są w milczeniu; nawet barman skory jest do pogawędki.

Odbywam tę wycieczkę po raz trzeci w ciągu roku. Listopad, marzec, listopad. Żeby spędzić parę dni w Dieppe; czasami jednak zabieram samochód i jadę do Rouen. Niedaleko, ale zawsze jakaś odmiana. Bo to jest odmiana. Światło nad Kanałem, na przykład, od strony francuskiej wygląda całkiem inaczej: jaśniejsze, a jednak mniej migotliwe. Niebo to

istna paleta możliwości. Wcale nie koloryzuję. Proszę tylko odwiedzić galerie rozlokowane wzdłuż normandzkiego wybrzeża, a sama pani zobaczy, co miejscowi malarze malowali bez końca i z upodobaniem: widok na północ. Pasemko plaży, morze i urozmaicone niebo. Angielscy malarze nigdy tego nie robili, gromadzili się w Hastings, Margate albo Eastbourne, by spoglądać na nieprzyjazny i monotony Kanał.

Podróżuję nie tylko z powodu światła. Robię to ze względu na to, o czym człowiek nie pamięta, dopóki znowu tego nie zobaczy. Francuski sposób ćwiartowania mięsa. Powaga ich pharmacies. Zachowanie dzieci w restauracjach. Znaki drogowe (Francja jest jedynym znanym mi krajem, gdzie kierowców ostrzega się przed burakami na szosie: BETTERAVES zobaczyłem pewnego razu w czerwonym trójkącie ostrzegawczym z obrazkiem samochodu wpadającego w nie kontrolowany poślizg). Ratusze w stylu beaux-arts. Degustacja wina w bielonych piwnicach przy drodze. Mógłbym tak wymieniać dalej, ale wystarczy, gdyż w przeciwnym razie zacznę zaraz głądzić o drzewach lipowych i pétanque, i jedzeniu chleba zamoczonego w nieodstałym czerwonym winie — co nazywają la soupe à perroquet, zupą papuzią. Każdy ma swój osobisty wykaz i wykazy sporządzone przez innych szybko wydają się jałowe i sentymentalne. Kiedyś przeczytałem taki spis, zatytułowany „Co lubię”. Znalazły się tam: „Sałata, cynamon, ser, pieprz angielski, marcepan, zapach świeżo skoszonego siana (życzy sobie pani, żebym to ciągnął?)... róże, peonie, lawenda, szampan, swoboda przekonań politycznych, Glenn Gould...” Ten spis, sporządzony przez Rolanda Barthesa, ciągnie się, jak to bywa ze spisami. Jedną rzecz się aprobeuje, następna budzi irytację. Po „winie médoc” i „odmianach” Barthes aprobeuje *Bouvarda i Pécucheta*. W porządku, dobrze; idziemy dalej. Co teraz? „Chodzenie w sandałach po drożynach południowo-zachodniej Francji.” Wystarczy, żeby wybrać się do tej południowo-zachodniej Francji i porzrzucać tam nieco buraków po drożynach.

Mój wykaz zawiera pharmacies. We Francji zawsze robią wrażenie nastawionych bardziej jednokierunkowo. Nie składują piłek plażowych, kolorowych filmów, sprzętu do nurkowania ani alarmów domowych. Aptekarze zawsze wiedzą, co robią, i nigdy nie próbują sprzedać ci cukierków, kiedy już wychodzisz. Spostrzegam, że jestem dla nich pełen szacunku, jakby byli lekarzami.

Wszedłem kiedyś z żoną do pharmacie w Montauban i poprosiliśmy o bandaż. Do czego ma służyć? — zapytano. Ellen poklepała się w piętę, na której od rzemyka nowych sandałków zrobił się pęcherz. Pharmacien wyszedł zza lady, kazał jej usiąść, zdjął jej sandałek z delikatnością

fetyszysty mającego słabość do kobiecych stóp, obejrzał piętę, oczyścił kawałkiem gazy, wstał, spojrzął na mnie z powagą, jakby naprawdę należało coś przed moją żoną zataić, i wyjaśnił spokojnie: „Monsieur, to pęcherz”. Nadal panuje tu duch Homais — pomyślałem, kiedy sprzedawał nam rolkę bandaża.

Duch Homais: postęp, racjonalizm, nauka, szalbierstwo. „Trzeba iść z duchem czasów” — to prawie pierwsze słowa, jakie padają z jego ust; i kroczy niestrudzenie ku Legion d’honneur. Kiedy umarła Emma Bovary, jej ciało obejrzały dwie osoby: ksiądz i Homais, pharmacien.

Reprezentant dawnej ortodoksji i nowej. To przywodzi na myśl jakąś alegoryczną dziewiętnastowieczną rzeźbę: Religia i Nauka spoglądające na grzeszne ciało. Według obrazu G. F. Wattsa. Tyle tylko, że obaj, tak duchowny, jak i człowiek nauki, zasypiają nad ciałem. Zjednoczeni najpierw przez błąd filozoficzny, szybko dochodzą do głębszej wspólnoty chrapiących.

Flaubert nie wierzył w postęp; zwłaszcza w postęp moralny, jedyny, jaki się liczy. Wiek, w którym przyszło mu żyć był głupi; nowy wiek, który wyłonił się wskutek wojny francusko-pruskiej, miał być jeszcze głupszy. Oczywiście, pewne rzeczy musiały się zmienić: zwyciężał duch Homais. Wkrótce każdy, kto ma szpotawą stopę, zyska prawo do opacznie pojętej operacji, która doprowadzi do amputowania kończyny; ale co to oznacza? „Całe marzenie o demokracji — napisał — sprowadza się do podniesienia proletariatu na poziom głupoty osiągnięty przez mieszczaństwo.”

Ten sposób myślenia często drażni ludzi. Czy można mu jednak coś zarzucić? W ciągu ostatnich stu lat proletariatus przyswoił sobie mieszczańskie pretensje; podczas gdy mieszczaństwo, mniej pewne swojej przewagi, stało się bardziej szczone i podstępne. I to ma być postęp? Proszę tylko spojrzeć na przepelniony prom pływający przez Kanał, a zobaczy pani współczesny statek szaleńców. Są tam w komplecie; ten wypracowuje zysk poprzez zakupy w sklepie wolnołowym; ten pije w barze „na zapas”; tamten korzysta z automatów do gry; tamten znów bezcelowo krąży po pokładzie; inny rozważa, jakie są granice uczciwości podczas odprawy celnej; jeszcze inny wyczekuje na następne polecenie od załogi statku, jakby od tego zależała przeprawa przez Morze Czerwone. Nie krytykuję nikogo, po prostu obserwuję; i wcale nie jestem pewien, co pomyślałbym, gdyby wszyscy ustawili się przy barierce, żeby podziwiać grę światła na wodzie i dyskutować o Boudinie. Nawiasem mówiąc, niczym się od nich nie różnię: korzystam z wolnołowego sklepiku i czekam na polecenia tak samo jak pozostali. Chcę stwierdzić tylko jedno: Flaubert miał rację.

Otyły kierowca ciężarówki chrapie na ławeczce niby pasza. Przyniosłem sobie kolejną whisky; mam nadzieję, że nie ma mi pani tego za złe. Po prostu zbieram się w sobie, żeby opowiedzieć... o czym? o kim? Trzy historie zmagają się we mnie między sobą. Jedna o Flaubercie, jedna o Ellen, jedna o mnie samym. Moja jest najprostsza — z trudem może posłużyć za przekonywający dowód mojego istnienia — a jednak spostrzegam, że najtrudniej mi ją zacząć. Historyjka o mojej żonie jest bardziej skomplikowana i bardziej natarczywa; jednak i tej się opieram. Czyżbym zachowywał najlepsze na koniec, jak przedtem? Nie sądzę; jeśli już, to chodzi o coś wręcz przeciwnego. Ale chcę, by w momencie, kiedy będę opowiadał jej historię, była pani już przygotowana, to znaczy, by miała po dziurki w nosie książki, papug, listów, które przepadły, niedźwiedzi i poglądów doktor Enid Starkie, a nawet poglądów doktora Geoffreya Braithwaite'a. Książki to nie życie, choćbyśmy nie wiem jak tego pragnęli. Historia Ellen jest prawdziwa; może zresztą właśnie dlatego opowiadam historię o Flaubercie.

Spodziewa się pani także czegoś po mnie, czyż nie mam racji? Tak to już dzisiaj jest. Ludzie zakładają, że są posiadaczami części ciebie, bez względu na to, jak wątła jest między wami nić znajomości; a jeśli okażesz się na tyle nierozważny, żeby napisać książkę, twoje konto bankowe, stan zdrowia i stan cywilny staną się nieodwołalnie własnością publiczną. Flaubert tego nie pochwalał. „Artysta musi postępować tak, by potomność sądziła, że nie istniał.” Dla zakonnika śmierć niszczy ciało i wyzwala ducha; dla artysty śmierć niszczy osobowość i wyzwala dzieło. Tak w każdym razie mówi teoria. Oczywiście często się to nie sprawdza. Spójrzcie, co stało się z Flaubertem: w wiek po jego śmierci Sartre niby jakiś muskularny i zawzięty ratownik przez dziesięć lat ugniatał mu pierś i stosował sztuczne oddychanie metodą usta-usta; dziesięć lat prób, by przywrócić go do przytomności, usadzić na piasku i opowiedzieć mu, co o nim myśli.

A co w tej chwili myślą o nim ludzie? Jak o nim myślą? Jak o łysym mężczyźnie z opadającym wąsem? Jak o pustelniku z Croisset, człowieku, który powiedział „Madame Bovary, c'est moi”? Jak o niepoprawnym estecie, mieszczańskim antymieszczuchu? Zadufane strzępy mądrości, gotowe wyciągi dla tych, którzy nie mają czasu. Flaubert nie byłby chyba zaskoczony gnuśnym pędem do zrozumienia. Ten impuls kazał mu napisać całą książkę (a w każdym razie cały dodatek): *Dictionnaire des idées reçues*.

Na najprostszym poziomie jego słownik stanowi katalog komunałów (Pies: Stworzony po to, by ratować życie swojemu panu. Pies to najlepszy przyjaciel człowieka) i żartobliwych definicji (Langusta:

Samica homara). Poza tym jest to podręcznik zmyślonych rad, zarówno towarzyskich (Światło: Zapalając świecę, zawsze mów: Fiat lux!), jak i estetycznych (Stacja kolejowa: Zawsze wpadaj z jej powodu w ekstazę; przytaczaj ją jako wzorzec architektury). Czasem opis jest sprytny i przekorny, kiedy indziej prowokacyjnie bezpośredni, tak że człowiek zaczyna na pół w to wierzyć (Makaron: Jeśli został przygotowany w stylu włoskim, podaje się palcami). Robi wrażenie jakby upominku specjalnie przygotowanego z okazji konfirmacji przez złośliwego i hulaszczego wujaszka dla poważnego młodzieńca, którego ambicją jest wejść do dobrego towarzystwa. Przestudiujcie to starannie, a nigdy nie powiecie niczego niestosownego, choć też i nic nie będzie właściwe (Halabarda: Widząc napęczniałą chmurę, nie omieszkaj oznajmić: „Będzie padać halabardami”. W Szwajcarii wszyscy mężczyźni noszą halabardy. Absynt: Niezwykle silna trucizna: wystarczy jedna szklaneczka, byś padł martwy. Zawsze pity przez dziennikarzy podczas pisania artykułów. Zabił więcej żołnierzy niż beduini).

Słownik Flauberta to istny kurs ironii: czytając kolejne hasła, można zaobserwować, jak dodaje różną jej dawkę, niby malarz z tamtej strony Kanału kładący jeszcze jedną warstwę farby, by uzyskać ciemniejszy odcień nieba. Kusi mnie, żeby napisać „Słownik obiegowych wyobrażeń na temat Gustawa Flauberta”. Cieniutki: kieszonkowy przewodnik-pułapka; coś z pozoru prostolinijnego, a jednak bałamutnego. Mądrość w formie pigułki, przy czym niektóre pigułki byłyby trujące. Oto cała atrakcyjność i całe niebezpieczeństwo ironii: pozwala ona pisarzowi stwarzać pozory nieobecności w obrębie swojego dzieła, a jednocześnie być w nim aluzyjnie obecnym. Można i zjeść ciastko, i mieć je na talerzu; jedyny kłopot w tym, że się tyje.

Co moglibyśmy powiedzieć o Flaubercie w tym nowym słowniku? Może by tak utrzyć mu nosa jako „mieszczkańskiemu indywidualiście”? Tak, to byłoby chyba wystarczająco kołtuńskie, wystarczająco nieuczciwe. Tej oceny nie zmieni bynajmniej fakt, że Flaubert nienawidził mieszczaństwa. A co z „indywidualistą” lub odpowiednikiem tego określenia? „W moim ideale Sztuki twórcy nie wolno narzucać się ze swoją osobą; artysta winien przejawiać się w swym dziele tak, jak Bóg przejawia się w naturze. Człowiek jest niczym, twórczość wszystkim... Z wielką przyjemnością wyjawilibym, co myślę, i wyzwolił uczucia pana Gustawa Flauberta za pomocą tego rodzaju wypowiedzi; ale jakież znaczenie ma rzeczony dżentelmen?”

Ten wymóg autorskiej nieobecności ma jednak głębsze uzasadnienie. Niektórzy pisarze na pozór zgadzają się z tą zasadą, lecz zakradają się tylnymi drzwiami i ogłuszają czytelnika nader osobistym stylem. Jest to

morderstwo doskonałe, tyle że baseballowy kij pozostawiony na miejscu zbrodni aż lepi się od odcisków palców. Flaubert nie był taki. Bardziej niż inni wierzył w styl. Niezmordowanie dążył do piękna, dźwięczności, ścisłości; doskonałości, ale nigdy opatrzonej monogramem, jak doskonałość pisarzy w rodzaju Wilde'a. Styl jest funkcją tematu. Stylu nie narzuca się materii, on się z niej wyłania. Styl to prawda myśli. Właściwe słowo, odpowiednia fraza, doskonałe zdanie zawsze tkwią „gdzieś poza”; zadaniem pisarza jest tropienie ich wszelkimi sposobami. Dla niektórych oznacza to nie więcej niż wyprawę do supermarketu i napełnienie drucianego koszyka; dla innych — zagubienie na greckiej równinie w mroku, śniegu, deszczu i znajdowanie tego, co potrzebne, za pomocą wyszukanych sztuczek, ze szczekaniem niby pies włącznie.

W naszych pragmatycznych i wszechwiedzących czasach uznamy prawdopodobnie taką ambicję za odrobinę prowincjonalną (cóż, Turgieniew nazwał Flauberta naiwnym). Nie wierzymy już, by język i rzeczywistość mogły „przystawać do siebie” tak dokładnie; sądzimy raczej, że słowa mają nie mniejszą moc nadawania życia rzeczom niż rzeczy — słowom. Ale jeśli uznamy Flauberta za człowieka naiwnego albo — co bardziej prawdopodobne — za przegranego, nie powinniśmy odnosić się protekcjonalnie do jego powagi i odważnej samotności. Był to w końcu wiek Balzaka i Hugo — wiek rozpięty między orchideicznym romantyzmem na początku i gnomicznym symbolizmem pod koniec. Zamierzoną niewidzialność Flauberta w epoce rozgadanych osobowości i wrzaskliwych stylów można scharakteryzować na jeden z dwóch sposobów: jako klasyczną albo jako nowoczesną; spoglądając wstecz na siedemnaste stulecie albo do przodu na schyłek dwudziestego. Współcześni krytycy, którzy z pychą na nowo klasyfikują wszystkie powieści, sztuki i wiersze jako teksty — na gilotynę z autorem! — nie powinni zbywać Flauberta beztroskim lekceważeniem. Na wiek przed nimi przygotowywał właśnie teksty i przeczył znaczeniu własnej osobowości.

„Autor powinien być w swojej książce jak Bóg w swoim wszechświecie: wszechobecny i niewidzialny.” W naszym wieku doczekało się to, oczywiście, przewrotnej interpretacji. Pomyślcie o Sartrze i Camusie. Bóg umarł — oznajmili nam — a wraz z nim podobny Bogu powieściopisarz. Wszechwiedza jest niemożliwa, ludzka wiedza — częściowa, tak zatem i sama powieść musi być częściowa. Brzmi to niezbyt zachęcająco, ale za to logicznie. Czy jednak jest logiczne? W końcu, powieść nie pojawiła się jednocześnie z wiarą w Boga; ani też, prawdę mówiąc, nie istnieje zbyt ścisła korelacja między tymi powieściopisarzami, którzy najmocniej wierzyli we wszechwiedzącego

narratora, a tymi, którzy najmocniej wierzyli we wszechwiedzącego Stwórcę. Przytaczam George Eliot obok Flauberta.

Jeśli chodzi o sedno sprawy, rzekoma boskość przyjęta przez dziewiętnastowiecznego pisarza była tylko chwytem technicznym; podobnie stronniczość i ograniczoność widzenia nowoczesnego powieściopisarza to też tylko wybieg. Kiedy współczesny narrator waha się, głosi swą niepewność, źle rozumie, zgrywa się i robi błędy, czy istotnie czytelnik dochodzi do wniosku, iż rzeczywistość została przedstawiona w sposób bardziej autentyczny? Kiedy autor opatruje swoją powieść dwoma rozmaitymi zakończeniami (dlaczego dwoma, dlaczego nie stu?), czy czytelnik na serio wyobraża sobie, że „zapropozowano mu wybór” i że dzieło oddaje zmienną różnorodność rozstrzygnięć — jak w życiu? Taki „wybór” nigdy nie jest rzeczywisty, gdyż czytelnik musi przyswoić sobie obydwie rozwiązania. W życiu podejmujemy decyzję — albo decyzja kształtuje nas — i idziemy jedną drogą; gdybyśmy podjęli inną decyzję (jak powiedziałem kiedyś mojej żonie; chociaż nie sądzę, by była w stanie docenić moją mądrość), znajdowalibyśmy się gdzie indziej. Powieść z dwoma zakończeniami nie odtwarza tej rzeczywistości; po prostu prowadzi nas dwiema rozbieżnymi ścieżkami. Jest to, moim * zdaniem, odmiana kubizmu. I nie mam nic przeciwko temu; ale nie oszukujmy samych siebie co do istotnego sensu tej sztuczki.

Jeśliby pisarz rzeczywiście chciał odtworzyć deltę życiowych możliwości, powinien zabrać się do tego inaczej. Do książki należałoby dołączyć zestaw zapieczętowanych różnobarwnych kopert. Każda musiałaby zostać wyraźnie oznakowana: tradycyjne szczęśliwe zakończenie; tradycyjne nieszczęśliwe zakończenie; tradycyjne częściowo szczęśliwe zakończenie; Deus ex machina; modernistyczne, dowolne zakończenie; zakończenie z końcem świata; zakończenie jak w serialu; zakończenie jak we śnie; zakończenie niejasne; zakończenie surrealistyczne i tak dalej. Człowiek miałby prawo do jednego tylko i musiałby zniszczyć wszystkie odrzucone przez siebie koperty. Oto, jak sobie wyobrażam prawdziwe prawo wyboru zakończenia; ale można też uznać, że jestem niedorzecznie dosłowny.

A co do narratora wahającego się — cóż, obawiam się, że z takim właśnie ma pani do czynienia w tej chwili. Może dlatego, że jestem Anglikiem. Tyle przynajmniej chyba pani odgadła, że jestem Anglikiem? Ja... Proszę spojrzeć na tę mewę, o tam. Nie dostrzegłem jej przedtem. Odrzucana prądem powietrza, czeka na resztki z kanapek. Mam nadzieję, że nie uzna pani tego za niegrzeczność, ale naprawdę muszę przejść się po pokładzie; w barze robi się duszno. Może byśmy

spotkali się znowu na statku? Czwartkowy prom o drugiej? Z pewnością będę w lepszym nastroju. Dobrze? Co? Nie, nie może pani wyjść ze mną na pokład. Na Boga! Zresztą idę najpierw do ubikacji. Nie mogę pozwolić, żeby pani ze mną poszła i przyglądała się z sąsiedniej kabiny.

Przepraszam, nie chciałem. O drugiej w barze, kiedy prom odbije? Aha, jeszcze jedno. Sklep z serami przy Grande Rue, koniecznie. Zdaje się, że właściciel nazywa się Leroux. Namawiam do kupienia Brillât-Savarina. W Anglii nie dostanie się równie dobrego, trzeba sobie przywieźć. Są przechowywane w zbyt niskiej temperaturze albo wstrzykuje się w nie chemikalia, aby opóźnić dojrzewanie, czy coś w tym rodzaju. O ile, oczywiście, lubi pani sery...

* * *

W jaki sposób umysł obejmuje przeszłość? W jaki sposób obejmuje obcą przeszłość? Czytamy, uczymy się, zadajemy pytania, przypominamy sobie, jesteśmy pełni pokory; i wtedy jakiś przypadkowy szczegół wszystko odmienia. Flaubert był olbrzymem; wszyscy tak twierdzą. Dominował niby krzepki galijski kasztelan. A przecież mierzył tylko sześć stóp wzrostu; wiemy to od niego samego. Wysoki, ale nie olbrzymi; niższy w istocie niż ja, a przecież kiedy jestem we Francji, wcale nie zauważam, bym dominował nad ludźmi niby galijski kasztelan.

Tak więc Gustaw był olbrzymem mierzącym sześć stóp i od tej wiedzy świat kurczy się odrobinę. Olbrzymy były nie tak znowu wysokie (czy zatem karły były również niższe?). Ludzie otyli: czy byli mniej grubasami wskutek niższego wzrostu, przez co wystarczało mniej brzucha, by wyglądać na grubasa? czy też byli tężsi, z tego powodu, że zafundowali sobie takie same brzuchy, ale mieli węższe szkielety, które je podtrzymywały? Gdzie możemy dowiedzieć się takich trywialnych, a przecież rozstrzygających szczegółów? Choćbyśmy przez całe dziesięciolecia badali archiwa, co jakiś czas, i to wcale nierzadko, ogarnia nas pokusa, by wznieść ręce do góry i oświadczyć, że historia jest tylko jeszcze jednym gatunkiem literackim: przeszłość to autobiograficzna powieść, która chce uchodzić za sprawozdanie parlamentarne.

W moim domu wisi na ścianie mała akwarela pędzla Arthura Fredericka Payne'a (urodzony w Newarke, Leicester, w 1831 r., działalność artyst. 1849-84), a przedstawiająca Rouen. Pokazuje widok z cmentarza Bonsecours: mosty, wieże, rzekę zataczającą luk za Croisset. Namalowana została 4 maja 1856 r. Flaubert ukończył *Panią Bovary* 30

kwietnia 1856 r.: w Croisset, w miejscu, w które mogę stuknąć palcem, między dwiema rozlanymi i nieświadomymi tego faktu plamami farby. Tak blisko, a jednak tak daleko. Jestże więc historią ta naprędce namalowana, wyrażająca pewność siebie amatorska akwarelka?

Sam nie wiem, co sędzę o przeszłości. Chciałbym po prostu wiedzieć, czy otyli byli wówczas bardziej otyli. A czy szaleńcy byli bardziej szaleni? W domu wariatów w Rouen przebywał obłąkany zwany Mirabeau, który był niezmiernie popularny wśród lekarzy i studentów medycyny w Hôtel-Dieu, gdyż posiadał szczególny talent: za filiżankę kawy kopułowa! na stole sekcyjnym z ciałem kobiecym. (Czy filiżanka kawy czyniła go mniej, czy też bardziej obłąkanym?) Jednak pewnego dnia Mirabeau okazał się tchórzem: Flaubert donosi, że zawiódł, kiedy wskazano mu kobietę zgilotynowaną. Pewno zaproponowali mu dwie filiżanki kawy, dodatkowy cukier, łyk koniaku? (I czy ta potrzeba twarzy, choćby martwej, świadczy o tym, że był zdrowszy, czy też wprost przeciwnie?)

Dzisiaj zabrania się nam używać słowa „szalenciec”. Co za obłąd! Tych kilku psychiatrów, których szanuję, zawsze mówi, że ludzie są szaleni. Używaj krótkich, prostych, prawdziwych słów. Mówię: martwy, umierający, szalony i cudzołóstwo. Nie mówię: ten, który odszedł, ani w śpiączce, ani u kresu drogi (u kresu drogi — jakby chodziło o końcową stację. Którą? Euston, St Paneras, Gare St Lazare?); ani zaburzenia osobowości, ani biegać za spódniczkami, ani skok w bok, ani poszła odwiedzić siostrę. Mówię szalony i cudzołóstwo — tak właśnie mówię. „Szalony” brzmi właściwie. Jest to zwykłe słowo, które mówi nam, w jaki sposób obłąd może nadjechać niby ciężarówka. Rzeczy straszne są także zwyczajne. Czy wiecie, co Nabokov powiedział o cudzołóstwie w swoim wykładzie na temat *Pani Bovary*? Otóż oznajmił, że to „najbardziej konwencjonalny sposób wzniesienia się ponad konwencjonalność”.

Wszelka historia cudzołóstwa musiałaby wspomnieć o uwiedzeniu Emmy w pędzącym powozie: jest to być może najsłynniejszy akt zdrady małżeńskiej w całej dziewiętnastowiecznej powieści. Wydaje się, że przy tak precyzyjnym opisie czytelnikowi dość łatwo wyobrazić sobie prawidłowo tego rodzaju scenę. Istotnie. Ale równie łatwo jest przedstawić ją sobie odrobinę błędnie. Cytuję G. M. Musgrave’a, rysownika, podróżnika, pamiętnikarza i wikarego w Borden (hrabstwo Kent), autora *The Parson, Pen and Pencil, or, Reminiscences and Illustrations of an Excursion to Paris, Tours, and Rouen, in the Summer of 1847; with a few Memoranda on French Farming* (Richard Bentley, Londyn 1848) oraz *A Ramble Through Normandy, or, Scenes,*

Characters and Incidents in a Sketching Excursion Through Calvados (David Bogue, Londyn 1855). Na stronie 522 tego ostatniego dzieła wielebny Musgrave odwiedza Rouen — „francuski Manchester”, jak nazywa to miasto — w czasie, kiedy Flaubert poci się ciągle nad swoją *Bovary*. Opisowi miasta towarzyszy następująca uwaga:

Wspomniałem przed chwilą o postoju dorożek. Czekające tam pojazdy są tak przysadziste, że nie wyobrażam sobie, bym mógł znaleźć drugie takie w całej Europie. Stanąwszy kiedyś obok którejś, z łatwością położyłem rękę na dachu. To solidnie zbudowane, czyste i schludne małe pojazdy z dwiema dobrymi latarniami; a pędzą ulicami niby powóz Tomcia Palucha.

I oto nasz pogląd na tę sprawę ulega nagle zachwianiu: do sławetnego uwiedzenia doszło w jeszcze większej ciasnocie i było ono jeszcze mniej romantyczne, niż mogliśmy poprzednio mniemać. O ile wiem, ta informacja nie została dotychczas wykorzystana w obszernych komentarzach do powieści; przedstawiam ją z całą pokorą, aby uczynili z niej użytek zawodowi uczeni.

Wysocy, otyli, szaleńcy. A poza tym są kolory. Podczas zbierania materiałów do *Pani Bovary* Flaubert całe popołudnie spędził na oglądaniu krajobrazu przez kawałki barwionego szkła. Czy widział to, co widzimy dzisiaj? Przypuszczalnie. Ale co z taką sprawą: w roku 1853, w Trouville patrzył na słońce zachodzące nad morzem i oznajmił, że podobne jest do wielkiej tarczy dżemu porzeczkowego. Dosyć jaskrawe porównanie. Czy jednak dżem porzeczkowy miał wtedy w Normandii ten sam kolor co teraz? (Czy przetrwał jakiś słoik, byśmy mogli to sprawdzić? I skąd byśmy wiedzieli, czy kolor nie zmienił się w ciągu minionych lat?) Tego rodzaju pytania prześladują człowieka. Postanowiłem napisać w tej sprawie do Stowarzyszenia Właścicieli Sklepów Spożywczych. W przeciwieństwie do innych moich korespondentów odpowiedzieli szybko. Uspokoił mnie także: dżem porzeczkowy należy do najczystszych dżemów — oznajmili — i chociaż w 1853 roku roueński słoik mógł być nie tak klarowny jak obecny, gdyż używano nie rafinowanego cukru, kolor musiał być prawie dokładnie taki sam. Tak więc tutaj przynajmniej wszystko jest w porządku: możemy śmiało i ufnie wyobrazić sobie ten zachód słońca. Pojmujecie jednak, o co mi chodzi? (Oto inne moje zastrzeżenia: słoik dżemu mógłby rzeczywiście przetrwać do naszych czasów, ale prawie na pewno stałby się brunatny, chyba że byłby szczelnie zamknięty i przechowywany w suchym, przewiewnym i zupełnie ciemnym pomieszczeniu.)

Wielebny George M. Musgrave miał skłonność do dygresji, ale był facetem spostrzegawczym. Widać u niego niejaką tendencję do pompatyczności („Cisną mi się na usta słowa najwyższego podziwu dla literackiej sławy Rouen”), ale zapobiegliwe gromadzenie szczegółów sprawia, że jest pożytecznym informatorem. Odnotowuje francuskie zamiłowanie do porów i francuski wstręt do deszczu. Wypytuje wszystkich: kupca roueńskiego, który zdumiewa go tym, że nie słyszał o sosie miętowym, i kanonika z Evreux, który donosi mu, że we Francji mężczyźni za dużo czytają, podczas gdy kobiety nie czytają prawie nic (tym większym wyjątkiem jest Emma Bovary!). Podczas pobytu w Rouen zwiedza Cimetière Monumental w rok po tym, jak pochowano tam ojca i siostrę Gustawa, i pochwała reformatorską politykę polegającą na tym, że rodzina może wykupić grobowiec na własność. Innym znowu razem interesuje się fabryką nawozów sztucznych, tapiserią w Bayeux i przytułkiem dla obłąkanych w Caen, gdzie w 1840 r. zmarł Beau Brummell. (Czy Brummell był szalony? Personel dobrze go pamiętał: un bon enfant pił wyłącznie kleik jęczmienny zmieszany z odrobiną wina.)

Musgrave udał się również na jarmark w Guibray, gdzie wśród wybryków natury pokazywano najgrubszego chłopca we Francji, Aimable’a Jouvina, urodzonego w Herblay w 1840 r., wówczas w wieku lat czternastu, wstęp ćwierć pensa. Jak gruby był ten gruby chłopiec? Niestety, nasz wędrowny rysownik tym razem nie spisał się i nie utrwalił młodego fenomena ołówkiem; odczekał jednak, aż francuski kawalerzysta, zapłaciwszy należne ćwierć pensa, wszedł do cyrkowego wozu i po pewnym czasie wyłonił się wykrzykując z patosem „jakieś wyszukane normandzkie zwroty”. Chociaż Musgrave nie zdobył się na to, żeby wypytać żołnierza o wrażenia, wydało mu się, że „Aimable nie został utuczony na tyle, by dorównać wyolbrzymionym oczekiwaniom zwiedzającego”.

W Caen Musgrave poszedł na regaty, wraz z siedmioma tysiącami widzów, którzy ustawili się wzdłuż basenu portowego. Większość stanowili mężczyźni, przeważnie wieśniacy, którzy ubrali się w najlepsze niebieskie kaftany. W masie dawało to wrażenie jasnej, ale tym wyrazistszej ultramaryny. Był to szczególny, ściśle określony kolor; Musgrave widział go poprzednio tylko raz, w specjalnym oddziale Banku Anglii, gdzie palono banknoty wycofane z obiegu. Papier na banknoty barwiono ówczesnie barwnikiem sporządzonym z kobaltu, kwarcu, soli i potażu: jeśli się spali plik pieniędzy, popiół nabierze tego niezwykłego odcienia, jaki Musgrave zobaczył na brzegu basenu portowego w Caen. Kolor Francji.

W dalszej podróży ten kolor i jego jaskrawsze odcienie stały się

bardziej widoczne. Niebieskie były bluzy i podkoszulki mężczyzn; trzy czwarte kobiet nosiło niebieskie suknie. Niebieskie były końskie czapaki i ozdoby uprząży; podobnie wozy, tabliczki z nazwami wsi, narzędzia rolnicze, taczki i zbiorniki z deszczówką. W wielu miastach domy pyszniły się modrym odcieniem zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Musgrave nie omieszkał oznajmić napotkanemu Francuzowi: „Więcej jest niebieskiego koloru w pańskim kraju niż w jakiegokolwiek innej okolicy świata, z którą się zapoznałem”.

Na słońce patrzymy przez zadymione szkło; na przeszłość powinniśmy patrzeć przez szkło barwne.

* * *

Dziękuję. Santé. Mam nadzieję, że kupiła pani ser? Czy można coś doradzić? Proszę go zjeść. Proszę nie przechowywać dla gości w plastikowym woreczku w lodówce; zanim się pani spostrzeże, stanie się trzy razy większy i zacznie śmierdzieć jak fabryka chemiczna. Uchyli się torebkę i twarz owionie woń złego małżeństwa.

„Podawanie do publicznej wiadomości szczegółów o sobie samym jest mieszczańską pokusą, której zawsze się opierałem” (1879). Ale uwaga! Zna pani oczywiście moje nazwisko: Geoffrey Braithwaite. Proszę nie opuścić „l”, bo zrobi pani ze mnie paryskiego kupca. Nie, to tylko żart. Proszę posłuchać. Czy zna pani te ogłoszenia z rubryki „osobiste” w magazynach typu „New Statesman”? Myślę, że mógłbym ująć to następująco:

Wdowiec po sześćdziesiątce, lekarz, dzieci dorosłe, aktywny, pogodny, choć skłonny do melancholii, łagodny, niepalący, po amatorsku zajmujący się Flaubertem, lubi czytać, jeść, podróżować do już poznanych miejsc, a także oglądać stare filmy, ma przyjaciół, ale szuka...

Widzi pani, w czym rzecz. Ale szuka... Czy istotnie? Czego szukam? Tkliwej czterdziestoletniej rozwódki lub wdówki w celu zawarcia małżeństwa opartego na przyjaźni? Nie. Dojrzałej damy, by spacerować z nią za miastem i zjadać od czasu do czasu kolacyjkę? Nie. Biseksualnej pary, by zażywać we trójkę uciech? Z pewnością nie. Zawsze czytam te tęskne ustępy na ostatniej stronie magazynów, chociaż nigdy nie czuję ochoty, żeby odpowiedzieć; i właśnie uświadomiłem sobie dlaczego. Gdyż nie wierzę im. Nie kłamią — a nawet mają być w zamierzeniu niezwykle szczere — ale i nie mówią prawdy. Opis siebie samego podany przez człowieka, który daje ogłoszenie, jest zniekształcony. Nikt

nie pomyślałaby o sobie jako o aktywnym przeciwniku palenia skłonny do melancholii, gdyby nie skłaniała do tego — czy wręcz wymagała tego — forma. Dwa wnioski: pierwszy, że człowiek nie może zdefiniować siebie bezpośrednio, po prostu wpatrując się w swoją twarz w lustrze; a po drugie, że Flaubert miał, jak zawsze, rację. Styl rzeczywiście wyłania się z tematu-materii. Człowiek dający ogłoszenie robi, co może, ale zawsze zostaje pokonany przez formę; musi — nawet kiedy szczerze pragnie przemawiać językiem osobistym — popaść w nie zamierzoną bezosobowość.

Może pani przynajmniej zobaczyć kolor moich oczu. Nie tak skomplikowane jak oczy Emmy Bovary, prawda? Ale czy coś z tej wiedzy wynika? Mogą wprowadzić w błąd. Wcale nie popisuję się skromnością; próbuję być użyteczny. Czy wie pani, jakiego koloru oczy miał Flaubert? Nie, nie wie pani, a to z tego prostego powodu, że kilka stron wcześniej zataiłem tę informację. Nie chciałem, żeby pani wyciągnęła pochopne wnioski. Sama pani widzi, jak się o panią troszczę. Nie jest pani tym zachwycona? Wiem. No dobrze. Otóż wedle Du Campa Gustaw, galijski kasztelan, sześciostopowy olbrzym o głosie jak trąba jerychońska, miał „wielkie oczy, zielone jak morze”.

Pewnego dnia czytałem Mauriaca: *Pamiętnik życia wewnętrznego*, napisany pod sam koniec życia. Jest to okres, kiedy ostatnie pigułki próżności chorobliwie pęcznieją w cystę, kiedy własne „ja” zaczyna patetycznie szeptać końcowe słowa: „Pamiętajcie mnie, pamiętajcie...”; to czas pisania autobiografii, czas ostatnich przechwałek, czas gdy wspomnienia, których nie zachował mózg żadnego innego człowieka, są utrwalane z fałszywym przekonaniem o ich wartości.

Ale tego właśnie Mauriac robić nie chce. Pisze wspomnienia, ale właściwie nie są to wspomnienia. Oszczędza nam dziecięcych wyliczanek i dyktand, pierwszej służącej, którą się posiadało na wilgotnym poddaszu, mądrego stryjaszka z metalowymi zębami i głową pełną bajek — i innych temu podobnych rzeczy. Zamiast tego Mauriac opowiada nam o książkach, które czytał, malarzach, których lubił, sztukach, na których był w teatrze. Odnajduje siebie, patrząc na dzieła innych. Własną wiarę definiuje przez namiętny gniew zwrócony przeciwko Gide’owi, czcicielowi Lucyfera. Czytanie jego „wspomnień” to jakby spotkanie w pociągu z człowiekiem, który mówi: „Proszę na mnie nie patrzeć, to wprowadza w błąd. Jeśli chce pan wiedzieć, jaki jestem, niech pan poczeka, aż znajdziemy się w tunelu, i wtedy proszę spojrzeć na moje odbicie w oknie”. Czekasz, patrzysz i chwytasz spojrzeniem twarz na przemykającym tle okopconych ścian, kabli i nagłego fragmentu muru z cegieł. Przezroczysty kształt miga i skacze,

ciągle w odległości kilku stóp. Zaczynasz przywykać do jego istnienia, ruszasz się zgodnie z jego ruchami; i chociaż wiesz, że jego obecność jest warunkowa, odczuwasz ją jako stałą. I wtedy następuje jęk z przodu, warkot i błyska światło: twarz zniknęła na zawsze.

No tak, widzi pani, że mam brązowe oczy; proszę wyciągnąć stąd wnioski, jakie się pani żywnie podoba. Wzrost sześć stóp i cal; siwe włosy; zdrowie w porządku. Ale co jest w moim przypadku ważne? Tylko to, co wiem, w co wierzę, co mogę powiedzieć. Mój charakter nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Nie, to nieprawda. Lepiej wyznam, że jestem uczciwy. Chcę mówić prawdę; chociaż nie da się, jak sądzę, uniknąć pomyłek. A jeśli się pomylę, znajdę się przynajmniej w doborowym towarzystwie. „The Times” z 10 maja 1880 r. na kolumnie nekrologów utrzymuje, że Flaubert napisał książkę pod tytułem *Bouvard i Peluchet* i że „najpierw wykonywał ten sam zawód co ojciec — był chirurgiem”. Moja *Encyclopaedia Britannica*, wydanie jedenaste (najlepsze, jak utrzymują), sugeruje, że Karol Bovary to portret ojca powieściopisarza. Autorem tego artykułu, niejakim E.G., jest, jak się okazuje, Edmund Gosse. Lekko sapnąłem po przeczytaniu tej informacji. Mam odrobinę mniej czasu dla „pana” Gosse’a od chwili mojego zetknięcia się z Edem Wintertonem.

Jestem uczciwy, jestem godny zaufania. Kiedy byłem jeszcze lekarzem, nie zabiłem ani jednego pacjenta, czym można chełpić się bardziej, niż sobie pani zapewne wyobraża. Ludzie ufali mi; w każdym razie przychodzili powtórnie. I byłem dobry w obchodzeniu się z umierającymi. Nigdy się nie upiłem — to znaczy nigdy nie upiłem się ponad miarę; nigdy nie wypisywałem recept dla pacjentów istniejących tylko w wyobraźni; nigdy nie zalecałem się do kobiet w moim gabinecie. Gipsowy posążek świętego, zdawałoby się. Ale wcale tak nie jest.

Nie, nie zabiłem mojej żony. Mogłem się domyślić, że mnie pani o to posądzi. Najpierw dowiaduje się pani, że ona nie żyje; potem, chwilę później, mówię, że nie zabiłem ani jednego pacjenta. Aha, więc kogo zabiłeś? Pytanie bez wątpienia wygląda na logiczne. Jak łatwo wpaść w pułapkę spekulacji. Był taki człowiek nazwiskiem Ledoux, który złośliwie twierdził, że Flaubert popełnił samobójstwo; zmarnował ludziom mnóstwo czasu. Później o nim opowiem. To wszystko ma dostarczyć argumentów przemawiających za moim poglądem: jaka wiedza jest użyteczna, jaka jest zgodna z prawdą? Albo muszę podać dość informacji o sobie, żeby musiała pani przyznać, że nie mogłem zabić mojej żony, tak samo jak Flaubert nie mógł popełnić samobójstwa; albo powiem po prostu: Już starczy, dość tego. Ani słowa więcej. J’y suis, j’y reste.

Mógłbym być może prowadzić grę Mauriaca. Opowiedzieć, jak wychowałem się na Wellsie, Huxleyu i Bernardzie Shaw; jak przedkładałam George Eliot, a nawet Thackeraya, nad Dickensa; jak lubię Orwella, Hardy'ego i Housmana, a nie lubię zespołu Auden-Spender-Isherwood (głoszącego socjalizm jako konsekwencję reformy prawa dotyczącego homoseksualistów); jak odkładałam sobie Virginię Woolf na czas, kiedy umrę. Młodszy pisarze? Współcześni koledzy po piórze? Cóż, ma się wrażenie, że każdy z nich robi dosyć dobrze jedną rzecz, ale nie jest w stanie uświadomić sobie, że literatura polega na tym, że robi się dobrze wiele rzeczy na raz. Mógłbym rozwodzić się długo nad każdym z tych tematów; sprawiłoby mi wielką przyjemność powiedzieć, co myślę, by wyzwolić uczucia Monsieur Geoffreya Braithwaite'a. Ale jakież znaczenie ma rzeczony dżentelmen?

Postawiłbym raczej na inny wariant. Pewien Włoch napisał kiedyś, że krytyk w głębi duszy pragnie zabić pisarza. Czy tak jest naprawdę? Do pewnego stopnia. Wszyscy czujemy nienawiść do złotych jajek. Znowu te przeklęte złote jaja — słysząc pomruk krytyków, kiedy dobry powieściopisarz puszcza w obieg kolejną dobrą powieść; czy nie dosyć omletów mieliśmy w tym roku?

Jeśli nawet tak nie jest, to w każdym razie wielu krytyków chciałoby być dyktatorami literatury, regulować przeszłość i ustalać ze spokojną pewnością siebie przyszłe kierunki sztuki. Tego miesiąca wszyscy mają pisać o tym i o tym; w następnym miesiącu nikomu już tego tematu poruszać nie wolno. To i to nie będzie wznowione, dopóki nie wydamy odpowiedniego polecenia. Wszystkie egzemplarze tej uwodzicielsko szkodliwej powieści muszą być natychmiast zniszczone. (Myślicie, że żartuję? W marcu 1983 r. gazeta „Liberation” nalegała, żeby francuska pani minister zajmująca się prawami kobiet umieściła na indeksie z powodu „publicznego prowokowania nienawiści płciowej” następujące dzieła: *Gargantua i Pantagruel*, *Judasza nieznanego*, wiersze Baudelaire'a, całego Kafkę, *Śniegi Kilimandżaro* i... *Panią Bovary*.) Ale bawmy się dalej. Ja pójdę na pierwszy ogień.

1. Ma nie być więcej powieści, w których grupa ludzi odizolowana wskutek okoliczności powraca do „naturalnego stanu” człowieka, a ludzie ci stają się naturalnymi, nieszczęśliwymi, nagimi, bezradnymi istotami. Co najwyżej można napisać krótkie opowiadanie, ostatnie z tego gatunku, zamykające cykl. Napiszę je specjalnie dla pani. Grupa podróżnych padła ofiarą katastrofy morskiej albo lotniczej i znalazła się w nieznanym miejscu, bez wątplenia na jakiejś wyspie. Jeden z nich, wielki, mocny, odrażający mężczyzna, ma rewolwer. Zmusza pozostałych do życia w jamach, które sami mają sobie wygrzebać w

ziemi. Co jakiś czas bierze któregoś ze swoich jeńców, strzela mu w łeb i zjada jego mięso. Pożywienie jest smaczne i facet obrasta w tłuszcz. Kiedy już zastrzeli i zje ostatniego jeńca, zaczyna kombinować, co by tu włożyć do ust; na szczęście przybywa hydroplan i ratuje go z opresji. Oznajmia wszystkim, że jako jedyny przeżył katastrofę i że odżywia się jedząc jagody, listki i korzonki. Świat jest zdumiony jego wspaniałą formą fizyczną i afisz z jego fotografią rozwieszają w oknach wystawowych sklepów z wegetariańskim pożywieniem. Jego tajemnica nigdy nie wychodzi na jaw.

Sama pani widzi, jak łatwo to napisać, jakie to zabawne. Właśnie dlatego zakazałbym uprawiania tego gatunku.

2. Ma już nie być powieści o kazirodztwie. Nie, nawet takich w bardzo złym guście.

3. Dość już powieści umiejscowionych w rzeźni. Przyznaję, że w tej chwili jest to gatunek bardzo wąski; ale ostatnio zauważyłem, że coraz częściej wykorzystuje się rzeźnię w opowiadaniach. Trzeba to zdusić w zarodku.

4. Należy wprowadzić dwudziestoletni zakaz pisania powieści, które rozgrywają się w Oksfordzie lub Cambridge, oraz dziesięcioletni na inne uniwersytety. Nie dotyczy to tych powieści, których akcja toczy się na politechnikach (jednak żadnych subsydiów zachęcających do ich pisania). Nie dotyczy powieści o szkołach podstawowych; dziesięcioletni zakaz powieści o szkołach średnich. Częściowy zakaz powieści młodzieżowych (dopuszcza się jedną na autora). Częściowy zakaz powieści historycznych o czasach współczesnych (znowu dopuszcza się jedną na autora). Całkowity zakaz powieści, których bohaterem jest dziennikarz albo prezenter telewizyjny.

5. System udziałowy należy wprowadzić w odniesieniu do powieści dziejących się w Ameryce Południowej. Chodzi tu o zahamowanie rozpowszechniania turystycznego baroku i ciężko strawnej ironii. Ach, powiązanie tandetnego życia i wyszukanych zasad, religijności i bandytyzmu, zadziwiającego poczucia honoru i ślepego okrucieństwa. Ach, ptak daiquiri, który wylęga jaja na własnych skrzydłach; ach, drzewo fredonna, któremu korzenie wyrastają z końców gałęzi i którego włókna pomagają garbusowi zapłodnić przez telepatię hardą żonę właściciela hacjendy; ach, budynek opery obecnie porośnięty dżunglą. Pozwólcie, że walnę pięścią w stół i warknę: „Basta!” Powieści o Arktyce i Antarktydzie otrzymają fundusze na rozwój.

6a. Żadnych scen, w których dochodzi do fizycznego zbliżenia między istotą ludzką a zwierzęciem. Chodzi na przykład o kobietę i morświna, których czuła kopulacja symbolizuje odtworzenie

delikatnych pajęczych nici, jakie łączyły kiedyś cały świat w pokojowym współżyciu. Nie, precz z tym.

6b. Żadnych scen, w których dochodziłoby do stosunków cielesnych między mężczyzną i kobietą pod prysznicem (można by powiedzieć, w stylu morświnów). Kieruję się przede wszystkim względami estetycznymi, ale także medycznymi.

7. Żadnych powieści o małych, zapomnianych już dzisiaj wojnach stoczonych w odległych zakątkach Imperium Brytyjskiego; powieści, z których mozolnego toku dowiadujemy się najpierw, że Brytyjczycy są przeciętnie niegodziwi, a następnie, że wojna jest doprawdy okropną rzeczą.

8. Żadnych powieści, w których narrator albo jakakolwiek z postaci byłiby oznaczeni tylko inicjałem. Wcale nie zerwano z tymi praktykami!

9. Nie powinno być więcej powieści, które w rzeczywistości mówią o innych powieściach. Żadnych „współczesnych wersji”, przeróbek, dalszych ani bliższych ciągów. Żadnych wymyślonych zakończeń dzieł nie dokończonych wskutek śmierci autora. Zamiast tego każdy pisarz ma być zaopatrzony w kolorową wełnianą makatkę, którą zawiesi sobie nad kominkiem. Głosi ona: Tkaj sobie własny wątek.

10 Powinien obowiązywać dwudziestoletni zakaz Boga; albo raczej — alegorycznego, metaforycznego, aluzyjnego, zakulisowego, niejasnego i dwuznacznego wykorzystywania Boga. Brodaty ogrodnik, który ciągle pielęgnuje jabłoń; mądry stary kapitan okrętu, który nigdy nie wypowiada pochopnych sądów; postacie, z którymi cię nie zapoznano, a które sprawiają, że w czwartym rozdziale cierpie ci skóra... wszystkie je należy złożyć do depozytu. Bóg dozwolony jest tylko jako sprawdzalne bóstwo, które niezwykle irytuje się ludzkimi grzeszkami.

Jak zatem ogarniamy przeszłość? Czy w miarę jak staje się odleglejsza, ulega również zogniskowaniu? Niektórzy tak sądzą. Wiemy więcej, odnajdujemy dodatkowe dokumenty, wykorzystujemy podczerwień, żeby odczytać wymazane fragmenty w korespondencji, i jesteśmy wolni od ówczesnych przesądów; tak więc rozumiemy lepiej. Czy rzeczywiście? Nie jestem pewny. Weźmy życie seksualne Gustawa. Przez całe lata zakładano, że Niedźwiedź z Croisset wyzbywał się swojej niedźwiedziej samotności wyłącznie z Luizą Colet — był to „jedyne uczuciowy epizod mający jakieś znaczenie w życiu Flauberta” — jak obwieścił Emile Faguet. Ale potem odkryto Elizę Schlesinger — zamurowaną królewską komnatę w sercu Gustawa, tłący się płomień, nigdy nie skonsumowaną młodzieńczą namiętność. Potem pojawiło się więcej listów i dzienniki egipskie. Życie zaczyna roić się od aktorek;

ogłoszono pokładziny z Bouilhetem; sam Flaubert przyznaje się, że zagustował w kairskim chłopcu kąpielowym. Wreszcie mamy przed oczyma cały kształt jego zmysłowości; jest biseksualny, wszechstronnie doświadczony.

Ale nie tak szybko. Sartre wyrokuje arbitralnie, że Gustaw nigdy nie był homoseksualistą, miał jedynie bierny i kobiecy charakter. Drugorzędny epizod z Bouilhetem to tylko przekomarzanka, męska przyjaźń doprowadzona do najdalszych granic; Gustaw przez całe życie nie popełnił ani jednego aktu homoseksualnego. Sam twierdzi wprawdzie, że owszem, ale to tylko przechwałki rodem prosto z wyobraźni: Bouilhet prosił o kairskie lubieżności i Flaubert mu ich dostarczył. (Czy to nas przekonuje? Sartre oskarża Flauberta o dostosowanie wyobrażeń do pragnień. Czy nie moglibyśmy oskarżyć Sartre'a o to samo? Czy nie wolałby on widzieć we Flaubercie dygoczącego mieszcza, który igra na skraju grzechu, ale boi się go popełnić, raczej niż Flauberta szalonego, przewrotnego i pobłażającego sobie?) I jednocześnie zachęcano nas także do ujrzenia w nowym świetle zażyłości z panią Schlesinger. Wśród znawców Flauberta panuje obiegowe przekonanie, że ten stosunek został w końcu skonsumowany: albo w 1848 r., albo, co jest bardziej prawdopodobne, we wczesnych miesiącach 1843 r.

Przeszłość to odległe, stale oddalające się wybrzeże i wszyscy płyniemy na jednej łodzi. Wzdłuż barierki na rufie ustawiono szereg lunet; każda jest nastawiona na określoną odległość. Jeśli statek tkwi nieruchomo, zawsze używamy tej samej lunety; mamy wówczas wrażenie, że przekazuje nam ona całkowitą i niezmienną prawdę. Ale to złudzenie; kiedy zaś łódź znowu zaczyna płynąć, wracamy do naszych zwykłych czynności: pędzimy od jednej lunety do drugiej, widzimy, jak w jednej obraz traci ostrość, czekamy na wyklarowanie się obrazu w innej. A kiedy już widzimy wyraźnie, wyobrażamy sobie, że osiągnęliśmy to własnymi siłami.

Czy morze nie jest spokojniejsze niż wtedy? I kurs na północ — światło, które zobaczył Boudin. Jak widzą ten rejs ci, którzy nie są Brytyjczykami, kiedy zbliżają się do krainy wiecznego skrępowania i angielskich śniadań? Czy żartują nerwowo na temat mgły i owsianki? Flaubert uznał Londyn za przerażający; jest to niezdrowe miasto — oznajmił — gdzie nie można znaleźć pot-au-feu. Z drugiej strony, Brytania była ojczyzną Szekspira, klarownego myślenia i politycznej wolności, krajem, w którym Wolter został powitany życzliwie i do którego miał uciec Zola.

Czym jest teraz? Pierwszym slumsem Europy, jak nazwał Brytanię

niedawno jeden z naszych poetów. Pierwszy hipermarket Europy byłoby określeniem stosowniejszym. Wolter zachwalał naszą postawę wobec handlu i brak snobizmu, co pozwalało młodszym synom szlacheckim zostać ludźmi interesu. Obecnie jednodniowi turyści przybywają z Holandii i Belgii, Niemiec i Francji podnieceni słabą pozycją funta i niecierpliwie spieszący do sieci sklepów Marks & Spencer. Handel — oznajmił Wolter — stanowi bazę, na której zbudowano wielkość narodu; teraz tylko handel chroni nas przed plajtą.

Kiedy zjeżdżam z promu, zawsze mam ochotę ruszyć bramką oznakowaną na czerwono. Nigdy nie mam więcej wolnych od cła przedmiotów, niż jest dozwolone; nigdy nie sprowadzałem roślin, psów, lekarstw ani surowego mięsa, ani broni palnej; a jednak kusi mnie, żeby obrócić kierownicą i pojechać w stronę czerwonej bramki.

Zawsze ma się uczucie klęski, kiedy wraca się z Kontynentu i nie ma nic do pokazania. Zechciałby pan to przeczytać? Tak. Czy zrozumiał pan należycie? Tak. Czy ma pan coś do oclenia? Tak. Chciałbym zgłosić niegroźny przypadek francuskiej grypy, niebezpieczne zamiłowanie do Flauberta, dziecinne upodobanie do francuskich znaków drogowych i miłość do światła, które widać, kiedy patrzy się na północ. Czy za coś z tego obowiązuje opłata celna? Powinna.

Och, i mam jeszcze ten ser. Brillât-Savarin. Facet za mną też się zaopatrzył. Powiedziałem mu, że na cle zawsze trzeba zadeklarować ser. Proszę powiedzieć „ser”.

Nie pomyślała pani chyba, że chcę być enigmatyczny? Jeśli wzbudzam irytację, to przypuszczalnie dlatego, że czuję się skrepowany; powiedziałem już, że nie lubię patrzeć prosto w twarz. Ale naprawdę robię, co mogę, żeby wszystko ułatwić. Mistyfikacja jest sprawą prostą; klarowność jest najtrudniejsza ze wszystkiego. Łatwiej nie zapisać melodii niż ją zapisać. Nierymowanie jest łatwiejsze niż rymowanie. Nie mam na myśli tego, że sztuka powinna być jasna jak instrukcja na opakowaniu nasion; chodzi mi o to, że ufasz mistyfikatorowi bardziej, jeśli wiesz, że z rozmysłem postanawia on nie być klarowny. Ufamy Picassowi bez zastrzeżeń, bo mógłby przecież rysować jak Ingres.

Ale jaka na to rada? Co powinniśmy wiedzieć? Nie wszystko. Wszystko oznacza zamęt. Otwartość także zbija z pantałyku. Portret patrzący na ciebie en face hipnotyzuje. Flaubert zwykle patrzy w bok na swoich portretach i fotografiach. Patrzy w bok, tak że nie możesz pochwycić jego spojrzenia; patrzy w bok także dlatego, że to, co może zobaczyć ponad twoim ramieniem, jest bardziej interesujące niż twoje ramię.

Otwartość zbija z pantałyku. Powiedziałem już, jak się nazywam:

Geoffrey Braithwaite. Czy to coś dało? Odrobinę; w każdym razie to lepsze niż „B.” albo „G.”, albo „mężczyzna”, albo „amator serów”. A co by pani wywnioskowała z nazwiska, gdyby mnie nie znała? Klasa średnia, wolny zawód, może doradca prawny; mieszkaniec krainy sosny i wrzosu; cętkowany tweedowy garnitur; wąsy wskazujące — być może zwodniczo — na przeszłość wojskową; rozsądna żona; może trochę żeglowania w weekendy; pijący raczej gin niż whisky; i tak dalej?

Jestem — byłem — lekarzem, pierwsze pokolenie pracujące; jak pani widzi, żadnych wąsów, chociaż mam wojskową przeszłość, której nie mógł uniknąć żaden mężczyzna w moim wieku; mieszkam w Essex, najbardziej pozbawionym charakteru — i tym samym najbardziej do przyjęcia — hrabstwie w kraju; whisky, a nie gin; ani śladu tweedu; i żadnego żeglarstwa. A zatem prawie tak, a jednak niezupełnie tak. Jeśli chodzi o moją żonę, nie była ani trochę rozsądna. To jedno z ostatnich określeń, jakie można by do niej odnieść. Jak już powiedziałem, wstrzykują coś do serów, żeby nie dojrzewały zbyt szybko. Ale i tak dojrzewają; taką mają naturę. Miękkie sery kurczą się, twarde twardnieją. Oba rodzaje pleśnieją.

Zamierzałem umieścić moją fotografię na okładce książki. Nie z próżności; po prostu chciałem pomóc. Ale niestety było to dosyć stare zdjęcie; zrobione jakieś dziesięć lat temu. Nie miałem żadnego nowszego. Człowiek odkrywa pewną prawdę: w określonym wieku ludzie przestają się fotografować. Albo raczej fotografują się tylko przy oficjalnych okazjach: urodziny, śluby, Boże Narodzenie. Zarumienione i podochocone postacie wznoszą do góry szklance w otoczeniu przyjaciół i rodziny — jak dalece prawdziwy i wiarygodny jest taki wizerunek? Co ujawniłaby fotografia z dwudziestej piątej rocznicy ślubu? Z pewnością nie prawdę; tak więc dobrze, że jej nie zrobiono.

Siostrzenica Flauberta, Karolina, utrzymuje, że pisarz pod koniec życia żałował, iż nie ma żony i rodziny. Jej relacja jest jednak nader skąpa. Przechadzali się we dwoje nad Sekwaną po wizycie u przyjaciół. „«Dobrze zrobili — oznajmił mi, nawiązując do ogniska rodzinnego i uroczych, grzecznych dzieci. — Tak — powtórzył sam do siebie z powagą — dobrze zrobili.» Nie zakłócałam jego myśli, ale szłam w milczeniu obok niego. Był to jeden z naszych ostatnich spacerów.”

Wolałbym, żeby zakłóciła tok jego myśli. Czy powiedział to z całą powagą? Czy powinniśmy potraktować te słowa inaczej niż po prostu jako odbicie przewrotności człowieka, który marzył o Egipcie w Normandii i o Normandii, kiedy był w Egipcie? Czy tą uwagą wykraczał poza pochwałę szczególnych talentów rodziny, którą dopiero co odwiedził? W końcu, gdyby chciał pochwalić samą instytucję

małżeństwa, mógłby zwrócić się do siostrzenicy i wyrazić żal z powodu samotnego życia, przyznając: „Zrobiłaś dobrze”. Ale oczywiście nie uczynił tego; ponieważ zrobiła źle. Wyszła za człowieka słabej woli, który stał się bankrutem, a próbując uratować męża, doprowadziła do bankructwa wuja. Przypadek Karoliny jest pouczający — w posępny sposób także dla Flauberta.

Jej ojciec był człowiekiem równie słabego charakteru, co w przyszłości mąż; Gustaw go zastąpił. W swoich *Souvenirs intimes* Karolina wspomina powrót wuja z Egiptu, kiedy była jeszcze małą dziewczynką; niespodziewanie zjawił się któregoś wieczoru, obudził ją, wyjął z łóżka, wybuchnął śmiechem, bo nocna koszula sięgała poniżej jej stóp, i zaczął obcałowywać jej policzki. Przyszedł prosto z dworu, miał wąsy zimne i wilgotne od mgły. Była przestraszona i poczuła wielką ulgę, kiedy położył ją z powrotem do łóżka. Cóż to jest jak nie podręcznikowe opowiadanie o przestraszu spowodowanym powrotem ojca do domu — powrotem z wojny, z podróży w interesach, z zagranicy, z potajemnej schadzki, z niebezpiecznego miejsca?

Uwielbiał ją. W Londynie obnosił ją po Wielkiej Wystawie; tym razem była szczęśliwa w jego ramionach, zabezpieczona przed budzącym lęk tłumem. Uczył ją historii, opowiadał o Pelopidasie i Epaminondasie; brał do ręki łopatę i cebrzyk wody i uczył ją geografii w ogrodzie, gdzie wpajał jej wiedzę pogładową, budując półwyspy, wyspy, zatoki i przylądki. Było jej z nim dobrze i wspomnienia z dzieciństwa nie zatarły się mimo niepowodzeń jej dorosłego życia. W 1930 roku, mając osiemdziesiąt cztery lata, Karolina poznała w Aix-les-Bains Willę Cather i wskrzesiła w pamięci godziny spędzone osiemdziesiąt lat wcześniej na dywanie w kącie gabinetu Gustawa: on pracował, ona czytała, ściśle, ale i z dumą, przestrzegając milczenia. „Kiedy leżała sobie w kąciku, lubiła myśleć, że jest zamknięta w klatce z jakimś potężnym dzikim zwierzęciem — tygrysem, lwem albo niedźwiedziem — które pożarło swojego opiekuna i gotowe było rzucić się na każdego, kto otworzy drzwi, ale przy którym czuła się «całkiem bezpieczna i pełna próżności», jak oznajmiła chichocząc.”

Ale potem pojawiły się strapienia wieku dojrzałego. Doradził jej źle i wyszła za człowieka słabego. Stała się snobką; w głowie było jej tylko eleganckie towarzystwo; a wreszcie spróbowała nawet wygryźć stryja z tegoż domu, gdzie wtłoczono jej do głowy najbardziej pożyteczne wiadomości.

Epaminondas był tebańskim wodzem uznawanym za żywy wzór wszelkich cnót; zrobił karierę, dokonując rzezi zgodnie z wszystkimi regułami, i założył miasto Megalopolis. Kiedy leżał umierający, ktoś z

obecnych uzalił się nad wodzem, który nie zostawił po sobie potomstwa. Ów zaś odparł: „Zostawiam dwoje dzieci, Leuktry i Mautyneję” — miejsca jego najślawniejszych zwycięstw. Flauhert mógłby złożyć podobne wyznanie: „Zostawiam dwoje dzieci, Bouvarda i Pécucheta” — gdyż jedyne jego dziecko, siostrzenica, która stała się dla niego córką, odeszła w dezaprobującą dorosłość. Dla niej i jej męża stał się „Żarłokiem”.

Gustaw dawał Karolinie lekcje z zakresu literatury. Oto, co ona mówi na ten temat: „Uważał, że żadna dobrze napisana książka nie może być niebezpieczna”. Przenieśmy się w czasie siedemdziesiąt lat do przodu, do innego domu i do innej części Francji. Mamy przed sobą chłopca, który jest mołem książkowym, matkę oraz przyjaciółkę matki, niejaką Mme Picard. Chłopiec napisał później wspomnienia; i znowu cytat: „Mnie Picard uważała, że trzeba dziecku pozwolić czytać, co zechce. «Żadna dobrze napisana książka nie może być niebezpieczna»”. Chłopiec, znając często wyrażany pogląd Mme Picard, z rozmysłem wykorzystuje jej obecność i prosi matkę, by pozwoliła mu przeczytać pewną głośną powieść. „Ależ jeśli mój ukochany synek będzie w tym wieku czytał takie książki — odparła matka — co będzie robił, kiedy dorośnie?” „Przeżyję je!” — brzmi riposta. Była to jedna z jego najbardziej błyskotliwych odpowiedzi w dzieciństwie; przeszła do historii rodzinnej i zapewniła mu — tak w każdym razie daje się nam do zrozumienia — lekturę powieści. Chłopcem był Jean-Paul Sartre. Książką — *Pani Bovary*.

Czy świat czyni postępy? Czy też wędruje tam i z powrotem niby prom? Na godzinę przed wybrzeżem angielskim znika bezchmurne niebo. Eskorta z chmur i deszczu przypomina ci, gdzie jest twoje miejsce. Kiedy pogoda się zmienia, statkiem zaczyna trochę kołysać i stoły w barze podejmują swoją metaliczną konwersację. Rattarattarattaratta fattafattafattafatta. Wołanie i odpowiedź, wołanie i odpowiedź. Otóż brzmi to dla mnie jak końcowy etap małżeństwa: dwie osobne strony, przytwierdzone każda do swojego fragmentu podłogi, prowadzące rutynowe pogawędki, kiedy zaczyna padać deszcz. Moja żona... Nie teraz, nie teraz.

Pécuchet w okresie swoich studiów geologicznych spekuluje, co też stałoby się, gdyby nastąpiło trzęsienie ziemi pod Kanałem La Manche. Woda — dochodzi do wniosku — runęłaby do Atlantyku; wybrzeża Anglii i Francji zachwiałyby się, przesunęły i połączyły; Kanał przestałby istnieć. Słyszając przewidywania swojego przyjaciela, Bouvard ucieka, przerażony. Jeśli o mnie chodzi, nie sądzę, byśmy musieli być tak pesymistycznie nastawieni.

Nie zapomni pani o serze, prawda? Proszę nie robić ze swojej lodówki zakładów chemicznych. Nie zapytałem, czy jest pani mężatką. Winszuję albo nie, zależnie od sytuacji.

Myślę, że tym razem rzeczywiście przejadę przez czerwoną bramkę. Czuję potrzebę towarzystwa. Wielebny Musgrave był zdania, że francuscy douaniers zachowują się jak dżentelmeni, podczas gdy angielscy urzędnicy celni są prostakami. Ale ja uważam, że są całkiem sympatyczni, jeśli właściwie się ich traktuje.

8. PRZEWODNIK DO FLAUBERTA DLA KOLEKCJONERÓW LOKOMOTYW

1. Dom w Croisset — podłużna, biała osiemnastowieczna posiadłość nad Sekwaną — był dla Flauberta wprost doskonały. Stał samotnie i jednocześnie blisko Rouen, a tym samym Paryża. Wystarczająco obszerny, aby pisarz mógł w nim mieć wielki gabinet o pięciu oknach, a jednocześnie na tyle mały, by zniechęcać odwiedzających, nie posuwając się do jawnej nieuprzejmości. Dawał mu także, jeśli tylko tego zapragnął, możliwość dyskretnej obserwacji życia na zewnątrz: z tarasu mógł skierować teatralną lornetkę ku statkom wycieczkowym zabierającym ludzi na niedzielne śniadania w La Bouille. Ze swej strony, wycieczkowicze przyzwyczaili się do cet original de Monsieur Flaubert i byli rozczarowani, jeśli go nie dostrzegali — patrzącego na nich okiem powieściopisarza, ubranego w nubijską koszulę i jedwabną mykę.

Karolina opisała spokojne wieczory swojego dzieciństwa w Croisset. Stanowili szczególną ménage: dziewczynka, stryj, babka — po jednym przedstawicielu z każdej generacji, niby w którymś z tych ściśniętych domów, jakie czasami widzimy, z jednym pokojem na każdym piętrze. (Francuzi nazywają taki dom un bâton de perroquet, żerdka dla papugi.) Cała trójka — wspominała Karolina — często zasiadała na balkonie małego pawilonu i patrzyła, jak ufnie nadciąga noc. Na przeciwległym brzegu ledwie rozróżniali sylwetkę konia ciągnącego wóz po ścieżce flisackiej; z bliższego ledwie słyszeli ostrożny plusk, kiedy rybak łowiący węgorze rozbierał się i zsuwał w nurt rzeki.

Dlaczego doktor Flaubert sprzedał posiadłość w Déville, a kupił ten właśnie dom? Tradycyjnie przyjmuje się, że po to, by zapewnić dach nad głową ułomnemu synowi, który niedawno przeszedł pierwszy atak epilepsji. Ale posiadłość w Déville byłaby sprzedana tak czy inaczej. Linia kolejowa Paryż-Rouen została przedłużona do Le Havre i tory przechodziły prosto przez grunty doktora Flauberta; część ich miała być przymusowo wykupiona. Można powiedzieć, że Gustaw został umieszczony w swoim twórczym ustroniu w Croisset wskutek epilepsji.

Można również powiedzieć, że znalazł się tam za sprawą linii kolejowej.

2. Gustaw należał do pierwszej kolejowej generacji we Francji; i nie cierpiał tego wynalazku. Po pierwsze był to obmierzły środek komunikacji. „Pociąg tak mi już bokiem wychodzi, że po pięciu minutach wyję z nudów. Pasażerowie myślą, że to porzucony pies; wcale nie, to wzdycha pan Flaubert.” Po wtóre spowodował nowe zjawisko przy kolacyjnym stole: nudę kolejową. Rozmowy na ten temat wywoływały u Flauberta *colique des wagons*; w czerwcu 1843 r. oświadczył, że kolej żelazna to trzeci spośród najnudniejszych tematów, jakie można sobie wyobrazić, po *Mme Lafarge* (trucicielka używająca arszeniku) i śmierci księcia Orleańskiego (zabitego w swoim powozie poprzedniego roku). Luiza Colet, zabiegając o nowoczesność w swoim wierszu „*La Paysanne*”, kazała Jeanowi, żołnierzowi wracającemu z wojen i poszukującemu swojej Jeanneton, zauważyć ciągnącą się smugę dymu z pociągu. Flaubert wykreślił tę linijkę. „Jean gwizdże sobie na to — burknął — i ja też.”

Ale nie odczuwał bynajmniej nienawiści do kolei samej w sobie; nienawidził sposobu, w jaki pochlebia ona ludziom, dając iluzję postępu. Co przyjdzie z postępu naukowego bez postępu moralnego? Kolej po prostu pozwoli większej liczbie ludzi zmieniać miejsce pobytu, spotykać się i być głupcami w gromadzie. W jednym z wcześniejszych listów, napisanym, kiedy miał piętnaście lat, wyliczył zbrodnie nowoczesnej cywilizacji: „Koleje, trucizny, lewatywy, placek z kremem, monarchia i gilotyna”. Dwa lata później, w szkicu o *Rabelais*, lista wrogów uległa zmianie — całkowicie, poza pierwszą pozycją: „Koleje, fabryki, chemicy i matematycy”. Nigdy się nie zmienił.

3. „Wyższa nad wszystko jest Sztuka. Tom wierszy to coś lepszego niż kolej żelazna.”

Notatnik intymny, 1840 r.

4. Rola kolei w romansie Flauberta z Luizą Colet pozostaje, według mojej oceny, raczej nie doceniona. Rozważmy mechanikę ich związku. Ona mieszkała w Paryżu, on w Croisset; on nie przyjeżdżał do stolicy, jej nie wolno było odwiedzać go na wsi. Tak więc spotykali się mniej więcej w połowie drogi, w Mantes, gdzie w *Hôtel du Grand Cerf* mogli pozwolić sobie na noc albo dwie niesamowitej ekstazy i fałszywych obietnic. Potem ustalił się następujący cykl: Luiza nalegała na szybkie spotkanie, Gustaw odmawiał; Luiza błagała, złościła się, groziła; Gustaw niechętnie poddawał się i umawiał się na *rendez-vous*.

Spotkanie trwało tylko na tyle długo, by nasycić jego żądze i na nowo rozpłomić jej oczekiwania. I tak trwał wśród wzajemnych wyrzutów ten bieg trzynożny. Czy Gustaw kiedykolwiek zastanawiał się nad losem tego, który znacznie wcześniej odwiedził to miasto? Właśnie podczas zdobywania Mantes Wilhelm Zdobywca spadł z konia i otrzymał ranę, od której później umarł w Rouen.

Linie kolejową Paryż-Rouen — zbudowaną przez Anglików — otwarto 9 maja 1843 r., ledwie trzy lata przed zawiązaniem się znajomości między Gustawem i Luizą. Dla każdego z nich podróż do Mantes uległa skróceniu z całodziennej do parogodzinnej. Wyobraźmy sobie, co by było bez kolei. Podróżowałiby dyliżansem albo parowcem; byłiby zmęczeni i może zirytowani w chwili spotkania. Zmęczenie osłabia pożądanie. Z drugiej strony, wobec tych wszystkich trudności mielibyśmy prawo oczekiwać po takiej okazji czegoś więcej, jeśli chodzi o czas — może dodatkowy dzień — i o zaangażowanie uczuciowe. Oczywiście to tylko moja teoria. Skoro jednak telefon uczynił w naszych czasach cudzołóstwo jednocześnie prostszym i trudniejszym (łatwiej wyznaczyć sobie spotkanie, ale łatwiejsza jest również kontrola), podobnie musiało być w ubiegłym wieku z koleją. (Czy ktoś prowadził studia porównawcze nad upowszechnianiem się kolei i szerzeniem się cudzołóstwa? Wyobrażam sobie wiejskich księży grzmiących w kazaniach na diabelski wynalazek i wyszydzanych z tego powodu; ale jeśli takie kazania wygłaszali, mieli rację.) Kolej przyniosła Gustawowi korzyści: mógł pojechać do Mantes i z powrotem bez specjalnego kłopotu; skargi Luizy zaś wydawały się być może rozsądną ceną za tak łatwo dostępną przyjemność. Kolej przyniosła korzyści Luizie: Gustaw nigdy nie był naprawdę daleko, choć tak surowo przemawiał w swoich listach; w następnym liście z pewnością doniesie, że spotkają się znowu, że rozdzielają ich ledwie dwie godziny drogi. I kolej przyniosła także korzyści nam, którzy możemy teraz czytać listy wynikłe z tej długotrwałej miłosnej oscylacji.

5a. Wrzesień 1846: pierwsze spotkanie w Mantes. Kłopot był tylko z matką Gustawa. Nie została dotychczas oficjalnie poinformowana o istnieniu Luizy. Mme Colet musiała wszystkie swoje miłosne listy do Gustawa słać przez Maksyma du Campa, który wypisywał nowy adres na nowej kopercie. Jak zareaguje Mme Flaubert na nagłą nocną nieobecność Gustawa? Co jej powie? Oczywiście jakieś kłamstwo: *Une petite histoire que ma mère a crue* — chełpił się jak próżny sześciolatek, zanim wyruszył do Mantes.

Ale Mme Flaubert nie wierzyła w jego *petite histoire*. Tamtej nocy

spała mniej niż Gustaw i Luiza. Czowała się jakoś nieswojo; może to przez tę niedawną kaskadę listów od Maksyma du Campa. Tak więc następnego dnia udała się na stację w Rouen i kiedy jej syn, nadal w pancerzu buty i seksu, wysiadł z pociągu, czekała już na niego na peronie. „Nie wypowiedziała ani słowa wyrzutu, ale jej twarz była najboleśniejszym wyrzutem, jaki można mi było uczynić.”

Mówi się o smutku wyjazdów; a poczucie winy w chwili powrotu?

5b. Oczywiście Luiza umiała odegrać scenę peronową równie dobrze. Znana była z tego, że ogarnięta zazdrością wdzierała się, kiedy Gustaw jadł kolację z przyjaciółmi. Spodziewała się, że natrafi na rywalkę; ale nie było żadnej rywalki, chyba że uzna się za nią Emmę Bovary. Du Camp wspomina przy jakiejś okazji: „Flaubert wyjeżdżał właśnie z Paryża do Rouen, kiedy wpadła do poczekalni dworcowej i zrobiła scenę tak dramatyczną, że musieli interweniować funkcjonariusze kolei. Flaubert był przybity i błagał o zmiłowanie, ale nie oszczędziła mu niczego”.

6. Mało znany jest fakt, że Flaubert jechał londyńskim metrem. Cytuję wyjątki z jego szkicu dziennika podróży z 1865 r.:

Poniedziałek 26 czerwca (w pociągu z Newhaven). Kilka nijakich stacji z afiszami, zupełnie jak na stacjach pod Paryżem. Przyjazd na Victorię.

Poniedziałek 3 lipca. Kupiłem kolejowy rozkład jazdy.

Piątek 7 lipca. Podziemna kolej — Hornsey. Mrs Farmer...

Na stację Charing Cross po informacje.

Nie raczył dokonać porównania kolei brytyjskich i francuskich. Może szkoda. Nasz przyjaciel, wielebny G.M. Musgrève, schodząc dwanaście lat wcześniej na ląd w Boulogne, był pod wielkim wrażeniem systemu francuskiego: „Urządzenia do przyjmowania, ważenia, znakowania i opłacania bagażu były proste i wyborne. Regularność, dokładność i punktualność bez zarzutu we wszystkich działach. Wielka uprzejmość, wielka wygoda (wygoda we Francji!) sprawiają, że załatwianie czegokolwiek to prawdziwa przyjemność; a wszystko bez tych wrzasków i całego zamętu, z jakim spotykamy się zazwyczaj w Paddington; nie mówiąc już o tym, że wagon drugiej klasy prawie dorównywał naszej pierwszej. Wstyd dla Anglii, że tak to wygląda”.

7. „Koleje żelazne: Gdyby Napoleon miał je do dyspozycji, byłby niezwyciężony. Zawsze wpadaj w uniesienie w związku z tym

wynalazkiem i mów: «Ja, mój panie, który właśnie w tej chwili z panem rozmawiam, nie dalej jak dzisiaj rano przebywałem w X...; wyjechałem pociągiem o godzinie X; załatwiłem, co miałem tu do załatwienia; i o godzinie X byłem z powrotem».”

Dictionnaire des idées reçues

8. Wsiadam do pociągu z Rouen (Rive Droite). Niebieskie plastikowe siedzenia i ostrzeżenie w czterech językach, żeby nie wychylać się przez okno; zauważyłem, że angielski wymaga większej liczby słów niż francuski, niemiecki lub włoski, by udzielić tej rady. Usiadłem pod fotografią w metalowej ramce (czarno-białą), przedstawiającą łodzie rybackie na Ile d'Oléron. Siedzące obok mnie starsze małżeństwo czytało w „Paris-Normandie” opowieść o pewnym masarzu, fou d'amour, który zabił siedmioosobową rodzinę. Na oknie znajdowała się mała plakietka, której poprzednio nie zauważyłem: „Ne jetez pas l'énergie par les fenêtres en les ouvrant en période de chauffage”. Nie wyrzucać energii za okno — jakże nieangielskie zdanie: logiczne, a jednocześnie pełne fantazji.

Jak widać, nie brakowało mi spostrzegawczości. Bilet w jedną stronę kosztuje 35 franków. Podróż trwa godzinę bez mniej więcej minuty: połowę tego, co w czasach Flauberta. Pierwszy przystanek w Oissel; potem Le Vaudreuil — ville nouvelle; Gaillon (Aubevoye) z domem towarowym Grand Marnier. Musgrave sugerował, że krajobraz wzdłuż tego odcinka Sekwany przypomina mu Norfolk: „Podobniejszy do krajobrazu angielskiego niż jakikolwiek inny obszar, który widziałem w Europie”. Kontroler stuka we framugę drzwi szczypcami do kasowania biletów: metal o metal, temu rozkazowi niepodobna się sprzeciwić. Vernon; potem rozlana szeroko po lewej stronie Sekwana towarzyszy ci aż do Mantes.

Budynek wznosił się pod numerem 6 przy place de la République. Kwadratowy blok mieszkalny był na ukończeniu; pysznił się już ufną niewinnością uzurpatora. Grand Cerf? Tak, rzeczywiście — powiedzieli mi w trafice — stary dom stał jeszcze jakiś rok temu. Wróciłem, żeby ponownie rzucić okiem. O hotelu przypominały już tylko dwa wysokie kamienne słupy bramy szerokiej może na trzydzieści stóp. Wpatrywałem się w nie z poczuciem bezradności. W pociągu nie potrafiłem wyobrazić sobie Flauberta (skowytał jak wrywający się niecierpliwie pies? warczał? płakał?) odbywającego tę samą podróż; teraz, w tym punkcie pielgrzymki, kamienne słupy nijak nie ułatwiały mi cofnięcia się myślą do namiętnych spotkań Gustawa i Luizy. Bo i czemu miałyby ułatwiać? To impertynencja z naszej strony — liczyć w taki sposób na przeszłość,

że dostarczy nam jakiegoś przekonującego frisson. Czemuż miałyby przystąpić do naszej gry?

Rozeźlony, obszedłem kościół (jedna gwiazdka u Michelina), kupiłem gazetę, wypilem filiżankę kawy, przeczytałem o masarzu fou d'amour i postanowiłem wrócić najbliższym pociągiem. Ulica wiodąca do dworca nazywała się avenue Franklin Roosevelt, chociaż rzeczywistość zgoła nie dorównuje nazwie. Pięćdziesiąt jardów od końca, po lewej stronie, natknąłem się na café-restaurant. Nazywała się Le Perroquet. Na chodniku przed wejściem wykrojona z deski papuga o jaskrawozielonym upierzeniu trzyma w dziobie menu obiadowe. Budynek oszalowano deskami pomalowanymi na jasny kolor, co zawsze sprawia, że domy robią wrażenie starszych, niż są w rzeczywistości. Nie wiem, czy ten stał już w czasach Flauberta. Ale wiem co innego: przeszłość może być niekiedy nasmarowanym tłuszczem wieprzkiem; niekiedy niedźwiedziem w jamie; kiedy indziej znów — zaledwie błyskiem oświetlającym papugę, parą szyderczych oczu iskrzących się w twoją stronę z puszczy.

9. Pociągi odgrywają znikomą rolę w powieściach Flauberta. Świadczy to jednak o trzymaniu się rzeczywistości, nie zaś o uprzedzeniu: większość jego dzieła powstała, zanim angielscy robotnicy i inżynierowie pojawili się w Normandii. *Bouvard i Pécuchet* zahacza już o wiek kolei, ale żaden z zawziętych kopistów, co może jest zaskakujące, nie formułuje publicznie poglądu na nowy sposób komunikacji.

Pociągi pojawiają się tylko w *Szkole uczuć*. Po raz pierwszy wspomina się o nich jako o niezbyt pasjonującym temacie konwersacji podczas soirée wydanego przez Dambreuse'ów. Pierwszy rzeczywisty pociąg i pierwsza rzeczywista podróż pojawia się w części drugiej, w rozdziale trzecim, kiedy Fryderyk udaje się do Creil w nadziei, że uwiedzie Mme Arnoux. Uwzględniając dobroduszną niecierpliwość swojego podróżnika, Flaubert przepaja ekskursję aprobującym liryzmem: zielone równiny, perony przemykające niby dekoracje teatralne, skłębiony dym parowozu tańczący przez chwilę na trawie, zanim się rozproszy. W powieści jest wiele innych podróży koleją i pasażerowie robią wrażenie całkiem zadowolonych; w każdym razie żaden z nich nie ziewa z nudów jak pozostawiony samemu sobie pies. I chociaż Flaubert okazał napastliwość, usuwając z „La Paysanne” Mme Colet linijkę o dymie przesuwanym się na horyzoncie, nie wykluczył go z własnej krainy (część trzecia, rozdział czwarty): „Dym z parowozu snuł się poziomo u stóp okrytych zielenią wzgórz niby olbrzymie strusie pióro, którego zwiewny koniec ulatuje gdzieś wdał”.

Tylko w jednym miejscu możemy wykryć jego osobisty pogląd na sprawę. Pellerin, artysta wśród towarzyszy Fryderyka, człowiek specjalizujący się w dopracowanych teoriach i nie dopracowanych szkicach, prezentuje jedno ze swoich nielicznych ukończonych dzieł malarskich. Flaubert pozwala sobie na osobisty uśmiech: „Przedstawiało Republikę albo Postęp, albo Cywilizację, symbolizowaną przez Jezusa Chrystusa jako maszynistę parowozu pędzącego przez dziewiczą puszcę”.

10. Przedostatnie zdanie, jakie wypowiedział w swoim życiu Gustaw, kiedy zakręciło mu się w głowie, ale był jeszcze całkiem spokojny: „Zdaje się, że za chwilę stracę przytomność. Dobrze, że to dzisiaj; jutro, w pociągu, byłby kłopot”.

11. Na buforze. Croisset dzisiaj. Na miejscu domu Flauberta huczy wielka papiernia. Wszedłem; byli uszczęśliwieni, że mogą mi ją pokazać. Patrzyłem na tłoki, parę, kadzie i pochyłe korytka: tyle wilgoci, żeby wyprodukować coś tak suchego, jak papier. Zapytałem moją przewodniczkę, czy wytwarzają ten rodzaj papieru, z którego robi się książki; odparła, że wytwarzają wszystkie rodzaje papieru. Uświadomiłem sobie, że tej wizycie nie towarzyszy żadna sentymentalna aura. Nad naszymi głowami przenośnik przesuwiał powoli ogromny bęben papieru, jakieś dwadzieścia stóp w przekroju. Robił wrażenie nieproporcjonalnego w stosunku do otoczenia, jak rzeźba w stylu pop wykonana na rozmyślnie prowokującą skalę. Zauważyłem, że przypomina gigantyczną rolkę papieru toaletowego; moja przewodniczka potwierdziła, że tym właśnie w istocie jest.

Na zewnątrz huczacej fabryki było niewiele spokojniej. Ciężarówki torturowały drogę, która niegdyś była ścieżką flisaków; po obu stronach rzeki waliły kafary; żadna łódź nie przepłynęła bez wycia syreną. Flaubert utrzymywał, że dom w Croisset odwiedził kiedyś Pascal; a miejscowa legenda z uporem głosiła, że Abbé Prévost napisał tam *Historię Manon Lescaut i kawalera des Grieux*. Dzisiaj nikt już nie powtarza takich zmyśleń; ani też nikt w nie nie wierzy.

Padał posępny normandzki deszcz. Pomyślałem o sylwetce konia na przeciwległym brzegu i spokojnym pluśnięciu, kiedy rybak łowiący węgorze zarzucał sieć. Może chociaż węgorze żyją w tym smutnym kanale przemysłowym? Jeśli tu są, zapewne mają smak oleju napędowego i detergentów. Moje spojrzenie powędrowało w górę rzeki i nagle go spostrzegłem; był przysadzisty i rozdygotany. Pociąg. Już poprzednio zauważyłem tory, linię ułożoną między szosą a rzeką; deszcz

sprawił, że były teraz połyskujące i jakby głupio uśmiechnięte. Pomyślałem machinalnie, że służą do przemieszczania portowych dźwigów. Ale nie; nie oszczędzono mu nawet tego. Pociąg towarowy zatrzymano jakieś dwieście jardów stąd i stał gotów do przejazdu za pawilonem Flauberta. Pewnie zagwiżdże urągliwie, kiedy tam dotrze; może przewozi truciznę, gruszki do lewatywy i placki z bitą śmietaną albo zaopatrzenie dla chemików i matematyków. Nie chciałem na to patrzeć (ironia może być niezgrabna i zarazem bezlitosna). Wsiadłem do samochodu i odjechałem.

9. FLAUBERTOWSKIE APOKRYFY

Nie chodzi o to, co zbudowali, lecz o to, co zburzyli. Nie chodzi o domy, lecz o przestrzeń między domami. Nie chodzi o ulice istniejące, lecz o ulice, których już nie ma.

Ale chodzi również o to, czego nie zbudowali. Chodzi o domy, które sobie wymarzyli i naszkicowali. Chodzi o chropawe bulwary wyobraźni; chodzi o tę nie przebytą, beztrosko wijącą się drożynę między chatami okrytymi strzechą; chodzi o ślepą uliczkę trompe-l'oeil, która zwodniczo wmawia ci, że wkraczasz w szykowną aleję.

Czy książki nie napisane mają jakiegokolwiek znaczenie? Łatwo o nich zapomnieć, przyjąć, że apokryficzna bibliografia nie może zawierać nic poza poronionymi pomysłami, słusznie porzuconymi planami, żenująco nie przemyślanymi spostrzeżeniami, które ni z tego, ni z owego wpadają do głowy. Nie musi tak być: pierwsza myśl jest często najlepsza i trzecia triumfalnie ją rehabilituje, po tym jak druga ledwie obrzuciła kwaśnym spojrzeniem. Zresztą, nie zawsze odsuwa się pomysł dlatego, że nie przeszedł kontrolnego testu na jakość. Wyobraźnia nie plonuje corocznie niby niezawodne drzewo owocowe. Pisarz musi gromadzić wszystko, co mu się nawinie pod rękę: czasem za dużo, czasem za mało, czasem w ogóle nic. A w latach obfitości na chłodnym i mrocznym strychu, który stremowany pisarz od czasu do czasu odwiedza, zawsze czeka na niego drewniana tacka; i pomyśleć że podczas gdy ciężko tyrał na dole, tu, na strychu, są pomarszczone łupiny, znaki ostrzegawcze, nagła brunatna zapaść i rozkwitające płatki śnieżne. Cóż może z tym począć?

Jeśli chodzi o Flauberta, apokryfy rzucają drugi cień. O ile najmilszym momentem w życiu jest nieudana wizyta w burdelu, to być może najmilszym momentem w karierze pisarskiej jest ten, kiedy pojawia się pomysł książki, która wcale nie musi zostać napisana, której nie zbruka się nadaniem jej ostatecznego kształtu, której nie trzeba

wystawiać na spojrzenia mniej rozkochane niż spojrzenie autora.

Oczywiście, nawet dzieła opublikowane nie są niezmiennie: mogłyby dzisiaj prezentować się inaczej, gdyby Flaubert miał dość czasu i pieniędzy, by uporządkować swój literacki dorobek. Skończyłby *Bouvarda i Pécucheta*; wycofałby z obiegu *Panią Bovary* (w jakim stopniu na serio bierzemy drażliwość Gustawa wobec przemożnej sławy tej książki? w niezbyt dużym). Natomiast *Szkoła uczuć* otrzymałaby inne zakończenie. Du Camp odnotował, że jego przyjaciel był zde gustowany historycznym pechem, jaki spotkał tę książkę: w rok po publikacji przyszła wojna francusko-pruska i Gustaw uznał, iż wskutek inwazji i débâcle pod Sedanem powieść pomyślana jako obraz moralnej klęski pokolenia zyskałaby wielką, powszechną i niepodważalną pointę.

„Wyobraź sobie — przytacza Du Camp jego słowa — jaki kapitał można by zbić na niektórych wydarzeniach. Tutaj na przykład mamy wydarzenie doskonałe, jeśli chodzi o rangę. Podpisano kapitulację, armia w niewoli, cesarz, wciśnięty w kąt wielkiej karety, jest przybity i patrzy tępo przed siebie, pali papierosa, żeby dodać sobie kontenansu, i chociaż miotają nim burze, stara się pokazać, że pozostał niewzruszony. Obok niego aides-de-camp i pruski generał. Wszyscy milczą, wszyscy spuścili wzrok; we wszystkich sercach ból.

Na skrzyżowaniu dróg muszą się zatrzymać, gdyż przechodzi kolumna jeńców pod strażą ułanów w czapach na bakier, którzy posuwają się konno z nachylonymi lancami. Powóz trzeba zatrzymać na skraju ludzkiej rzeki, która przepływa w obłoku kurzu, podświetlona czerwienią przez promienie słońca. Ludzie powłóczą nogami, zgarbieni. Cesarz ogarnia tłum tęsknym spojrzeniem. Cóż za dziwny przegląd wojska. Przypominają mu się dawniejsze przeglądy: bicie w bębny, łopoczące sztandary, generałowie ze złotymi galonami, salutujący mu szpadami, i okrzyk gwardii: «Vive l'Empereur!»

Jeden z jeńców rozpoznaje go i saltuje, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden.

Wtem jakiś żuaw wybiega z szeregu, potrząsa pięścią i krzyczy: «A, jesteś, łotrze! To ty nas do tego doprowadziłeś!»

I wtedy dziesięć tysięcy mężczyzn zaczyna wykrzykiwać obelgi; wymachując groźnie rękami i plując na powóz, przechodzą niby huragan przekleństw. Cesarz nadal pozostaje niewzruszony, nic po sobie nie pokazuje, nie wypowiada ani słowa, ale myśli: «Oto ludzie, których nazywano niegdyś moją strażą pretoriańską!»

No i co myślisz o tego rodzaju sytuacji? Mocne, prawda? Czyż nie byłoby to wstrząsające zakończenie dla mojej *Szkoły uczuć*? Nie mogę odżałować, że mi to przeszło koło nosa.”

Czy powinniśmy ubolewać, że straciliśmy takie zakończenie? I co o nim sądzimy? Du Camp prawdopodobnie spospolitował je w swojej relacji i z pewnością Flaubert dokonałby wielu przeróbek, zanim rzecz ukazałaby się w druku. Nie ulega wątpliwości, że jest kuszące; punkt kulminacyjny fortissimo, ogólnospołeczna pointa do intymnej klęski narodu. Czy jednak książka potrzebuje takiego zakończenia? Mieliśmy rok 1848, czy potrzebujemy jeszcze 1870? Lepiej niech powieść gaśnie w rozczarowaniu; lepsze ponure wspominki dwóch przyjaciół niż burzliwy obraz salonowy.

Jeśli chodzi o apokryfy w ścisłym tego słowa znaczeniu, zabierzmy się do rzeczy systematycznie.

1. *Autobiografia.* „Jeśli kiedyś napiszę wspomnienia — a jest to jedyna rzecz, którą napisałbym dobrze, gdybym tylko się do tego zabrał — znajdzie się w nich miejsce dla Ciebie, i to jakie miejsce! Gdyż dokonałaś wielkiego wyłomu w moim życiu.” Gustaw napisał te słowa w jednym z najwcześniejszych listów do Luizy Colet; i przez cały siedmioletni okres (1846-53) napomyka od czasu do czasu, że zamierza podjąć pracę nad autobiografią. Potem zawiadamia oficjalnie o decyzji wycofania się z tych planów. Ale czy cała sprawa wyszła w ogóle kiedykolwiek poza projekt projektu? „Opiszę cię w moich wspomnieniach” to jeden z najporęczniejszych frazesów w historii umizgów literackich. Można to kontynuować: „Zagrasz u mnie w filmie”, „mógłbym uwiecznić cię na płótnie”, „już widzę zarys twojej szyi w marmurze” itd., itd.

2. *Tłumaczenia.* Raczej zagubione prace niż apokryfy w ścisłym tego słowa znaczeniu; ale możemy odnotować w tym miejscu: a) dokonany przez Juliet Herbert przekład *Pani Bovary*, przejrzany przez autora i uznany przez niego za „arcydzieło”; b) przekład wspomniany w liście z 1844 r.: „Przeczytałem *Kandyda* dwadzieścia razy, przełożyłem go na angielski...” Nie wygląda to na szkolne ćwiczenie; bardziej na narzuconą sobie wprawkę. Sądząc po błędach, jakie Gustaw popełniał w listach pisanych po angielsku, przekład zapewne nałożył warstwę nie zamierzonego komizmu na intencje oryginału. Flaubert nie był nawet w stanie przepisać akuracie angielskich nazw geograficznych: w 1866 r. robiąc notatki o „barwnych kaflach od Mintony” w South Kensington Museum, zmienia Stoke-upon-Trent na „Stroke-upon-Trend”.

3. *Literatura piękna.* Ten dział apokryfów zawiera liczne juvenilia, użyteczne głównie dla psychobiografa. Ale książki, których pisarz nie

napisał w latach młodości, różnią się od tych, których nie napisał po ogłoszeniu, że jest zawodowym pisarzem. Za te ostatnie nie-książki musi ponosić odpowiedzialność.

Przebywając w 1850 r. w Egipcie, Flaubert przez dwa dni rozważa historię Mycerinusa, pobożnego króla z czwartej dynastii, któremu przypisuje się otwarcie na nowo świątyń zamkniętych przez jego poprzedników. Jednak w liście do Bouilheta charakteryzuje swojego bohatera w sposób bardziej bezceremonialny jako „króla, który pieprzył swoją córkę”. Być może zainteresowanie Flauberta pobudziło odkrycie (lub raczej wspomnienie o odkryciu), że w 1837 r. sarkofag królewski został wykopany przez Brytyjczyków i przetransportowany statkiem do Londynu. Gustaw mógł go sobie obejrzeć, kiedy zwiedzał British Museum w 1851 r.

Pewnego razu też chciałem rzucić nań okiem. Sarkofag, jak mi wyjaśniono, nie należy do najbardziej interesujących eksponatów muzealnych i nie był wystawiany od 1904 r. W momencie, kiedy go sprowadzano, sądzono, że pochodzi z okresu czwartej dynastii, ale później okazało się, że należał do dwudziestej szóstej dynastii: szczątki zmumifikowanego ciała wewnątrz z takim samym prawdopodobieństwem mogły należeć do Mycerinusa, jak do kogoś innego. Poczuję rozczarowanie, ale także ulgę: co stałoby się, gdyby Flaubert wytrwał w swoim zamiarze i włączył na dodatek drobiazgowo opracowany opis królewskiego grobu? Doktor Enid Starkie zyskałaby szansę wytknięcia kolejnej pomyłki literackiej.

(Być może powinienem poświęcić doktor Starkie hasło w moim kieszonkowym przewodniku do Flauberta; a może okazałbym tym samym niepotrzebną mściwość? S jak Sade czy S jak Starkie? Przy okazji: „Słownik obiegowych wyobrażeń Braithwaite’a” prezentuje się już całkiem dobrze. Musisz wiedzieć o Flaubercie tyle tylko, ile każdy inny człowiek! Jeszcze tylko parę haseł i koniec. Zdaję sobie sprawę, że będą trudności z literą X. W słowniku samego Flauberta pod X nie ma żadnego hasła.)

W 1850 r. Flaubert donosi z Konstantynopola o trzech zamierzeniach: „Une nuit de Don Juan” (dochodzi do etapu planowania); „Anubis”, historia „niewiasty, która chce być pieprzona przez boga”; oraz „Moja flamandzka powieść o dziewczynie, która umiera jako dziewica i mistyczka... w małym prowincjonalnym mieście, w głębi ogrodu, w którym rośnie kapusta i sitowie...” Gustaw skarży się w swoim liście Bouilhetowi na niebezpieczeństwa, jakie tkwią w zbyt starannym planowaniu zamierzonego dzieła: „Wydaje mi się, że jeśli tak starannie przeprowadza się sekcję swoich nie narodzonych jeszcze dzieci, można

nie doznać wzwodu i wcale ich nie spłodzić”. W tym przypadku Gustaw zawiódł jako mężczyzna; aczkolwiek niektórzy dopatrują się w tym trzecim zamierzeniu niejasnej zapowiedzi *Pani Bovary* albo *Prostoty serca*.

W latach 1852-3 Gustaw snuje poważne plany związane z „La Spirale”, „wielką, metafizyczną, fantastyczną i pełną zgiełku powieścią”, której bohater prowadzi typowo Flaubertowskie podwójne życie, gdyż przeżywa szczęście w swoich marzeniach, a jest nieszczęśliwy w życiu realnym. Oczywista pointa: szczęście istnieje tylko w wyobraźni.

W 1853 r. wskrzeszone zostało „jedno z moich starych marzeń”: powieść rycerska. Chociaż mamy już Ariosta, taka powieść jest nadal możliwa do napisania — oświadcza Gustaw; dodatkowe elementy, jakie wniesie do tematu, to „przerażenie i poezja o szerszym oddechu”.

W 1861 r.: „Długo medytowałem nad powieścią o szaleństwie albo raczej nad tym, w jaki sposób człowiek doznaje obłądzenia”. W tym czasie, a może odrobinę później, zastanawiał się również, jak twierdzi Du Camp, nad powieścią o teatrze; miał zwyczaj przesiadywać za kulisami i notować zwierzenia nazbyt wylewnych aktorek. „Tylko Mędrzec w *Przypadkach Idziego Blasa* dotknął prawdy. Ja odsłonię ją w całej jej nagości, gdyż trudno sobie wyobrazić, jakie to komiczne.”

W tym okresie Flaubert musiał już wiedzieć, że każda powieść o pełnej objętości zabierze mu prawdopodobnie pięć do siedmiu lat; a tym samym, że większość jego ubocznych acz palących zamysłów spali na panewce. Z ostatnich dwunastu lat życia pochodzą cztery główne pomysły, plus intrygujący piąty, coś w rodzaju roman trouvé.

a. „Harel-Bey”, opowieść ze Wschodu. „Gdybym był młodszy i miał pieniądze, pojechałbym znowu na Wschód — by studiować nowoczesny Wschód, Wschód Kanału Sueskiego. Obszerna książka na ten temat to moje stare marzenie. Chciałbym pokazać, jak cywilizowany człowiek staje się barbarzyńcą, a barbarzyńca — cywilizowanym człowiekiem; by w ten sposób ukazać kontrast między dwoma światami, które w końcu zlewają się ze sobą... Ale już za późno.”

b. Książka o bitwie pod Termopilami, którą zamierzał napisać po skończeniu *Bouvarda i Pécucheta*.

c. Powieść przedstawiająca kilka pokoleń rodziny roueńskiej.

d. Jeśli przetniesz dżdżownicę na dwie części, z głowy wyrośnie jej nowy ogon; a co jeszcze bardziej zaskakujące, z ogona wyrośnie nowa głowa. Tak właśnie zdarzyło się z chybionym zakończeniem do *Szkoły uczuć*: powstała cała opowieść zatytułowana najpierw „Za Napoleona III”, a później „Paryski dwór”. „Napiszę powieść o cesarstwie

(relacjonuje jego słowa Du Camp) i umieszczę w niej wieczorne przyjęcia w Compiègne z wszystkimi ambasadorami, marszałkami i senatorami, którym brzęczą medale, kiedy pochylają się do ziemi, żeby ucałować dłoń księcia cesarstwa. O tak! Ten okres dostarczy materiału na wybitne książki.”

e. Roman trouvé został zainspirowany przez Charlesa Lapierre’a, wydawcę „Le Nouvelliste de Rouen”. Jedząc pewnego wieczoru kolację w Croisset, Lapierre opowiedział Flaubertowi skandaliczną historię o Mademoiselle de P. Pochodziła z normandzkiej szlachty, miała koneksje z dworem i została wyznaczona na lektorkę przy cesarzowej Eugenii. Jej uroda — powiadano — mogłaby doprowadzić świętego do upadku. Z pewnością wystarczyła, żeby doprowadzić do upadku ją: jawny związek z oficerem gwardii cesarskiej spowodował oddalenie z dworu. W następstwie tego została jedną z królowych francuskiego półświatka, panującą w latach 1860-tych nad bardziej podejrzaną wersją dworu, z którego ją usunięto. Podczas francusko-pruskiej wojny zniknęła z oczu (wraz z resztą swoich koleżanek), a następnie jej gwiazda zgasła. Według jednomyślnych świadectw spadła do najniższych pięt nierządu. A jednak, co wygląda bardzo zachęcająco zarówno dla celów literackich, jak i dla niej samej, potrafiła podnieść się raz jeszcze: została oficjalną kochanką oficera kawalerii, a kiedy umierała, była już legalną żoną pewnego admirała.

Flaubert był zachwycony tą historią: „Czy wie pan, Lapierre, że podsunął mi pan temat do powieści, przeciw wagę mojej *Bovary*? Dał mi pan *Bovary* z wyższych sfer. Co za pociągająca postać!” Od razu zapisał opowieść i zaczął sporządzać notatki. Ale książka nie została napisana, a notatek nigdy nie odnaleziono.

Wszystkie te nie napisane książki są czymś dręczącym. A jednak można je do pewnego stopnia dopełnić, uporządkować, wymyślić na nowo. Można je studiować na akademiach. Molo to rozczarowany most; jeśli jednak patrzeć na nie dostatecznie długo, można sobie zamarzyć, że sięga na drugą stronę Kanału. To samo odnosi się do tych kikutów książek.

Ale co z nie przeczytymi życiorysami? Chyba wywołują jeszcze większą i prawdziwszą udrękę: to rzeczywiste apokryfy. „Termopile” zamiast *Bouvarda i Pécucheta*? Cóż, książka jest książką. Gdyby jednak sam Gustaw zmienił drogę życiową? W końcu łatwo jest nie zostać pisarzem. Większość ludzi nie jest pisarzami i niewielką szkodę ponoszą z tego tytułu. Frenolog — wyrokujący w dziewiętnastym wieku o szansach Sukcesu i powodzenia — zbadał raz Flauberta i oznajmił mu, że jest stworzony na poskramiacza dzikich zwierząt. To wcale nie takie

głupie. Zacytujmy znowu: „Przyciągam szaleńców i zwierzęta”.

Chodzi nie tylko o to życie, które znamy. Chodzi nie tylko o to życie, które udało się ukryć. Chodzi nie tylko o kłamstwa o życiu, którym przynajmniej w pewnym zakresie musimy już dawać wiarę. Chodzi także o życie, które nie zostało przeżyte.

„Powinienem być królem, czy tylko świnia?” — zapytuje Gustaw w swoim *Notatniku intymnym*. Kiedy ma się dziewiętnaście lat, wygląda to prosto. Jest życie i jest nie-życie; spełnione ambicje życiowe albo plugawe bankructwo. Inni ludzie starają się powiedzieć ci o twojej przyszłości, ale tak naprawdę nigdy im nie wierzysz. „Wiele rzeczy — pisze w tym czasie Gustaw — zostało mi przepowiedzianych: 1) że nauczę się tańczyć; 2) że się ożenię. Zobaczymy — ja w to nie wierzę.”

Nie ożenił się i nie nauczył tańczyć. Był taki oporny, jeśli chodzi o taniec, że większość męskich postaci w jego powieściach solidaryzuje się z nim i także nie chce tańczyć.

Czego nauczył się w to miejsce? Nauczył się, że życie nie polega na wyborze między marszem po trupach do tronu a obsuwaniem się do chlewu; że są świńscy królowie i królewskie wieprze; że król może zazdrościć świni; i że możliwe nie-życia będą ciągle odmieniać się wśród udręk, aby dopasować się do poszczególnych trudności życia przeżywanego.

Mając siedemnaście lat, obwieszcza, że chce spędzić całe życie w podupadłym zamku nad morzem.

Mając osiemnaście lat, dochodzi do wniosku, że jakiś kapryśny wiatr omyłkowo przywiał go do Francji: urodził się — oświadcza — by zostać cesarzem Kochinchiny, palić sześciosążniowe fajki, mieć 6 tysięcy żon i 1400 chłopców; zamiast tego, przemieszczony wskutek owego meteorologicznego kaprysu, żyje z ogromnymi, nienasyconymi żądzami, wśród niepohamowanej nudy i ataków ziewania.

Mając dziewiętnaście lat, myśli, że kiedy skończy studia prawnicze, wyjedzie i zostanie Turkiem w Turcji albo poganiaczem mułów w Hiszpanii, albo poganiaczem wielbłądów w Egipcie.

Mając dwadzieścia lat, nadal chce być poganiaczem mułów, jednak teraz lokalizacja hiszpańska została zawężona do andaluzyjskiej. Inne możliwości zawodowe to na przykład życie lazzarone w Neapolu; chociaż przystałby i na to, żeby zostać woźnicą kursującym na trasie między Nimes a Marsylią. Czy jednak któryś z tych zawodów jest wystarczająco rzadki? Łatwość, z jaką w jego czasach podróżują nawet mieszczyki, naraża na katusze kogoś, kto ma „w duszy Bosfor”.

Mając dwadzieścia cztery lata, tuż po śmierci ojca i siostry, rozważa, co zrobi ze swoim życiem, jeśli umrze również matka: sprzeda wszystko

i osiadzie w Rzymie, Syrakuzach albo Neapolu.

Mając nadal dwadzieścia cztery lata i przedstawiając się Luizie Colet jako facet bezmiernie kapryśny, utrzymuje, że długo i bardzo poważnie myślał o tym, żeby zostać odszczepieńcem w Smyrnie. A już w ostateczności, „pewnego dnia wyjechać i żyć daleko stąd, by nikt już o mnie nie usłyszał”. Być może Luiza jest nieco rozbawiona otomańskim bandytyzmem; gdyż oto pojawiają się bardziej rodzime fantazje. Gdyby tylko był wolny, opuściłby Croisset i zamieszkał z nią w Paryżu. Wyobraża sobie wspólne życie, małżeństwo, słodycz egzystencji wypełnionej wzajemną miłością i przyjaźnią. Wyobraża sobie, że mają dziecko; wyobraża sobie śmierć Luizy i czułość, z jaką sam opiekuje się później pozbawionym matki dzieckiem (nie dysponujemy niestety odpowiedzią Luizy na ten szczególny wyskok fantazji). Egzotyczny pociąg do życia rodzinnego nie trwa jednak zbyt długo. Po miesiącu forma gramatyczna krzepnie: „Wydaje mi się, że gdybym został twoim mężem, bylibyśmy ze sobą szczęśliwi. Potem zaczęlibyśmy się nienawidzić. To normalne”. Oczekuje się od Luizy wdzięczności za to, że dzięki dalekowzroczności Gustawa uniknęła życia, które nie dałoby jej zadowolenia.

Zamiast tego więc, nadal mając dwadzieścia cztery lata, Gustaw zasiada z Du Campem nad mapą i planuje monstrualną wyprawę do Azji. Trwałaby sześć lat i kosztowała według ich własnej przybliżonej oceny trzy miliony sześćset tysięcy franków z okładem.

Mając dwadzieścia pięć lat, chce zostać braminem: mistyczny taniec, długie włosy, twarz ociekająca sakralnym masłem. Oficjalnie rezygnuje z kariery kameduły, bandyty oraz Turka. „Teraz bramin albo nic — co byłoby zresztą prostsze.” Dalej, bądź niczym, pili go życie. Łatwiej być świnią.

Mając dwadzieścia dziewięć lat, czerpie inspirację z Humboldta i pragnie wyjechać, zamieszkać wśród sawanny Ameryki Południowej i żeby nigdy już o nim nie usłyszano.

Mając trzydzieści lat, wpada w zadumę — jak przez całe życie — nad swoimi poprzednimi wcieleniami, nad swoimi apokryficznymi i metempsychotycznymi istnieniami w bardziej interesujących czasach Ludwika XIV, Nerona i Perykiesa. Co do jednej preinkarnacji nie ma wątpliwości: był w pewnym okresie cesarstwa rzymskiego dyrektorem trupy wędrownych komediantów, typem obłudnie przymilnego hultaja, który kupował kobiety na Sycylii i robił z nich aktorki, awanturniczą mieszkanką nauczyciela, raj fura i artysty. (O tym poprzednim życiu przypomniała Gustawowi lektura Plauta: dała mu le frisson historique.) W tym miejscu winniśmy także odnotować apokryficzných przodków

Gustawa: lubił utrzymywać, że w jego żyłach płynie krew indiańska. Wygląda na to, że niekoniecznie tak było; aczkolwiek jeden z jego przodków rzeczywiście wyemigrował do Kanady w siedemnastym wieku i został traperem zastawiającym sidła na bobry.

Mając nadal trzydzieści lat, planuje sobie z pozoru bardziej prawdopodobne życie, które jednak również okazuje się nie-życiem. We dwóch z Bouilhetem wyobrażają sobie siebie jako starców, pacjentów przytułku dla nieuleczalnie chorych: jako starych, którzy zamiatają ulice i gędzą o tych szczęśliwych czasach, kiedy to mieli po trzydzieści lat i pokonywali pieszo drogę do La Roche-Guyon. Wyszydzana starość nie została osiągnięta: Bouilhet umarł w wieku czterdziestu ośmiu lat, Flaubert — pięćdziesięciu ośmiu.

Mając trzydzieści jeden lat, rzuca Luizie uwagę — jako nawias do hipotezy — że jeśli spłodzi kiedyś syna, z przyjemnością będzie mu stręczył kobiety.

Nadal mając trzydzieści jeden lat, donosi Luizie o krótkotrwałej i nietypowej pomyłce: pragnie rzucić literaturę. Przyjedzie i zamieszka z nią, w niej, wciśnie głowę między jej piersi; ma po dziurki w nosie masturbowania swojej głowy, by trysnęły zdania. Ale ta fantazja to także dokuczliwa, wiejąca chłodem kpina: została zrelacjonowana w czasie przeszłym jako coś, co Gustaw wyobrażał sobie przelotnie w chwili słabości. Głowę będzie zawsze umieszczał raczej między swoimi dłońmi niż między piersiami Luizy.

Mając trzydzieści dwa lata, wyznaje Luizie, w jaki sposób spędził wiele godzin życia: wyobrażając sobie, co by zrobił, gdyby miał milion franków dochodu rocznie. W takich marzeniach służba zakładałaby mu wygodne pantofle wysadzone diamentami; nastawiałby ucha na rzenie swoich koni zaprzęgniętych do karety, a tak wspaniałych, że Anglia umarłaby z zazdrości; wydawałby uczyty, na których podawano by wyłącznie ostrygi, i kazał otoczyć swoją jadalnię szpalerami kwitnącego jaśminu, pośród którego pikowałyby zięby o lśniących piórach. Ale marzenie o milionie rocznie było dość tanie. Du Camp relacjonuje plany Gustawa na „Zimę w Paryżu” — fantazję łączącą przepych cesarstwa rzymskiego, wyrafinowanie renesansu i bajkowość tysiąca i jednej nocy. Koszty zimy zostały naprawdę opracowane i doszły do dwunastu miliardów franków „co najwyżej”. Du Camp dodaje także, ogólniej, że Flaubert, „kiedy dostawał się we władzę tych marzeń, prawie zupełnie sztywniał i przypominał jednego z palaczy opium w stanie transu. Wydawało się, że ma głowę w obłokach, że przeżywa złote sny. To przyzwyczajenie sprawiało, że sumienna praca przychodziła mu z trudem”.

Mając trzydzieści pięć lat, ujawnia swoje „osobiste marzenie”: kupić mały palazzo nad Canal Grande. Kilka miesięcy później do nieruchomości w jego głowie dochodzi pawilon nad Bosforem. Jeszcze kilka miesięcy i gotów jest wyjechać na Wschód, by tam już zostać i tam umrzeć. Zaprosił go mieszkający w Bejrucie malarz, Kamil Rogier. Mógł pojechać — po prostu. Mógł; nie pojechał.

Kiedy jednak ma lat trzydzieści pięć, jego apokryficzne życie nie-życie, zaczyna obumierać. Powód jest prosty: zaczęło się życie realne. Gustaw miał właśnie trzydzieści pięć lat, kiedy *Pani Bovary* ukazała się w formie książkowej. Fantazje są już zbędne; albo raczej są teraz pożądane inne — konkretne, praktyczne. Wobec świata będzie grał rolę Eremity z Croisset; wobec przyjaciół z Paryża będzie grał rolę salonowego Idioty; wobec George Sand będzie grał rolę wielebnego księdza Crucharda, eleganckiego jezuita, który rozkoszuje się wysłuchiwaniami spowiedzi kobiet światowych; wobec kręgu najbliższych będzie grał rolę świętego Polikarpa, tego tajemniczego biskupa Smyrny, umęczonego w ostatniej chwili w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat, który niejako z wyprzedzeniem zawtórował Flaubertowi, gdyż zatkał uszy i wykrzyknął: „O Panie! W jakimże wieku kazałeś mi przyjść na świat!” Ale te utożsamienia nie zapewniają mu już ponurego alibi, za którym mógłby szukać wiarygodnego schronienia; to tylko zabawki, alternatywne egzystencje puszczane w obieg na licencji głośnego autora. Nie uciekł, żeby zostać bandytą w Smyrnie; zamiast tego przyzywa biskupa Smyrny, który jest przydatny, gdyż może żyć w jego skórze. Okazał się nie pogromcą dzikich bestii, ale pogromcą dzikich istnień. Pacyfikacja apokryfów została zakończona: można przystąpić do pisania.

10. SPRAWA PRZECIWKO

Co sprawia, że chcemy dowiedzieć się najgorszego? Czy rzecz w tym, że nuży nas już upodobanie do wiedzy o najlepszym? Czy ciekawość zawsze bierze górę nad interesem własnym? A może po prostu pragnienie, by dowiedzieć się najgorszego, stanowi ulubioną perwersję miłości?

U niektórych ta ciekawość jest czymś w rodzaju zgubnej fantazji. Miałem kiedyś pacjenta, szacownego gadułę, skądinąd nie grzeszącego wyobraźnią, który wyznał, że kiedy kocha się z żoną, lubi wyobrażać sobie, jak zażywa ona rozkoszy ze zwałistymi hidalgami, przylizanymi żołdakami hinduskimi, wścibskimi karłami. Szokuj — pili fantazja — zgorsz mnie. Dla innych rzeczywistością są poszukiwania. Znałem stadła, w których każde z małżonków było dumne z tandetnych

zachowań partnera, każde ścigało szaleństwo drugiego, drugiego próżność, drugiego słabość. Za czym naprawdę się uganiali? Za czymś, co najwyraźniej sięgało dużo dalej niż to, do czego z pozoru dążyli. Może ostatecznego potwierdzenia, że sam rodzaj ludzki jest nieusuwalnie znieprawiony, że życie jest w istocie tylko pstrym koszmarem sennym zrodzonym w umyśle imbecyla?

Kochałem Ellen i chciałem poznać najgorsze. Nigdy jej nie prowokowałem; jak to jest moim zwyczajem, przyjąłem postawę obronną i pełną ostrożności; nie zadawałem nawet pytań; ale chciałem dowiedzieć się najgorszego. Ellen nigdy nie odwzajemniała tej czułości. Lubiła mnie — potwierdziłaby automatycznie, że mnie kocha, jakby sprawa nie była warta dyskusji — ale bezsprzecznie widziała we mnie to tylko, co było najlepsze. I tu tkwi różnica. Nie starała się nawet odnaleźć rozsuwanych drzwi prowadzących do sekretnej komnaty serca, gdzie przechowuje się wspomnienia i trupy. Czasami natrafiasz na te drzwi, ale okazuje się, że nie potrafisz ich otworzyć; czasem otwierają się i twoje spojrzenie napotyka tylko szkielet myszy. Ale przynajmniej zajrzałeś. Na tym polega rzeczywista różnica między ludźmi: zachodzi nie między tymi, którzy mają swoje tajemnice, a tymi, którzy ich nie mają, ale między tymi, którzy chcą wiedzieć wszystko, a tymi, którzy tego nie chcą. Twierdzę, że to poszukiwanie jest znakiem miłości.

Podobnie jest z książkami. Oczywiście nie całkiem tak samo (nigdy się to nie zdarza), ale podobnie. Kiedy czerpiesz zadowolenie z dzieła jakiegoś pisarza, obracasz z uznaniem stronice, ale jednocześnie nie denerwujesz się, jeśli ci się przerywa — wtedy zaczynasz lubić autora, wcale o tym nie myśląc. Dochodzisz do wniosku, że to porządny facet. Można na nim polegać. Mówią, że wydusił cały zastęp zuchów i rzucił ich ciała do stawu z karpiami? Och nie, jestem pewny, że tego nie zrobił: można na nim polegać, to porządny facet. Jeśli jednak kochasz pisarza, jeśli zdajesz się na kroplówkę jego rozumu, jeśli chcesz wytropić go — wbrew wszelkim zakazom — wtedy jest niemożliwe, byś wiedział za dużo. Szukasz również grzeszków. Chodzi o zastęp zuchów? Było ich dwudziestu siedmiu czy dwudziestu ośmiu? I czy zeszył ich chusty w pstry wzór? I czy prawdą jest, że kiedy wstępował na szafot, zacytował Księgę Jonasza? I że zapisał swój staw rybny miejscowym skautom?

Ale tutaj mamy różnicę. W przypadku kochanki, żony, kiedy odkrywasz to najgorsze — na przykład niewierność, brak miłości, szaleństwo albo skłonności do samobójstwa — czujesz prawie ulgę. Życie jest takie, jak sądziłem; może by jakoś uczić to rozczarowanie? W przypadku pisarza, którego kochasz, instynkt każe ci go bronić. To właśnie miałem poprzednio na myśli; być może miłość do pisarza jest

najczystsza, najsolidniejsza formą miłości. Tym więc łatwiej ci go bronić. Jest niezbitym faktem, że karpie należą do gatunków zagrożonych, i wszyscy wiedzą, że jedyny pokarm, jaki przyjmują, jeśli zima była szczególnie ciężka, a wiosna dżdżysta aż do świętego Ursyna, to młody siekany zuch. Oczywiście wiedział, że może zawisnąć na szubienicy za naruszenie prawa, ale wiedział także, że ludzkość nie jest gatunkiem zagrożonym, uznał więc, iż dwudziestu siedmiu (wspominałeś o dwudziestu ośmiu?) zuchów plus przeciętny autor (zawsze z nedorzeczną skromnością mówił o swoim talencie) to wcale niewygórowana cena, gdy w grę wchodzi uratowanie całego gatunku ryb. Wyjrzyj tylko trochę poza czubek własnego nosa: czy potrzebujemy tak dużo zuchów? Podrosną i zostaną skautami. A jeśli nadal jesteś nastawiony sentymentalnie, spójrz na sprawę tak: opłaty pobierane za wstęp nad staw rybny umożliwiły skautom wybudowanie i utrzymanie w okolicy kilku sal katechetycznych.

No więc dalej, czytaj swój akt oskarżenia. Wiedziałem, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Ale nie zapominaj: Gustaw zasiadał już przedtem na ławie oskarżonych. Ile zarzutów mamy tym razem?

1. *Nienawidził ludzkości.* “Tak, tak, oczywiście. Zawsze to powtarzasz. Dam ci dwojakiego rodzaju odpowiedź. Po pierwsze, zacznijmy od spraw podstawowych. Kochał matkę: czy to nie porusza twojego głupiego, sentymentalnego, dwudziestowiecznego serca? Kochał ojca. Kochał siostrę. Kochał siostrzenicę. Kochał przyjaciół. Podziwiał pewne jednostki. Ale jego uczucia były zawsze wyraźnie ukierunkowane; nie szafował nimi wobec każdego, kto się nawinął. Mnie wydaje się to wystarczające. Chciałbyś, żeby zrobił więcej? Chciałbyś, żeby „kochał ludzkość”, żeby otaczał czułością rodzaj ludzki? Ale to przecież nic nie oznacza. Kochać ludzkość to tyle, i równie mało, co lubić deszcz albo lubić Drogę Mleczną. Twierdzisz, że kochasz ludzkość? Czy jesteś pewny, że nie popadasz zbyt łatwo w samozadowolenie, że nie szukasz aprobaty, utwierdzenia się w przekonaniu, że stanąłeś po właściwej stronie?”

Po drugie, nawet jeśli nienawidził ludzkości — albo odnosił się do niej z głęboką obojętnością, tak bowiem wolałbym to ująć — czyż nie miał racji? Tobie oczywiście ludzkość imponuje; dla ciebie oznacza to wszystkie te sprytnie pomyślane systemy irygacyjne, dokonania misyjne i mikroelektronikę. Wybacz mu, że patrzył na to inaczej. To jasne, że musimy przedyskutować szerzej tę sprawę. Ale pozwól mi najpierw zacytować na twój użytek dwudziestowiecznego mędrca, Freuda. Zgodzisz się chyba, że nie jest to ktoś, kto chciałby upiec własną

pieczeń? Czy chcesz wiedzieć, jak podsumował rodzaj ludzki na dziesięć lat przed śmiercią? „W głębi serca nie mogę wyzbyć się przekonania, że moi kochani bliźni nie przedstawiają sobą, poza nielicznymi wyjątkami, żadnej wartości.” To wyszło od człowieka, którego większość ludzi przez niemal cały wiek uważała za kogoś najbardziej przenikliwie rozumiejącego ludzkie serce. Nieco kłopotliwe, prawda?

Ale idź dalej, pora na bardziej szczegółowe potraktowanie zagadnienia.

2. *Nienawidził demokracji.* La democrasserie, jak nazwał ją w liście do Taine’a. Co wolisz: demosrajstwo czy demogłupotę? Może demogówniarstwo? To prawda, niezbyt mu ona imponowała. Z czego nie powinieneś wyciągać wniosku, że sprzyjał tyranii albo monarchii absolutnej, albo monarchii burżuazyjnej, albo biurokratycznemu totalitaryzmowi, albo anarchii, albo czemuś innemu. Jego ulubionym systemem rządzenia był model chiński — model mandarynatu; aczkolwiek chętnie przyznawał, że szanse wprowadzenia takiego systemu we Francji są znikome. Mandarynat wydaje ci się krokiem wstecz? Ale wybaczasz Wolterowi jego entuzjazm dla monarchii oświeconej; dlaczego by więc nie wybaczyć Flaubertowi, żyjącemu wiek później, jego entuzjazmu dla oświeconej oligarchii? W końcu, nie podzielał przynajmniej dziecinnej fantazji niektórych ludzi pióra: że pisarze lepiej niż ktokolwiek inny nadają się do rządzenia światem.

Najważniejszy punkt: Flaubert uważał, że demokracja to tylko etap w historii rządzenia i że okazujemy typową dla kolejnych pokoleń zarozumiałość, twierdząc, iż reprezentuje ona najlepszy, najbardziej szczytny sposób rządzenia ludźmi. Wierzył w wieczną ewolucję ludzkości, a w tym w ewolucję form społecznych, albo raczej dostrzegał, że ta ewolucja rzeczywiście ma miejsce. „Demokracja nie jest ostatnim słowem rodzaju ludzkiego, tak jak nie było nim niewolnictwo, feudalizm ani monarchia.” Najlepszą formę rządów — utrzymywał — stanowi ta, która obumiera, ponieważ oznacza to, że ustępuje ona miejsca czemuś innemu.

3. *Nie wierzył w postęp.* Na jego obronę wystarczy wskazać wiek dwudziesty.

4. *Nie dość interesował się polityką.* „Nie dość” się interesował? Przyznajesz jednak, że się interesował. Sugerujesz taktownie, że nie podobało mu się to, co widział (słusznie), i że gdyby zobaczył więcej, być może doszedłby do twojego punktu widzenia w tym zakresie

(niesłusznie). Chciałbym zwrócić uwagę na dwa punkty, z których pierwszy zapiszę kursywą, jako że jest to, jak się zdaje, twoja ulubiona forma wypowiedzi. *Literatura zawiera w sobie politykę, nie zaś odwrotnie*. Przykro mi, ale ten pogląd nie cieszy się obecnie wzięciem ani u pisarzy, ani u polityków. Powieściopisarze, którzy uważają swoją twórczość za instrument polityki, moim zdaniem poniżają literaturę i niemądrze uwznioślają politykę. Nie, nie twierdzę, że powinno się im zabronić posiadania własnych opinii politycznych lub głoszenia politycznych twierdzeń. Chodzi po prostu o to, że tę część swojej pracy powinni nazwać po prostu dziennikarstwem. Pisarz, który uważa, że powieść to najodpowiedniejsze miejsce do składania deklaracji politycznych, jest zwykle złym powieściopisarzem, złym dziennikarzem i złym politykiem.

Du Camp śledził uważnie problemy polityczne. Flaubert od przypadku do przypadku. Którego wolisz? Pierwszego. A który z nich był wielkim pisarzem? Drugi. A co z ich poglądami politycznymi? Du Camp stał się gnuśnym meliorystą. Flaubert pozostał „wściekłym liberałem”. Czy to cię zaskakuje? Ale nawet gdyby Flaubert opisał siebie jako gnuśnego meliorystę, musiałbym stwierdzić to samo: cóż to za szczególna zarozumiałość ze strony terażniejszości — oczekiwać, że przeszłość będzie się jej podlizywać. Terażniejszość spogląda wstecz na jakąś wielką postać z poprzedniego wieku i zastanawia się: Czy była ona po naszej stronie? Czy była świętoszkiem? Jakiż brak pewności siebie się tu ujawnia: terażniejszość chce zarówno patronować przeszłości, orzekając, czy można ją zaakceptować pod względem politycznym, jak i pragnie, by przeszłość jej pochlebiała, poklepywała ją po plecach i zapewniała, że odwała kawał dobrej roboty, przy której należy wytrwać. Jeśli w ten sposób rozumiesz to, że Flaubert „nie dość interesował się” polityką, to przykro mi, ale mój klient musi przyznać się do winy.

5. *Był przeciwnikiem Komuny*. Cóż, to, co powiedziałem powyżej, daje częściową odpowiedź. Ale chodzi również o następujący wzgląd, o następującą niewiarygodną wprost słabość charakteru mojego klienta: był w ogóle przeciwny temu, żeby ludzie wzajemnie się zabijali. Możesz nazwać to przeczuleniem, ale on tego nie aprobował. Sam nigdy nikogo nie zabił, muszę to przyznać; a nawet nigdy nie próbował. Obiecuje, że poprawi się w przyszłości.

6. *Nie był patriotą*. Wybacz, ale to śmiechu warte. Uff. Już lepiej. Myślałem, że w dzisiejszych czasach patriotyzm jest czymś złym. Myślałem, że wolimy zdradzać raczej nasz kraj niż naszych przyjaciół.

Czyż nie tak? Czy mamy raz jeszcze postawić wszystko na głowie? Jakich słów się ode mnie oczekuje? 22 września 1870 r. Flaubert kupił sobie rewolwer; w Croisset musztrował gromadę obdartusów, gdyż spodziewał się naporu wojsk pruskich; wyprowadzał swój oddział na nocne patrole; rozkazał, by go zastrzelili, jeśli spróbuje uciekać. Kiedy wkroczyli Prusacy, niewiele mógł sensownego uczynić poza doglądaniem chorej matki. Mógł być może stanąć przed wojskową komisją lekarską, czy jednak wpadliby w entuzjazm na widok czterdziestoosmioletniego epileptyka i syfilityka, który nie miał żadnego wojskowego doświadczenia poza tym, jakie nabył strzelając do zwierząt na pustyni...

7. *Strzelał do zwierząt na pustyni.* Na rany boskie. Zgłaszamy wniosek o noli contendere. A zresztą nie skończyłem jeszcze z kwestią patriotyzmu. Czy mogę udzielić ci krótkiego pouczenia o naturze powieściopisarza? Co dla pisarza może być najłatwiejsze, najprzyjemniejsze do zrobienia? Gratulować społeczeństwu, w którym przyszło mu żyć; podziwiać jego bicepsy, oklaskiwać jego postępy, przekomarzać się z nim czule na temat jego szaleństw. „Tyleż we mnie Francuza, co Chińczyka” — oświadczył Flaubert. Oznacza to tyle samo, nie więcej Chińczyka: gdyby urodził się w Pekinie, bez wątplenia zawiódłby również tamtejszych patriotów. Największym patriotyzmem jest wytknąć swojemu krajowi, że postąpił niehonorowo, szaleńczo, głupio, występnie. Pisarz musi być uniwersalny w swoich sympatiach, z natury swej musi być wyrzutkiem: tylko wtedy może zachować jasność spojrzenia. Flaubert zawsze staje po stronie mniejszości, zawsze po stronie „beduinów, heretyków, filozofów, pustelników, poetów”. W 1867 r. czterdzieści troje Cyganów rozbiło obóz na Cours la Reine i wzbudziło dużą niechęć roueńczyków. Flaubert natomiast był zachwycony ich obecnością i dał im pieniądze. Bez wątplenia chciałbyś go za to pogłaskać po głowie. Gdyby wiedział, że zyska mu to aprobatę przyszłości, prawdopodobnie zatrzymałby sobie te pieniądze.

8. *Nie angażował się w życie.* „Możesz opisywać wino, miłość, kobiety i chwałę pod warunkiem, że nie jesteś pijakiem, kochankiem, mężem czy żołnierzem. Jeśli uczestniczysz w życiu, niezbyt dobrze się w nim rozeznajesz: zbyt wiele przynosi ci albo bólu, albo uciech.” Nie jest to odpowiedź winowajcy, ale zaskarżenie źle sformułowanych zarzutów. Co rozumiesz przez życie? Politykę? Już się z tą sprawą uporaliśmy. Życie uczuciowe? W swoich związkach z rodziną, przyjaciółmi i kochankami Gustaw poznał wszystkie stacje drogi

krzyżowej. Może masz na myśli małżeństwo? Zarzut osobliwy, aczkolwiek niezupełnie nowy. Czy małżeństwo pozwala pisać lepsze powieści niż starokawalerstwo? Czy wielodzietni są lepszymi pisarzami niż bezdzietni? Chciałbym zobaczyć twoje statystyki.

Najlepszym sposobem życia dla pisarza jest ten, który pozwala mu produkować najlepsze książki, jakie jest w stanie napisać. Czy mamy pewność, że nasza ocena jest w tej materii właściwsza niż jego? Flaubert był bardziej „zaangażowany”, by użyć twojego wyrażenia, niż wielu innych: Henry James był w porównaniu z nim siostrzyczką zakonną. Flaubert próbował może żyć w wieży z kości słoniowej...

8a. Próbował żyć w wieży z kości słoniowej. ...Ale mu się to nie udało. „Zawsze starałem się żyć w wieży z kości słoniowej, ale fala główna bije o mury, grożąc podmyciem.”

Trzeba w tym miejscu zwrócić uwagę na trzy sprawy. Po pierwsze, pisarz sam wybiera — w miarę swoich możliwości — zakres tego, co nazywasz zaangażowaniem w życie; wbrew swojej reputacji Flaubert zajął stanowisko połowiczne. „Nie pijak pisze biesiadne piosnki”: wiedział to. Ale też i nie abstynent. Najlepiej być może ujmuje sprawę, kiedy mówi, że pisarz musi zanurzyć się w życiu jak w morzu, ale tylko po pępek.

Po wtóre, kiedy czytelnicy utyskują na życie pisarzy — czemu nie robił tego a tego; czemu nie protestował w gazetach przeciwko temu a temu; czemu nie angażował się mocniej w życie? — czy w rzeczywistości nie zadają prostszego, a bezcelowego w swej próżności pytania: dlaczego nie jest bardziej podobny do nas? Ale gdyby pisarz był bardziej podobny do czytelnika, byłby czytelnikiem właśnie, nie zaś pisarzem; to jasne jak słońce.

Po trzecie, jaką wagę mają utyskiwania, gdy w grę wchodzi książki? Przypuszczalnie ubolewanie nad tym, że Flaubert nie angażował się mocniej w życie, nie jest zgoła filantropijnym życzeniem mu wszystkiego najlepszego. Gdyby tylko stary Gustaw miał żonę i dzieciaki, czy patrzyłby tak ponuro na cały ten konkurs strzelniczy? Gdyby dał się wciągnąć w politykę albo dobroczynność, albo gdyby został dyrektorem swojej dawnej szkoły, czy bardziej wychyliłby się ze swojej skorupy? Sądziś zapewne, że w jego książkach są błędy, których można było uniknąć, zmieniając życie pisarza. Jeśli tak, uważam, że do ciebie należy ich przedstawienie. Jeśli o mnie chodzi, nie mogę na przykład wyobrazić sobie, że wizerunek prowincjonalnych manier w *Pani Bovary* jest niepełny pod jakimś szczególnym względem i że byłby pełniejszy, gdyby autor stukał się co wieczór kuflem cydru z jakimś

zreumatyzowanym normandzkim bergère.

9. *Był pesymistą.* Ach, zaczynam rozumieć, o co ci chodzi. Chciałbyś, żeby jego książki były odrobinę bardziej radosne, odrobinę bardziej... jak byś to ujął — bardziej oczarowane życiem? Jakie masz osobliwe wyobrażenie o literaturze. Czyżbyś stopień doktora filozofii uzyskał w Bukareszcie? Nie sądziłem, że trzeba będzie bronić autora z powodu jego pesymizmu. To nowość. Odmawiam, Flaubert powiedział: „Sztuka nie rodzi się z dobrych intencji”. Powiedział też: „Publiczność pragnie dzieł pochlebiających jej złudzeniom”.

10. *Nie przekazuje żadnych pozytywnych wartości.* Wreszcie wystąpiłeś z otwartą przyłbicą. W ten więc sposób mamy oceniać naszych pisarzy — według ich „pozytywnych wartości”? Cóż, sądzę, że muszę na krótko podjąć proponowaną przez ciebie grę: to nieuniknione przed trybunałem. Weźmy wszystkie procesy o obrazę moralności, od *Pani Bovary* po *Kochanka Lady Chatterley*. W prowadzeniu obrony jest zawsze jakiś element rozgrywki i ustępliwości. Inni mogą to nazwać taktyczną obłudą. (Czy ta książka jest sprośna? Nie, pszę wysokiego sądu, utrzymujemy, że miałyby emetyczny, nie zaś mimetyczny wpływ na każdego czytelnika. Czy ta książka nakłania do cudzołóstwa? Nie, wysoki sądzie, proszę tylko spojrzeć, jaka kara spotyka w końcu nędzną grzesznicę, która oddaje się raz za razem rozpustnej rozkoszy. Czy książka ta atakuje instytucję małżeństwa? Nie, proszę wysokiego sądu, jest wizerunkiem złego i beznadziejnego małżeństwa, tak że inni mogą zaczerpnąć z niej pouczenie, iż tylko postępując według nauk Kościoła, uczynią własne małżeństwo szczęśliwym. Czy jest to książka bluźniercza? Nie, proszę wysokiego sądu, jej moralne przesłanie jest czyste.) Jako linia obrony, dodajmy, odniosło to skutek; ale czasami czuję osad goryczy płynącej stąd, iż żaden z członków zespołu obrończego, wstawiając się za autentycznym dziełem sztuki literackiej, nie zbudował swojego wystąpienia na czystej przekorze. (Czy jest to książka sprośna? Mamy co do tego cholernie gorącą nadzieję, proszę wysokiego sądu. Czy skłania do cudzołóstwa i atakuje instytucję małżeństwa? Proszę zauważyć, wysoki sądzie, że właśnie dokładnie to chciał mój klient osiągnąć. Czy ta książka jest bluźniercza? Na Boga, wysoki sądzie, sprawa jest jasna jak przepaska na biodra w scenie Ukrzyżowania. Proszę spojrzeć na to tak, wysoki sądzie: mój klient uważa, że większość wartości społecznych określających jego życie wydaje nieprzyjemny zapach, i ma nadzieję przy pomocy tej książki zachęcić do rui i porubstwa, masturbacji, cudzołóstwa, kamienowania

księży i, skoro już na moment przykuliśmy uwagę wysokiego sądu, wieszania skorumpowanych sędziów za płatki uszne. Obrona poprzestaje na tym stwierdzeniu.)

Krótko mówiąc: Flaubert uczy patrzeć prosto na prawdę i nie mrużyć oczu w obliczu jej konsekwencji; wraz z Montaigne'em uczy cię spać na poduszce zwątpienia; uczy cię drobiazgowej analizy konstytutywnych składników rzeczywistości i dostrzegania, że Natura jest zawsze mieszaniną gatunków; uczy cię nadzwyczaj precyzyjnego posługiwania się językiem; uczy cię, byś nie szukał w książce moralnej i społecznej pigułki — literatura to nie pharmacopoeia; uczy cię, jak wybitne miejsce zajmują Prawda, Piękno, Czucie i Styl. A jeśli będziesz studiował jego prywatne życie, nauczy cię odwagi, stoicyzmu, przyjaźni; wagi rozumu, sceptycyzmu, sprytu; tego, jakim szaleństwem jest tani patriotyzm; cnoty, jaką stanowi umiejętność pozostawiania sam na sam z sobą we własnym pokoju; nienawiści do obłudy; nieufności do doktrynerstwa; potrzeby jasnego wyrażania myśli. Czy podoba ci się ten sposób opisywania pisarzy (ja sam za nim nie przepadam)? Czy to dość? Na razie tyle: wygląda na to, że wprawilem w zakłopotanie mojego klienta.

11. *Był sadystą.* Bzdury. Mój klient był człowiekiem o gołębiem sercu. Proszę zacytować choćby jeden jego sadystyczny lub choćby nieuprzejmy postępek w ciągu całego życia. Oto, co wiem o nim najmniej sympatycznego: został przyłapany na brutalnym odnoszeniu się bez żadnych widocznych powodów do kobiety podczas przyjęcia. Kiedy go o to zapytano, odparł: „Ponieważ mogło jej przyjść do głowy, żeby zjawić się w moim gabinecie”. To najgorsze, co wiem o moim kliencie. Chyba że chcesz dorzucić incydent w Turcji, kiedy próbował iść do łóżka z prostytutką, chociaż cierpiał na kiłę. Przyznaję, że jest to odrobinę nie w porządku. Ale nie udało mu się: dziewczyna, zgodnie z normalną ostrożnością, jakiej wymaga ten zawód, domagała się przebadania go, a kiedy odmówił, posłała go do diabła.

Oczywiście, czytał Sade'a. Czego nie czyta wykształcony francuski pisarz? Mniemam, że nadal cieszy się wzięciem wśród paryskich intelektualistów. Mój klient powiedział braciom Goncourtom, że Sade to „zabawna nedorzeczność”. To prawda, nie rozstawał się z paroma makabrycznymi pamiątkami; lubił opowiadać o strachach. W jego wczesnych dziełach trafiają się niesamowite epizody. Ale ty twierdzisz, że miał „sadystyczną wyobraźnię”? Jestem zdumiony. Powiedziałeś dokładnie: *Salambo* zawiera sceny o szokującej gwałtowności. Odpowiadam: Myślisz, że do takich scen nie dochodziło? Czy sądzisz, że świat starożytny to tylko płatki róży, gra na lutni i pękate kadzie

miodu zapieczętowane niedźwiedzim sadłem?

11a. W jego książkach jest mnóstwo zarzynanych zwierząt. Z pewnością nie był Waltem Disneyem, co to, to nie. Zgadzam się, że interesowało go okrucieństwo. Interesowało go wszystko. W równym stopniu jak Sade interesował go Neron. Ale posłuchaj, co o nich powiedział: „Te potwory pozwalają mi zrozumieć historię”. Muszę dodać, że miał wówczas zaledwie siedemnaście lat.

I pozwól, że przytoczę jeszcze jeden cytat: „Kocham pokonanych, ale kocham także zwycięzców”. Tęskni do tego, by być w tym samym stopniu Chińczykiem, co Francuzem. W Leghorn było trzęsienie ziemi; Flaubert nie płacze ze współczucia. Czuje tyleż samo współczucia dla tych ofiar, ile dla niewolników, którzy umarli setki lat temu, obracając kamień młyński u jakiegoś tyrana. Jesteś zaszokowany? To się nazywa mieć wyobraźnię historyczną. To się nazywa być obywatelem nie tylko świata, ale także wszechczasów. To właśnie Flaubert określa jako bycie „bratem w Bogu wobec wszystkiego, co żyje, od żyrafy i krokodyla po człowieka”. To się nazywa być pisarzem.

12. Był brutalny w stosunku do kobiet. Kobiety kochały go. Lubiły jego towarzystwo, on lubił ich towarzystwo; był szarmancki, skłonny do flirtów; chodził z nimi do łóżka. Tyle że nie chciał się z nimi żenić. Czy to grzech? Pewnie niektóre z jego zachowań seksualnych były, jeśli chodzi o pikanterię, dopasowane do jego czasów i warstwy społecznej; któż zatem z żyjących w dziewiętnastym wieku nie zasługuje na chłostę? On sam był przynajmniej zwolennikiem uczciwości w układach seksualnych: dlatego właśnie przedkładał prostytutki nad gryzетки. Ta uczciwość ściągnęła mu na głowę więcej kłopotów, niż przyniosłaby obłuda — na przykład z Luizą Colet. Kiedy powiedział jej prawdę, zabrzmiało to jak okrucieństwo. Ale z niej też była niezgorsza zgaga, czyż nie mam racji? (Pozwól, że sam odpowiem na swoje pytanie. Myślę, że była zgagą; robi wrażenie zgagi; chociaż trzeba przyznać, że znamy tę historię tylko od strony Gustawa. Być może ktoś powinien spisać jej zeznanie: tak, dlaczego by nie odtworzyć wersji Luizy Colet? Mógłbym to zrobić. Owszem, tak właśnie postąpię.)

Jeśli wolno mi tak powiedzieć, mnóstwo twoich oskarżeń dałoby się wciągnąć do jednej rubryki: że nie przepadałby za nami, gdyby mógł nas poznać. W tym zakresie byłby może skłonny przyznać się do winy; choćby dlatego, by zobaczyć naszą minę.

13. Wierzył w Piękno. Zdaje się, że mam coś w uchu. Prawdopodobnie

grudkę woskowiny. Proszę pozwolić, że zacisnę sobie nos i dmuchnę przez bębunki uszne.

14. Jego obsesją był styl. Pleciesz trzy po trzy. Czy nadal myślisz, że powieść dzieli się jak Galia na trzy części — myśl, formę i styl? Jeśli tak, widać to twój pierwszy, niepewny krok w dziedzinie beletrystyki. Chcesz paru maksym mówiących o pracy pisarskiej? Doskonale. Forma nie jest płaszczem narzuconym na ciało myśli (stare porównanie, stare już za czasów Flauberta); jest samym ciałem myśli. Nie można sobie wyobrazić myśli bez formy tak samo, jak nie można wyobrazić sobie formy bez myśli. W sztuce wszystko zależy od wykonania: opowieść o wszy może być równie piękna jak opowieść o Aleksandrze. Musisz pisać zgodnie ze swoimi odczuciami, mieć pewność, że te uczucia są autentyczne, i machnąć ręką na wszystko inne. Kiedy linijka prozy jest dobra, przestaje być własnością jakiegokolwiek szkoły. Linijka prozy musi być tak nie do przerobienia jak linijka wiersza. Jeśli zdarzy ci się, że napiszesz coś dobrze, oskarżą cię o brak idei.

Wszystkie te maksymy wyszły od Flauberta, poza jedną, którą podał Bouilhet.

15. Nie wierzył, by sztuka miała cele społeczne. Nie, nie wierzył. To nudne. „Ty dajesz udrękę — napisała George Sand — a ja niosę pociechę.” Na co Flaubert odpowiedział: „Nie mogę zmienić sobie oczu”. Dzieło sztuki jest piramidą ustawioną bez żadnego celu na pustyni; szakale obsikują jej podstawę, a mieszcuchy gramolą się na wierzchołek; pociągnij dalej to porównanie. Chcesz, żeby sztuka była znachorem? Poślij po AMBULANS GEORGE SAND. Chcesz, żeby sztuka mówiła prawdę? Poślij po AMBULANS FLAUBERT; nie bądź jednak zaskoczony tym, że kiedy się zjawi, przejedzie ci po nodze. Posłuchaj Audena: „Poezja nie wywołuje zdarzeń”. Nie wyobrażaj sobie, że sztuka to coś, co ma łagodnie podtrzymywać na duchu i dodawać wiary w siebie. Sztuka to nie brassière. W każdym razie nie w znaczeniu angielskim, a więc nie biustonosz. Ale nie zapominaj, że po francusku brassière to kamizelka ratunkowa.

11. WERSJA LUIZY COLET

Niech pan posłucha teraz mojej opowieści. Nalegam. Proszę wziąć mnie pod ramię, w ten sposób, i po prostu przejdźmy się. Znam różne bajki; spodobają się panu. Pójdziemy bulwarem i dalej mostem — nie, tym drugim — i być może uda się nam wypić gdzieś kieliszek koniaku, poczekać, aż przygasną lampy gazowe, i potem wrócić na piechotę.

Chyba się pan mnie nie boi? Skąd więc to spojrzenie? Myśli pan, że jestem kobietą niebezpieczną? Cóż, to rodzaj pochlebstwa — przyjmuję ten komplement. A może... może to raczej tego, co mam do powiedzenia, pan się obawia? Aha... no tak, teraz już za późno. Wziął mnie pan pod ramię, nie może już puścić. W końcu, jestem starsza. Pańskim obowiązkiem jest mnie chronić.

Nie interesuje mnie potwarz. Jeśli pan chce, proszę przesunąć palcami wzdłuż mojego przedramienia; tak, w tym miejscu, można teraz wyczuć puls. Nie mam dziś ochoty na zemstę. Niektórzy przyjaciele mówią: Luizo, na ogień musisz odpowiedzieć ogniem, na kłamstwo — kłamstwem. Ale ja nie chcę. Oczywiście, kłamałam w swoim czasie; intrygowałam — zdaje się, że właśnie tego słowa lubi używać płęć męska. Ale kobiety intrygują, kiedy są słabe, kłamią ze strachu. Mężczyźni intrygują, kiedy są mocni, kłamią z arogancji. Nie zgadza się pan ze mną? Mój pogląd wziął się z obserwacji; każdy może uważać inaczej, przyznaję. Ale widzi pan, jaka jestem spokojna? Jestem spokojna, bo czuję się silna. I — cóż to oznacza? Skoro jestem mocna, to może intryguję jak mężczyzna. Dajmy pokój, nie komplikujmy sprawy.

Nie potrzebowałam Gustawa w moim życiu. Proszę spojrzeć na fakty. Miałam trzydzieści pięć lat, byłam piękna, byłam... znana. Podbiłam najpierw Aix, a potem Paryż. Dwukrotnie otrzymałam nagrodę poetycką Akademii. Przetłumaczyłam Szekspira. Wiktor Hugo nazywał mnie siostrą, Béranger — muzą. Jeśli chodzi o życie osobiste: mój mąż cieszył się szacunkiem w swoim zawodzie... mój... protektor był najwybitniejszym filozofem swoich czasów. Nie czytał pan Victora Cousina? Więc powinien pan. Fascynujący umysł. Jedyne człowiek, który naprawdę zrozumiał Platona. Przyjaciół waszego filozofa, Milia. A poza tym byli — a raczej mieli pojawić się wkrótce — Musset, Vigny, Champfleury. Nie chępię się moimi podbojami; nie potrzebuję. Ale widzi pan, w czym rzecz. Ja byłam świecą, on zaś ćmą. Kochanka Sokratesa, która łaskawie raczyła obdarzyć uśmiechem tego nieznanego poetę. To ja byłam jego zdobyczą, nie on — moją.

Poznaliśmy się u Pradiera. Dostrzegłam banalność sytuacji, on oczywiście — nie. Pracownia rzeźbiarza, swobodna rozmowa, rozebrana modelka, mieszanina półświatka i trzy czwarte światka. Dla mnie to wszystko było swojskie (ledwie kilka lat wcześniej tańczyłam tam ze sztywnym studentem medycyny o nazwisku Achilles Flaubert). I oczywiście nie byłam widzem; miałam pozować Pradierowi. Natomiast Gustaw? Nie chcę być niemłą, ale kiedy po raz pierwszy spoczęło na nim moje spojrzenie, od razu zorientowałam się, co to za facet: duży, kościsty, niezgrabny w ruchach prowincjusz, wielce spragniony tego, by

znaleźć się w końcu w kręgu artystów, i wreszcie z ulgą dostrzegający, że to osiągnął. Wiem dobrze, jakie rozmowy prowadzi się na prowincji, ile w nich fałszywej pewności siebie i autentycznego przerażenia: „Idź do Pradiera, chłopcze, zawsze trafisz tam na jakąś aktoreczkę, która chętnie zostanie twoją kochanką i jeszcze będzie ci wdzięczna”. A chłopak z Tuluzy, Poitiers, Bordeaux albo Rouen, który w skrytości serca boi się długiej podróży do stolicy, czuje, jak do głowy uderza mu snobizm i chuć. Widzi pan, ja to rozumiem, bo sama byłam prowincjuską. Podróż z Aix odbyłam dwanaście lat wcześniej. Mam za sobą szmat drogi; i potrafię wyczuć u innych piętno podróży.

Gustaw miał dwadzieścia cztery lata. Dla mnie wiek się nie liczy, liczy się tylko miłość. Gustaw nie był potrzebny w moim życiu. Gdybym rozglądała się za kochankiem — przyznaję, że Fortuna nie sprzyjała wówczas mojemu mężowi, a przyjaźń z filozofem stała się odrobinę burzliwa — nie wybrałabym Gustawa. Ale nie mam przekonania do brzuchatych bankierów. A poza tym, przecież samemu się nie szuka, nie wybiera, prawda? Zostaje się wybranym; zostajesz wybrany do miłości w jakimś tajemnym balotażu, od którego nie ma odwołania.

Czy nie rumienię się na myśl o różnicy wieku między nami? A niby dlaczego? Wy, mężczyźni, jesteście tacy konformistyczni w miłości, tacy prowincjonalni, jeśli chodzi o wyobraźnię; dlatego musimy wam pochlebiać, podbudowywać małymi kłamstewkami. Tak więc, ja miałam trzydzieści pięć lat, Gustaw zaś dwadzieścia cztery. Stwierdzam to i więcej nie mam zamiaru zaprzętać sobie tym głowy. Być może pan nie chce przejść nad tą sprawą do porządku dziennego; skoro tak, muszę odpowiedzieć panu na kilka nie wypowiedzianych pytań. Jeśli pragnie pan poznać psychiczne uwarunkowania dwojga ludzi nawiązujących tego rodzaju stosunek, niekoniecznie trzeba zajmować się mną.

Wystarczy zbadać to od strony Gustawa. Dlaczego? Oto garść dat. Urodziłam się w 1810 roku, piętnastego września. Czy pamięta pan Madame Schlesinger, tę kobietę, która pierwsza zraniła młodsze serce Gustawa, kobietę, przy której wszystko było z góry skazane na niepowodzenie i beznadziejne, kobietę, którą ukradkiem się chełpił, kobietę, przez którą замуrował swoje serce (a pan oskarża naszą płęć o czcze romanse)? Otóż ta Mme Schlesinger, jak przypadkiem się dowiedziałam, także urodziła się w 1810 roku i także we wrześniu. Dokładnie osiem dni po mnie, dwudziestego trzeciego. Pojmuje pan?

Patrzy pan na mnie w sposób, który dobrze znam. Podejrzewam, że chce pan, bym powiedziała, jaki był Gustaw jako kochanek. Wiem, że mężczyźni z zapałem rozprawiają o takich sprawach, przyjmując przy tym lekko pogardliwą postawę; to tak, jakby danie po daniu opisywali

swój dopiero co spożyty posiłek. Zupełnie obojętnie. Kobiety są inne; a w każdym razie szczegóły, słabości, które uwypuklają w opowiadaniu, bardzo rzadko mają charakter cielesny, w czym właśnie lubują się mężczyźni. Szukamy znaków, które mówią nam o charakterze — dobrym albo złym. Mężczyźni natomiast szukają znaków, które by im pochlebiały. Są w łóżku okropnie próżni, bez porównania bardziej niż kobiety. Przyznaję, że poza łóżkiem obie płci są lepiej do siebie dopasowane.

Odpowiem nieco swobodniej, bo jest pan tym, kim jest; i ponieważ mówię o Gustawie. Zawsze pouczał innych, mówił im o uczciwości artysty, o tym, że nie należy przemawiać jak mieszczuch. Cóż, jeśli uchylam nieco rąbka, to sam jest sobie winien.

Ochoczy był ten mój Gustaw, nie ma co. Nigdy — Bóg to jeden wie — nie przychodziło łatwo namówić go, żeby się ze mną spotkał; ale kiedy już się spotkaliśmy... Stoczyliśmy ze sobą mnóstwo utarczek, ale żadnej na terytorium nocy. Tam, rażeni gromem, padaliśmy sobie w ramiona; tam potężny cud splatał się z tkliwą swawolą. Przywiózł butelkę wody z Missisipi, gdyż pragnął nią ochrzcić moje piersi na znak miłości. Był mocnym młodzieńcem i rozkoszowałam się jego siłą; kiedyś podpisał następująco list do mnie: „Twój dzikus z Aveyron”.

Żywił oczywiście wieczne złudzenie mocnych młodzieniaszków, że kobieta ocenia namiętność, licząc, ile razy mężczyzna dobiera się do niej w ciągu jednej nocy. No tak, do pewnego stopnia tak jest: czemu miałabym zaprzeczać? To pochlebia, prawda? Ale nie to liczy się w ostatecznym rachunku. A po jakimś czasie ma się uczucie, że jest w tym coś prawie wojskowego. Gustaw miał swój szczególny sposób mówienia o kobietach, które dały mu rozkosz. Wspominał jakąś prostytutkę, którą odwiedzał przy rue de la Cigogne: „Było pięć strzałów” — chełpił się. Taki miał sposób mówienia. Ja uważałam, że to prostackie, ale w gruncie rzeczy nie przywiązywałam do tego wagi; oboje byliśmy wszak artystami. Jednak zapamiętałam tę metaforę. Im więcej strzałów odpalasz w kogoś, tym prawdopodobniejsze, że na koniec ten ktoś okaże się martwy. Czy właśnie tego pragną mężczyźni? Czy potrzebują naszych martwych ciał, żeby udowodnić swoją męskość? Myślę, że tak, a kobiety, zgodnie z logiką pochlebstwa, pamiętają, by w momencie uniesienia wydać okrzyk: „Och, umieram! Umieram!”, czy coś w tym rodzaju. Często zauważam, że po przyplywie namiętności mam największą jasność umysłu; widzę wszystko bardzo wyraźnie; czuję, jak napływa we mnie poezja. Ale nie muszę przerywać bohaterowi moją paplaniną; zamiast tego udaję usatysfakcjonowane zwłoki.

W prowincji nocy panowała między nami harmonia. Gustaw nie

okazywał nieśmiałości. Nie był też ciasny w swoich upodobaniach. Byłam — po co tu skromność — bez wątpienia najpiękniejszą, najślawniejszą, najbardziej godną pożądania kobietą, z jaką kiedykolwiek spał (jeśli miałam jakąś rywalkę, to tylko tę dziwną bestię, o której opowiem później). Naturalnie, czasem miał tremę w obliczu mojej urody, a innymi razy niepotrzebnie przejawiał samozadowolenie. Rozumiałam to. Przede mną były oczywiście prostytutki, gryzetki i przyjaciele. Ernest, Ludwik, Alfred, Maks: banda uczniów — tak o nich myślałam. Sodalicja utwierdzona przez sodomie. Nie, może to nie w porządku; nie wiem dokładnie, kto ani kiedy, ani co; chociaż wiem, że Gustawa nigdy nie znużyły double ententes przy la pipe. Wiem też, że potrafił bardzo długo wpatrywać się we mnie, kiedy leżałam na brzuchu.

Widzi pan, ja byłam inna. prostytutki są nieskomplikowane; gryzetkom też można zapłacić i na tym koniec; z mężczyznami jest inaczej — przyjaźń, choćby głęboka, ma swoje znane granice. Ale miłość? Ale zatracenie się? Ale pewnego rodzaju partnerstwo, pewnego rodzaju równość? Nie ważył się na to. Byłam jedyną kobietą, jaka go wystarczająco pociągała; i powodowany strachem, postanowił upokarzać mnie. Myślę, że powinniśmy współczuć Gustawowi.

Przysyłał mi kwiaty. Szczególne kwiaty; konwencja niekonwencjonalnego kochanka. Kiedyś przysłał różę. Ściał ją pewnego niedzielnego ranka w Croisset z żywopłotu w ogrodzie. „Całuję ją — napisał. — Włóż ją szybko do ust, a potem sama najlepiej wiesz gdzie... Adieu! Tysiąc pocałunków. Jestem twój od rana do wieczora, od wieczora do rana.” Kto oparłby się takiemu uczuciu? Pocałowałam różę, a potem wieczorem, w łóżku, włożyłam tam, gdzie pragnął. Rano, kiedy się obudziłam, wskutek niespokojnego snu z róży zostały wonne płatki. Pościel pachniała Croisset: miejscem, do którego — o czym jeszcze nie wiedziałam — wstęp miał mi być wzbroniony; jeden płatek znalazł się między moimi palcami u nóg, a od wewnętrznej strony prawego uda pojawiło się małe zadraśnięcie. Namiętny i niezdarny Gustaw zapomniał usunąć kolce z łodygi róży.

Następny kwiat nie był taki udany. Gustaw wyjechał do Bretanii. Czy niepotrzebnie narobiłam wokół tego tyle hałasu? Trzy miesiące! Znaliśmy się niespełna rok, cały Paryż wiedział o naszej namiętności, on zaś wybrał się na trzy miesiące w kompanii Du Campa! Mogliśmy być jak George Sand i Chopin; wspanialszy nawet! A Gustaw uparł się, żeby wyjechać na trzy miesiące razem z tym swoim pedałem. Czy nie miałam racji awanturując się? Czy nie była to bezpośrednia zniewaga, próba upokorzenia mnie? A na dodatek, kiedy publicznie wyraziłam moje uczucia (nie wstydzę się miłości — czemu miałabym się wstydzić?

mogłabym oświadczyć się w poczekalni dworcowej, jeśli by zaszła taka potrzeba), powiedział, że to ja jego upokarzam! Proszę sobie wyobrazić! Porzucił mnie. „Ultima” — napisałam na liście, jaki przysłał mi tuż przed wyjazdem.

Oczywiście nie był to jego ostatni list. Ledwie zaczął wędrować przez nudne wiejskie okolice, udając, że interesują go gruzy châteaux i nijakie kościoły (trzy miesiące!), a już mu mnie zabrakło. Zaczęły napływać listy, usprawiedliwienia, wyznania, wymówki, żądania, bym odpisała. Zawsze był taki. Kiedy siedział sobie w Croisset, marzył o ciepłym piasku i pełnym blasku Nilu; kiedy był nad Nilem, marzył o wilgotnych mgłach i pełnym blasku Croisset. Oczywiście tak naprawdę to wcale nie lubił podróży. Lubił ideę podróży i wspomnienia z podróży, ale samej podróży — nie. Raz przynajmniej zgadzam się z Du Campem, który utrzymywał, że ulubioną przez Gustawa formą podróży było leżeć na kanapie i żeby krajobraz przesuwiał się przed jego oczyma. Jeśli chodzi o ich sławetną wyprawę na Wschód, Du Camp (tak, właśnie obmierzył Du Camp, niegodny zaufania Du Camp) utrzymywał, że Gustaw większość podróży spędził pogrążony w odrętwieniu.

Ale tak czy owak: włócząc się po nudnej zapadłej prowincji ze swoim jadowitym towarzyszem, Gustaw przysłał mi kolejny kwiat, zerwany przy grobie Châteaubrianda. Napisał o spokojnym morzu w St Malo, różowym niebie, słodkim powietrzu. Miła scena, prawda? Romantyczny grobowiec na skalistym cyplu, wielki człowiek pochowany głową w stronę morza, słuchający przez całą wieczność fali przyływu i odpływu; młody pisarz mający w sobie iskrę geniuszu klęka u grobu, patrzy, jak różowość spełza powoli z wieczornego nieba, rozmyśla — jak mają zwyczaj czynić młodzieńcy — nad wiecznością, ulotną naturą życia i pociechą płynącą z wielkości, a następnie zrywa kwiat, który przeniknął korzeniami do szczątków Châteaubrianda, i posyła go pięknej kochance z Paryża... Czyż mogłam pozostać obojętna na taki gest? Oczywiście nie. Ale nie mogłam powstrzymać się od uwagi, że kwiat zerwany z grobu niesie ze sobą określony pogłos, jeśli wysyła się go komuś, kto na otrzymanym trochę wcześniej liście napisał „Ultima”. I nie mogłam również nie zauważyć, że list Gustawa został nadany w Pontorson, czterdzieści kilometrów od St Malo. Czyżby Gustaw zerwał kwiat dla siebie, a dopiero potem, po przebyciu czterdziestu kilometrów, znudził się nim? A może — takie podejrzenie ogarnia mnie tylko dlatego, że spoczywałam tuż obok zaraźliwej duszy samego Gustawa — zerwał go w jakimś innym miejscu? Czy trochę za późno pomyślał o tym geście? Któż uniknie l'esprit d'escalier, nawet w miłości?

Mój kwiat — ten, który najlepiej pamiętam spośród wielu — został

zerwany tam, gdzie powiedziałam. W Windsor Park. Było to po mojej tragicznej wizycie w Croisset i przeżyciu upokorzenia, gdyż nie zostałam przyjęta; po zaznaniu brutalności, cierpienia i odrazy do tego wszystkiego. Bez wątpienia słyszał pan odmienną wersję? Prawda jest jednak prosta.

Musiałam go zobaczyć. Musieliśmy porozmawiać. Nie odprawia się miłości jak fryzjera. Nie przyszedł do mnie, będąc w Paryżu, więc ja przybyłam do niego. Wsiadłam do pociągu (tym razem nie przez Mantes) do Rouen. Przywieziono mnie łodzią do Croisset; w moim sercu nadzieja zmagala się z obawą przez cały czas, kiedy stary wioślarz walczył z prądem rzeki. Naszym oczom ukazał się uroczy, niski biały dom w stylu angielskim; wydał mi się roześmiany. Wsiadłam z łodzi, pchnęłam żelazną furtkę; dalej nie pozwolono mi wejść. Gustaw zakazał mi wstępu. Zawróciła mnie jakaś starowina przybyła prosto z gumna. Nie zobaczy się ze mną tutaj; spotkamy się w hotelu. Mój Charon powiosłował z powrotem. Gustaw przybył oddzielnie, statkiem parowym. Wyprzedził nas na rzece i przybył na miejsce pierwszy. Była to farsa i tragedia zarazem. Poszliśmy do mojego hotelu. Ja mówiłam, ale on mnie nie słyszał. Mówiłam o szansie szczęścia. Sekret szczęścia — oznajmił — polega na tym, żeby być szczęśliwym już teraz. Nie rozumiał mojej udręki. Uścisnął mnie z upokarzającą powściągliwością. Powiedział, że bym wyszła za Victora Cousina.

Czmychnęłam do Anglii. Ani chwili dłużej nie mogłam znieść Francji; przyjaciele uznali, że postąpiłam słusznie. Pojechałam do Londynu. Przyjęto mnie miło. Przedstawiono mnie wielu wybitnym umysłom. Poznałam Mazziniego; poznałam hrabinę Guiccioli. Moje spotkanie z hrabiną bardzo podniosło mnie na duchu — od razu połączyła nas mocna więź przyjaźni — ale również, ze względów osobistych, zasmuciło. George Sand i Chopin, hrabina Guiccioli i Byron... Czy kiedykolwiek będą mówić: Luiza Colet i Flaubert? Po tym spotkaniu, muszę panu wyznać, przeżyłam wiele godzin skrywanego smutku, który starałam się znosić z filozoficznym spokojem. Co stanie się z nami? Co stanie się ze mną? Czy to źle — zadawałam sama sobie pytanie — że jestem ambitna w miłości? Czy to źle? Proszę mi powiedzieć.

Udałam się do Windsoru. Pamiętam piękną krągłą wieżę porośniętą bluszczem. Błądziłam po parku i zerwałam kwiatek powoju dla Gustawa. Muszę panu powiedzieć, że zawsze był prostackim ignorantem, jeśli chodzi o kwiaty. Nie mam na myśli strony botanicznej — prawdopodobnie w jakimś momencie życia nauczył się o nich wszystkiego, podobnie jak nauczył się wielu innych rzeczy (poza sercem

kobiety) — ale stronę symboliczną. Język kwiatów jest taki wykwintny: elastyczny, szarmancki i precyzyjny. Kiedy piękno kwiatu współbrzmi z pięknem uczuć, które ma on przekazać... napływa takie uczucie szczęścia, jakiego i prezent z rubinów często nie wywoła. Szczęście to jest tym bardziej wzruszające, że kwiat więdnie. Ale być może zanim kwiat zwiędnie, on przyśle następny...

Do Gustawa nic z tego wszystkiego nie trafiało. Należał do tego gatunku osób, które mogą po mozolnych studiach nauczyć się w końcu dwóch zdań z języka kwiatów: mieczyk umieszczony w środku bukietu wskazuje liczbą swoich kwiatów godzinę wyznaczonego spotkania; petunia oznacza, że list został przechwycony. Takie niewybredne i praktyczne zastosowanie był w stanie zrozumieć. Otóż weźmy tę różę (wszystko jedno, jakiej była barwy, chociaż w języku kwiatów istnieje pięć rozmaitych znaczeń dla pięciu rozmaitych róż): przyłóż ją najpierw do warg, a potem wsuń między uda. Do takiej nieokrzesanej galanterii Gustaw był zdolny. Nie potrafiłby natomiast, i jestem tego pewna, zrozumieć wymowy powoju; czy też, gdyby nawet zdobył się na wysiłek, i tak rozumiałby wszystko opacznie. Za pomocą powoju można przesłać trzy sygnały. Białe oznacza: Dlaczego mnie opuściłeś? Różowe: Zwiążę się z tobą. Niebieski: Poczekam, aż nadejdą lepsze dni. Musi pan sam odgadnąć, jaki kolor kwiatu wybrałam w Windsor Park.

Czy w ogóle był w stanie zrozumieć kobietę? Często w to powątpiewałam. Pokłóciliśmy się, pamiętam, w związku z tą jego kurwą z nad Nilu, Kuchuk Hanem. Podczas podróży Gustaw prowadził notatki. Poprosiłam, żeby dał mi je do przeczytania. Odmówił; poprosiłam raz jeszcze; to samo. Wreszcie pozwolił. Te stroniczki nie są... przyjemne. To, co Gustaw uznawał za czarowne na Wschodzie, dla mnie było poniżające. Kurtyzana, kosztowna kurtyzana zlewająca się olejkami z drzewa sandałowego, żeby zabić mdlącą woń pluskwów, które ją oblażyły. Czy to pobudza — pytam, czy to jest piękne? Czy to jest wyrafinowane, czy to jest wspaniałe? Czy też jest to plugawe i odrażająco prostackie?

Ale nie chodzi tu o kwestię estetyczną, o nie. Kiedy wyjawiałam moją odrazę, Gustaw zinterpretował to po prostu jako zazdrość. (Byłam odrobinę zazdrosna — któż by nie był, czytając intymny dziennik mężczyzny, którego kocha, i nie znajdując ani jednej wzmianki o sobie, a zamiast tego lubieżne apostrofy do zarobaczywiałych kurew?) Może to, że Gustaw pomyślał tylko o zazdrości, było zrozumiałe. Ale proszę posłuchać jego argumentów, proszę posłuchać, jak rozumiał kobiece serce. Nie bądź zazdrosna o Kuchuk Hanem — oznajmił. To kobieta Wschodu; tamtejsze kobiety to maszyny; każdy mężczyzna jest dla nich taki sam. Niczego do mnie nie czuła; już o mnie zapomniała; nie

wychodzi poza gnuśny krąg palenia, zażywania kąpieeli, malowania powiek i picia kawy. Musi odczuwać bardzo niewielką przyjemność fizyczną, gdyż już w dzieciństwie wycięto jej ów sławetny guziczek, siedzibę wszelkiej rozkoszy.

Cóż za pociecha! Ileż otuchy wlał mi w serce! Nie muszę być zazdrosna, ponieważ ona nic nie czuła! I ten człowiek twierdził, że rozumie ludzkie serce! Była tylko okaleczoną maszyną, a zresztą już go zapomniała; i ja miałam czerpać z tego pociechę? Ta prowokacyjna w swej wymowie pociecha sprawiła, że nie tylko nie myślałam mniej, lecz przeciwnie, więcej o tej dziwnej kobiecie, z którą kopułowaliśmy nad Nilem. Czyż można się bardziej od siebie różnić? Ja z Zachodu, ona ze Wschodu; ja cała, ona okaleczona; ja dzieliłam z Gustawem najgłębsze brzemie serca, ona dobiła z nim pospiesznego cielesnego targu; ja kobieta niezależna i mająca z czêgo żyć, ona — zamknięta w klatce stworzenie utrzymujące się ze spółkowania z mężczyznami; ja pedantyczna, staranna w ubiorze i kulturalna, ona brudna, śmierdząca i dzika. Może to wydać się dziwne, ale zaczęłam się nią interesować. Nie ulega wątpliwości, że awers jest zawsze zafascynowany swoim rewersem. Wiele lat później, kiedy pojechałam do Egiptu, próbowałam ją odnaleźć. Udałam się do Esneh. Znalazłam plugawą rudere, w której mieszkała, ale jej samej nie było. Może uciekła, kiedy dowiedziała się o moim przybyciu. Może to lepiej, że się nie spotkałyśmy; awers nie powinien oglądać rewersu.

Gustaw oczywiście upokarzał mnie od samego początku. Nie wolno mi było pisać do niego bezpośrednio; musiałam wysyłać listy przez Du Campa. Nie wolno mi było odwiedzać Croisset. Nie wolno mi było poznać jego matki, chociaż w rzeczywistości zostałam jej kiedyś przedstawiona w Paryżu, gdzieś na rogu ulicy. Przypadkiem wiem, że Mme Flaubert uważała, iż jej syn traktuje mnie wstrętnie.

Upokarzał mnie też w inny sposób. Kłamał. Źle wyrażał się o mnie wobec przyjaciół. W imię świętej prawdy ośmieszał większość z tego, co napisałam. Udawał, że nie wie, iż jestem strasznie biedna. Chełpił się faktem, że w Egipcie złapał miłosną chorobę od jakiejś prostytutki za pięć sous. Ordynarnie mścił się na mnie, publicznie wyszydzając w *Pani Bovary* pieczęć, którą dałam mu kiedyś jako znak miłości. On, który twierdził, że sztuka powinna być bezosobowa!

Proszę pozwolić, że szerzej opiszę, jak to Gustaw mnie upokarzał. Kiedy nasza miłość była jeszcze młoda, wymienialiśmy prezenty — małe znaki, często same w sobie bez znaczenia, ale zawierające to, co w dającym było najistotniejsze. Całymi miesiącami, ba, latami delectował się parą pantofli, które mu dałam; chyba już je spalił. Kiedyś przysłał mi

przycisk do papieru, ten przycisk do papieru, który spoczywał na jego biurku. Byłam tym bardzo wzruszona; wydawało się, że to najlepszy prezent, jaki jeden pisarz może wręczyć drugiemu: to, co poprzednio przyciskało jego prozę, miało teraz przyciskać moje wiersze. Może zbyt często tę sprawę komentowałam; może zbyt szczerze wyrażałam moją wdzięczność. Oto, co powiedział mi Gustaw: bez smutku rozstał się z tym przyciskiem do papieru, ponieważ ma inny, który równie dobrze spełnia swoje zadanie. Czy chcę wiedzieć, co to jest? Jeśli ty sobie tego życzysz — odparłam. Nowy przycisk do papieru — poinformował mnie — to fragment bezanmasztu — zrobił gest wskazujący na niezwykle rozmiary — który ojciec wydobył kleszczami porodowymi z zadka pewnego starego marynarza. Ów majtek — Gustaw ciągnął, jakby była to najlepsza historia, jaką zdarzyło mu się słyszeć od wielu lat — twierdził, zdaje się, że nie ma pojęcia, jakim sposobem kawałek masztu znalazł się w miejscu, w którym został odnaleziony. Gustaw odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Najbardziej intrygowało go, skąd dowiedziano się w takim razie, z którego masztu pochodził ten kawałek drewna.

Dlaczego tak mnie upokarzał? Chyba nie chodziło, jak często bywa w miłości, o to, że przymioty, które początkowo go zauroczyły — moja energia, poczucie wolności, poczucie równości wobec mężczyzn — w końcu zaczęły go drażnić. Nie chodziło o to, gdyż w ten dziwny i niedźwiedzi sposób zachowywał się od samego początku, nawet kiedy był we mnie najbardziej zakochany. W swoim drugim liście napisał: „Za każdym razem kiedy widziałem kołyskę, myślałem o grobie. Widok nagiej kobiety wywołuje wizję jej szkieletu”. Nie były to odczucia konwencjonalnego kochanka.

Może potomność łatwo znajdzie odpowiedź: pogardzał mną, gdyż byłam godna pogardy, a ponieważ był wielkim geniuszem, jego ocena musi być trafna. Nie było tak; nigdy tak nie jest. Bał się mnie: właśnie dlatego był wobec mnie taki okrutny. Bał się mnie na oba sposoby, pospolity i niepospolity. W pierwszym przypadku bał się mnie tak, jak wielu mężczyzn boi się kobiet: ponieważ ich kochanki (albo żony) rozumieją ich. Niektórych mężczyzn trudno uznać za dorosłych: chcą, żeby kobiety ich rozumiały, i w tym celu wyjawiają im wszystkie swoje sekrety; a następnie, kiedy zostaną właściwie zrozumiani, nienawidzą swoich kobiet za to, że ich rozumiały.

W drugim przypadku — ważniejszym — bał się mnie, gdyż bał się samego siebie. Bał się, że mógłby pokochać mnie bez reszty. Nie chodziło po prostu o przerażenie, że mogłabym wtargnąć do jego gabinetu i jego samotności; było to przerażenie, że mogłabym wtargnąć

do jego serca. Był okrutny, gdyż chciał się mnie pozbyć; ale chciał się mnie pozbyć, gdyż bał się, że mógłby pokochać mnie bez reszty. Powiem panu, w co po kryjomu wierzę: że dla Gustawa reprezentowałam — w sposób tylko częściowo przez niego rozumiany — życie, a odrzucenie mnie było tym gwałtowniejsze, że budziło w nim najgłębszy wstyd. I czy jest w tym jakaś moja wina? Kochałam go; czy to dziwne, że chciałam, by odwzajemnił moją miłość? Walczyłam nie tylko o moją sprawę, ale także o jego: nie rozumiałam, dlaczego nie miałby sobie pozwolić na miłość. Powiedział, że istnieją trzy wstępne warunki szczęścia — głupota, egoizm i dobre zdrowie — i że jest pewny jedynie posiadania drugiej z tych rzeczy. Spierałam się, walczyłam, ale on chciał wierzyć, że szczęście jest niemożliwe; dawało mu to jakąś dziwną pociechę.

Był człowiekiem trudnym do kochania — to nie ulega wątpliwości. Miał serce odległe i skryte; wstydział się swoich uczuć, ciągle się pilnował. Prawdziwa miłość może przeżyć nieobecność, śmierć i niewierność — powiedział któregoś razu — prawdziwi kochankowie mogą się nie widzieć i przez dziesięć lat. (Takie uwagi nie wywierały na mnie najmniejszego wrażenia; wywnioskowałam tylko, że czułby się wobec mnie swobodniej, jeśli bym była nieobecna, niewierna albo i martwa.) Lubił pochlebiać sobie, że mnie kocha; ale nigdy nie znałam mniej niecierpliwego kochanka. „Życie jest jak jazda konna — napisał mi kiedyś. — Kiedyś lubiłem galop, teraz cenię sobie jazdę stępą.” Kiedy to pisał, nie miał jeszcze trzydziestu lat; postanowił być stary, zanim jeszcze przyszła na to pora. Natomiast ja... galop! galop! wiatr we włosach, śmiech wydzierający się z piersi!

Pochlebiał swojej próżności, uważając, że mnie kocha; dawało mu to między innymi, jak sądzę, jakąś nie wyznaną rozkosz płynącą z ciągłej tęsknoty za moim ciałem, a jednocześnie ze stałego odmawiania go sobie; wyrzekanie się było dokładnie tak samo podniecające jak pobłażanie sobie. Zwykł powtarzać mi, że jestem w mniejszym stopniu kobietą niż większość kobiet; że jestem kobietą ciałem, ale mężczyzną duchem; że jestem hermaphrodite nouveau, trzecią płcią. Powtarzał mi wielokrotnie tę szaleńczą teorię, ale w rzeczywistości wmawiał to samemu sobie: im mniej dzięki jego zabiegom było we mnie kobiety, tym mniej musiał być dla mnie kochankiem.

W końcu zaczęłam uważać, że najbardziej oczekiwał ode mnie intelektualnego partnerstwa, romansu umysłów. W owych latach pracował ciężko nad *Panią Bovary* (aczkolwiek ta praca nie była chyba aż tak ciężka, jak lubił utrzymywać) i przy końcu dnia — jako że fizyczne odprężenie było dla niego zbyt skomplikowane i zawierało zbyt

wiele rzeczy, nad którymi nie byłby w stanie w pełni panować — myślał o odprężeniu intelektualnym. Zasiadał więc przy biurku, brał kartkę papieru i wyładowywał się we mnie. Nie uważa pan tego obrazu za pochlebny? Wcale nie chciałam, by takim był. Dni, kiedy lojalnie wierzyłam, jeśli chodzi o Gustawa, w rzeczy, które okazały się fałszem, już od dawna mam za sobą. Nawiasem mówiąc, nigdy nie pokropił moich piersi wodą z Missisipi; jedyny raz butelka pojawiła się między nami, kiedy posłałam mu trochę wody Taburel, żeby przestały mu wypadać włosy.

Ale ten romans umysłów wcale nie był łatwiejszy — mogę pana zapewnić — niż romans naszych serc. Gustaw był szorstki, niezręczny, okrutnie apodyktyczny i wyniosły; potem stawał się czuły, sentymentalny, żarliwy i oddany. Nie uznawał żadnych reguł. Nie chciał przyjąć w wystarczającym stopniu do wiadomości moich poglądów, tak jak nie chciał przyjąć wystarczająco do wiadomości moich uczuć. Oczywiście wiedział o wszystkim. Zakomunikował mi, że pod względem umysłowym osiągnął wiek lat sześćdziesięciu, ja zaś zaledwie dwudziestu. Zakomunikował mi, że jeśli będę zawsze pić wodę zamiast wina, dostanę raka żołądka. Zakomunikował mi, że powinnam wyjść za Victora Cousina. (Victor Cousin, skoro już przy nim jesteśmy, był zdania, że powinnam wyjść za Gustawa Flauberta.)

Przysyłał mi swoje utwory. Przysłał mi *Novembre*. Było to słabe i nijakie; oszczędziłam wszelkich komentarzy, chociaż wiedziałam swoje. Przysłał mi pierwszą *Szkołę uczuć*.; nie wywarła na mnie wielkiego wrażenia, ale czyż mogłam nie pochwalić? Skarcił mnie za to, że mi się spodobała. Przysłał mi *Kuszenie Świętego Antoniego*; szczerze podziwiałam to dzieło i powiedziałam mu o tym. Znowu mnie skarcił. Zapewnił mnie, że te partie tekstu, które mi się spodobały, były najłatwiejsze do napisania; zmiany, jakie ostrożnie zaproponowałam, pogorszyłyby tylko książkę — oświadczył. Był „zdumiony nadmiernym entuzjazmem”, jaki okazałam wobec *Szkoły uczuć*! Tak to jest, kiedy nieznany, nie publikowany prowincjusz postanawia podziękować sławnej paryskiej poetce (którą, jak sam twierdzi, kocha) za jej pochwalne słowa. Mój komentarz do jego dzieł miał wartość wyłącznie jako pretekst, który pozwalał mu pouczać mnie o Sztuce.

Oczywiście wiedziałam, że jest geniuszem. Zawsze uważałam go za wspaniałego prozaika. Nie doceniał mojego talentu, ale to jeszcze nie powód, żebym ja nie doceniała jego. Nie jestem taka jak ten obmierzły Du Camp, który z dumą przyznawał się do wielu lat przyjaźni z Gustawem, ale zawsze odmawiał mu geniuszu. Chodziłam na te kolacje, gdzie omawiano zasługi naszych współczesnych i gdzie Du Camp

zawsze, kiedy padało nowe nazwisko, umiał nieskończenie uprzejmie poprawiać ogólny pogląd. „No więc, Du Camp — zapytał w końcu ktoś odrobinę zniecierpliwiony — co myślisz o naszym drogim Gustawie?” Du Camp uśmiechnął się aprobująco i z afektowaną bezstronnością zaczął lekko uderzać końcami pięciu palców jednej ręki o końce pięciu palców drugiej. „Flaubert to pisarz wielkiej zasługi — odparł, używając nazwiska Gustawa w sposób, który mnie zaszokował — ale zły stan zdrowia nie pozwala mu zostać geniuszem.” Można by pomyśleć, że wprawiał się przed przystąpieniem do pisania pamiętników.

A moja twórczość! Naturalnie posyłałam swoje prace Gustawowi. Donosił mi, że mój styl jest ckliwy, niedbały i banalny. Uskarżał się, że tytuły są bez wyrazu, pretensjonalne i zalatują sawantką. Niby belfer pouczał mnie o różnicy między saisir a s'en saisir. Jeśli chciał mnie pochwalić, oznajmiał, że piszę tak naturalnie, jak kura znosi jaja, albo, kiedy już swoją krytyką zniszczył utwór, rzucał uwagę: „Wszystko, czego nie zaznaczyłem, wydaje mi się dobre albo doskonałe”. Powiedział, żebym pisała głową, a nie sercem. Powiedział, że włosy lśnią, kiedy są długo szczotkowane, i że to samo dotyczy stylu. Powiedział, żebym nie włączała siebie do utworów i żebym nie poetyzowała (jestem przecież poetką!). Powiedział, że kocham Sztukę, ale nie mam dla niej religijnej czci.

Oczywiście chciał, żebym zbliżyła się, w miarę moich możliwości, do jego sposobu pisania. Tę próżność często zauważałam u pisarzy; im wybitniejszy pisarz, tym jawniejsza będzie prawdopodobnie jego próżność. Sądzę, że wszyscy powinni pisać tak jak oni: oczywiście nie równie dobrze jak oni, ale w podobny sposób. Tak to góry tęsknią za podgórzem.

Du Camp powiadał, że Gustaw nie ma za grosz wyczucia poezji. Podzielać jego zdanie to niewielka przyjemność, ale zgadzam się z nim. Gustaw pouczał nas wszystkich o poezji — aczkolwiek były to wszystko raczej nauki Bouilheta niż jego własne — ale jej nie rozumiał. Sam nie pisał wierszy. Zwykł mawiać, że chce dać prozie siłę i rangę poezji; ale wydaje się, że część tego zamierzenia sprowadzała się przede wszystkim do przykrojenia poezji na jego własną miarę. Chciał, żeby jego proza była obiektywna, naukowa, wyzbyta osobistej obecności, wyzbyta poglądów; tak więc doszedł do wniosku, że poezję trzeba pisać według tych samych zasad. Proszę mi powiedzieć, jak pisać poezję miłosną, która byłaby obiektywna, naukowa i wyzbyta osobistej obecności. No, bardzo proszę. Gustaw nie ufał uczuciom; bał się miłości; i podniósł tę neurozę do rangi artystycznego credo.

Próżność Gustawa była nie tylko literacka. Uważał, że inni powinni

nie tylko pisać jak on, ale że również powinni tak jak on żyć. Lubił cytować mi Epikteta: „Cierp i panuj nad sobą”. I mówił to mnie! Kobiecie, poetce, i to poetce piszącej wiersze miłosne! Chciał, żeby wszyscy pisarze żyli w zapomnieniu na prowincji, nie zważali na naturalne porywy serca, gardzili szacunkiem i spędzali samotne mozolne godziny czytając niezrozumiałe teksty przy ogarku świecy. Cóż, jest to być może właściwy sposób hodowania geniusza; ale jest to również sposób na zduszenie talentu. Gustaw tego nie rozumiał; nie potrafił dostrzec, że mój talent zależny jest od przelotnych momentów, nagłych uczuć, niespodziewanych spotkań — to znaczy od życia.

Gustaw, gdyby tylko mógł, zrobiłby ze mnie pustelnicę; paryską pustelnicę. Zawsze doradzał mi, bym się z nikim nie spotykała; nie odpowiadała na te a te listy; nie traktowała zbyt serio tego a tego wielbiciela; nie brała sobie hrabiego X na kochanka. Twierdził, że broni mojej pracy i że każda godzina spędzona w towarzystwie jest godziną skradzioną pracy przy biurku. Ale ja pracowałam inaczej. Nie da się założyć jarzma ważce i zmusić jej do obracania kamieni młyńskich.

Oczywiście Gustaw przeczył, iżby była w nim jakaś próżność. Du Camp w jednej ze swoich książek — zapomniałam, w której, tyle ich ciągle było — napomknął o tym, jaki zły wpływ wywiera na mężczyznę zbyt wielka samotność; nazwał ją fałszywym doradcą, który hoduje na swym łonie bliźniaczych braci, Egotyzm i Próżność. Gustaw naturalnie potraktował to jako osobisty atak. „Egotyzm? — napisał do mnie. — Niechaj sobie będzie. Ale próżność? Nie. Duma to jedno: dzika bestia żyjąca w jaskiniach lub na pustyni. Próżność natomiast to papuga, która przeskakuje z gałęzi na gałąź i papla na oczach wszystkich.” Gustaw fantazjował, że jest dziką bestią — lubił myśleć o sobie jako o niedźwiedziu polarnym, dalekim, dzikim i samotnym. Przyjęłam to do wiadomości, nazywałam go nawet dzikim bawołem z amerykańskiej prerii; ale może w rzeczywistości był tylko papugą.

Sądzi pan, że jestem zbyt kostyczna? Kochałam go; dlatego mam prawo być kostyczna. Proszę posłuchać. Gustaw gardził Du Campem za to, że ten pragnął Legion d'honneur. Kilka lat później sam ją przyjął. Gustaw gardził salonowym towarzystwem. Dopóki nie został przyjęty przez księżniczkę Matylde. Czy słyszał pan o rachunku za rękawiczki, zapłaconym w czasach kiedy Gustaw sunął w lansadach przy blasku świec? Swojemu krawcowi winien był dwa tysiące franków, a dalszych pięćset za rękawiczki. Pięćset franków! Z tytułu praw autorskich za *Bovary* dostał zaledwie osiemset franków. Matka musiała sprzedać część ziemi, żeby go wykupić. Pięćset franków za rękawiczki! Białe niedźwiedź w białych rękawiczkach? Nie, nie: papuga, papuga w

rękawiczkach.

Wiem, co o mnie mówią; co powiedzieli jego przyjaciele. Powiedzieli, że byłam na tyle próżna, żeby przypuszczać, że mógłby mnie poślubić. Ale Gustaw przysyłał listy, w których opisywał, jak by to było, gdybyśmy wzięli ślub. Czy nie miałam zatem prawa do nadziei? Mówią, że okazałam próżność, udając się do Croisset i robiąc żenującą scenę na progu jego domu. Ale kiedy poznałam Gustawa, często pisał mi o tym, że już wkrótce zjawię się u niego z wizytą. Czy więc nie miałam prawa do nadziei? Mówią, że w mojej próżności spodziewałam się, iż będę dzielić z nim kiedyś autorstwo jakiegoś dzieła literackiego. Ale powiedział mi, że jedno z moich opowiadań jest arcydziełem i że jeden z moich wierszy poruszyłby kamień. Czy więc nie miałam prawa do nadziei?

Wiem również, co stanie się z nami, kiedy oboje umrzemy. Potomność pochopnie wyciągnie określone wnioski: taka już jest jej natura. Ludzie staną po stronie Gustawa. Zbyt szybko mnie rozszyfrują; moją szczodrość obrócą przeciwko mnie i będą mną pogardzać z powodu kochanków, których miałam; uznają mnie za kogoś, kto — przez krótki wprawdzie okres — stanowił jednak zagrożenie dla ksiązek, które z przyjemnością przeczytali. Ktoś — może sam Gustaw — spali moje listy; jego własne (które starannie zachowałam, jakże bardzo wbrew własnym moim interesom) przetrwają i potwierdzą uprzedzenia tych, którzy są zbyt gnuśni, żeby rozumieć. Jestem kobietą, a również pisarką, która swoją część sławy zużyła za życia; i w tych dwóch zakresach nie spodziewam się od potomności wielkiego zmiłowania ani zbyt wielkiego zrozumienia. Czy zależy mi na tym? Naturalnie. Ale dzisiejszego wieczoru nie jestem w mściwym nastroju; jestem zrezygnowana. Zapewniam. Proszę raz jeszcze przesunąć palce aż do mojego nadgarstka. Tutaj: mówiłam już panu.

12. SŁOWNIK BRAITHWAITE'A OBIEGOWYCH WYOBRAŻEŃ

ACHILLES

Starszy brat Gustawa. Ponuro wyglądający młodzieniec z długą brodą. Zawód i imię odziedziczył po ojcu. To, że Achilles spełnił rodzinne oczekiwania, dało Gustawowi wolność i pozwoliło zostać artystą. Umarł na rozmiękczenie mózgu.

BOUILHET, LUDWIK

Literackie sumienie Gustawa, jego położna, cień, lewe jądro i

sobowtór. Drugie imię — Hiacynt. Mniej udany Doppelgänger, jakiego potrzebuje każdy wielki człowiek. Cytuj z lekką dezaprobatą jego szarmancką uwagę skierowaną do zażenowanego dziewczęcia: „Kiedy piersi są jak deska, człowiek jest bliżej serca”.

COLET, LUIZA

a. Nudna, natrętna, nijaka kobieta, której brakowało tak talentu, jak i zrozumienia dla geniuszu innych, która próbowała złowić Gustawa na męża. Wyobraź sobie tylko te wrzaski dzieci! Wyobraź sobie nieszczęsnego Gustawa! Wyobraź sobie Gustawa szczęśliwego!

b. Dzielna, namiętna, głęboko nie rozumiana kobieta, udręczona miłością do wyzbytego serca, nieznośnego, prowincjonalnego Flauberta. Słusznie skarżyła się: „Gustaw nie pisze mi o niczym poza sztuką i sobą samym”. Prototyp feministki, która zgrzeszyła tym, że chciała uszczęśliwić drugiego człowieka.

DU CAMP, MAKSYM

Fotograf, podróżnik, karierowicz, historyk Paryża, akademik. Pisał stalówką, podczas gdy Gustaw zawsze używał gęsiego pióra. Ocenzuował *Panią Bovary* dla „Revue de Paris”. Bouilhet jest literackim alter ego Gustawa, Du Camp zaś alter ego na terenie towarzyskim. Został wyklęty przez środowisko literackie, kiedy w swoich pamiętnikach napisał o epilepsji Gustawa.

DZIWKI

Niezbędne w dziewiętnastym wieku dla zarażenia się syfilisem, bez którego nikt nie mógł rościć sobie pretensji do miana geniusza. Wśród posiadaczy szkarłatnej wstęgi za odwagę znaleźli się Flaubert, Daudet, Maupassant, Jules de Goncourt, Baudelaire i in. Czy jakiegoś pisarza to ominęło? Jeśli tak, był prawdopodobnie homoseksualistą.

EPILEPSJA

Strategia, która pozwoliła pisarzowi Flaubertowi ominąć konwencjonalną karierę, a Flaubertowi-człowiekowi ominąć życie. Pytanie tylko, na jakim poziomie psychologicznym ta taktyka była rozwinięta. Czy jej symptomy stanowiły zjawisko intensywnie psychosomatyczne? Sprawa byłaby zbyt banalna, gdyby miał po prostu epilepsję.

FLAUBERT, GUSTAW

Pustelnik z Croisset. Pierwszy nowoczesny powieściopisarz. Ojciec

realizmu. Kat romantyzmu. Pomost między Balzakiem a Joyce'em. Prekursor Prousta. Niedźwiedź w mateczniku. Antymieszczkański mieszcuch. W Egipcie „ojciec Własacz”. Święty Polikarp; Cruchard; Quarafon; Vicaire-General; major; starszy pan; salonowy idiota. Wszystkie te tytuły zyskał człowiek obojętny na szlacheckie formy tytułowania: „Honory przynoszą dyshonor, tytuły poniżają, urzędy ogłupiają”.

GONCOURTOWIE

Pamiętaj, co napisali Goncourtowie o Flaubercie: „Chociaż całkowicie otwarty z natury, nigdy nie jest do końca szczery w tym, co powiada o swoich uczuciach, cierpieniach, miłościach”. Następnie pamiętaj, co wszyscy inni powiedzieli o Goncourtach: zawistni, niegodni zaufania bracia. Przypomnij sobie następnie niewiarygodność Du Campa, Luizy Colet, siostrzenicy Flauberta, samego Flauberta. Zadawaj bezkompromisowe pytanie: Jakże możemy kogokolwiek poznać?

HERBERT, JULIET

„Miss Juliet”. Moralność dziewiętnastowiecznych angielskich guwernantek za granicą nie spotkała się jeszcze z należyтым zainteresowaniem środowisk naukowych.

IRONIA

Nowoczesna moda: albo diabelskie piętno, albo rurka, przez którą rozsądek może wdychać tlen. Twórczość Flauberta stawia nas wobec pytania: czy ironia wyklucza współczucie? W jego Słowniku nie ma hasła IRONIA. Jak na ironię, być może.

JEAN-PAUL SARTRE

Dziesięć lat spędził na pisaniu *L'Idiot de la famille*, chociaż mógł ten czas wykorzystać na pisanie maoistowskich ulotek. Luiza-intelektualistka, bez ustanku narzucająca się Gustawowi, który pragnął tylko tego, żeby zostawić go w spokoju. Wniosek: „Lepiej lata starcze roztrwonić, niż nie zrobić z nimi nic”.

KICHOTE, DON

Czy Gustaw był starym romantykiem? Jego sercu bliski był wizerunek zagubionego rycerza-marzyciela, zdanego na łaskę wulgarnego, materialistycznego społeczeństwa. „Madame Bovary, c'est moi” — to aluzja do odpowiedzi udzielonej przez Cervantesa, kiedy pytano go na łożu śmierci, skąd wziął swojego sławnego bohatera. Por.

Transwestytyzm.

KSYLOFON

Nie ma źródeł pozwalających ustalić, czy Flaubert słuchał kiedykolwiek ksylofonu. Saint-Saëns wykorzystał ten instrument w swoim *Danse Macabre* z 1874 r., by zasugerować grzechot kości; to mogło rozbawić Gustawa. Może słyszał w Szwajcarii glockenspiel.

KUCHUK HANEM

Papierek lakmusowy. Gustaw musiał wybierać między egipską kurtyzaną a paryską poetką — pluskwy, olejek sandałowy, wygolony wzgórek łonowy, clitoridectomia i syfilis przeciwko czystości, lirycznej poezji, względnej wierności seksualnej i prawom kobiet. Oba warianty znakomicie się, według niego, uzupełniały.

LISTY

Idź za Gide'em i nazywaj listy Flauberta arcydziełami. Idź za Sartre'em i nazywaj je doskonałym przykładem swobodnej gry skojarzeń z prefreudowskiego łoża. Potem kieruj się własnym wyczuciem.

MME FLAUBERT

Strażnik więzienny Gustawa, jego powiernica, pielęgniarzka, pacjentka, bankier i krytyk. Powiedziała: „Twoja mania tworzenia sentencji wysuszyła ci serce”. Uznał tę uwagę za „subtelną”. Por. George Sand.

NORMANDIA

Zawsze mokra. Zamieszкана przez szczwany, dumny, milczący lud. Przechyl głowę na bok i wygłoś uwagę: „Oczywiście nie można zapominać, że Flaubert pochodził z Normandii”.

PRUSACY

Wandale w białych rękawiczkach, złodzieje zegarków znający sanskryt. Bardziej przerażający niż kanibale czy komunardzi. Kiedy Prusacy wycofali się z Croisset, dom trzeba było okadzić.

REALIZM

Czy Gustaw był nowym realistą? Zawsze publicznie wypierał się tej marki: „Napisałem *Panią Bovary* właśnie dlatego, że nienawidzę realizmu”. Galileusz publicznie zaprzeczył, jakoby Ziemia obracała się

wokół Słońca.

SAND, GEORGE

Optymistka, socjalistka, humanistka. Pogardzana, nim się ją poznało, kochana potem. Druga matka Flauberta. Po pobycie w Croisset przysłała Flaubertowi swoje dzieła wszystkie (w 77-tomowym wydaniu).

TRANSWESTYTYZM

Gustaw w pierwszych latach męskich: „Są dni, kiedy człowiek chciałby być kobietą”. Gustaw dojrzały: „Madame Bovary, c'est moi”. Kiedy któryś z lekarzy nazwał go „histeryczną starą babą”, uznał tę uwagę za „głęboką”.

USA

Wzmianki o kraju wolności rzadko spotyka się u Flauberta. O przyszłości napisał: „Będzie utylitarna, militarystyczna, amerykańska i katolicka — bardzo katolicka”. Prawdopodobnie przedkładał Kapitol nad Watykan.

WOLTER

Co wielki dziewiętnastowieczny sceptyk myślał o wielkim osiemnastowiecznym sceptyku? Czy Flaubert był Wolterem swoich czasów? Czy Wolter był Flaubertem swoich czasów? „Histoire de l'esprit humain, histoire de la sottise humaine.” Który z nich to powiedział?

WSCHÓD

Tygiel, w którym hartowała się *Pani Bovary*. Flaubert opuścił Europę jako romantyk, a wrócił ze Wschodu jako realista. Por. Kuchuk Hanem.

YVETOT

„Zobaczyć Yvetot i umrzeć.” Jeśli zapytają o źródło tego mało znanego epigramatu, uśmiechnij się tajemniczo i zachowaj milczenie.

ZOLA, EMIL

Czy wielki pisarz ponosi odpowiedzialność za swoich uczniów? Kto kogo wybiera? Jeśli nazywają cię mistrzem, czy możesz pozwolić sobie na pogardzanie ich dziełami? Z drugiej strony, czy są szczerzy w swoich pochwałach? Kto kogo bardziej potrzebuje: uczeń mistrza czy mistrz ucznia? Dyskutuj, nie wyciągając ostatecznych wniosków.

13. WYŁĄCZNIE HISTORIA

Jest to czysta historia, bez względu na to, co możesz sobie pomyśleć.

Po jej śmierci nie czujesz się w pierwszej chwili zaskoczony. Jakiś fragment miłości przygotowuje do śmierci. Po jej śmierci czujesz się utwierdzony w swojej miłości. Pojmujesz to właściwie. Taka jest kolej rzeczy.

Potem przychodzi szaleństwo. I wraz z nim samotność: nie spektakularna samotność, jaką sobie wyobrażałeś, nie interesująca martyrologia wdowiego stanu, ale po prostu samotność. Spodziewasz się czegoś niby wstrząs tektoniczny — zawrotu głowy w spiętrzonej wąwozie — ale nic z tych rzeczy; tylko niedola i cierpienie, regularne jak codzienna praca. Co na to my, lekarze? Bardzo mi przykro, pani Blank; oczywiście, czeka panią okres żałoby, ale zapewniam, że wyjdzie pani z tego; proponuję dwie tabletki co wieczór; może jakieś nowe hobby, pani Blank; majsterkowanie przy samochodzie, taniec w zespole? Proszę się nie martwić, za pół roku wróci pani do normalnego życia; proszę się kiedyś pokazać, zawsze do usług; siostró, jak wpadnie, proszę jej dać tę receptę, jeszcze raz to samo; nie, nie ma potrzeby, żebym ją przyjmował, przecież to nie ona umarła, prawda? Proszę spojrzeć na to od jaśniejszej strony. Jakie nazwisko podała?

A potem spotyka to ciebie. Nic zaszczytnego. Żałoba w pełnym wymiarze czasu; nic tylko czas. Bouvard i Pécuchet zapisują w swoich „Copie” poradę, jak zapomnieć o przyjaciółach, którzy zmarli: Trotulas (ze szkoły salerneńskiej) powiada, że trzeba spożyć faszerowane serce lochy. Może się zdarzyć, że sięgnę jeszcze po to remedium. Próbowałem pić, ale co to daje? Picie sprawia, że stajesz się pijany, i tyle, nic ponad to. Praca — mówią — jest lekarstwem na wszystko. Nieprawda; często nie powoduje nawet zmęczenia: najwięcej, co możesz osiągnąć, to neurotyczny letarg. No i zawsze jest jeszcze czas. Potrzeba ci trochę czasu. Nie spiesz się. Dodatkowy czas. Czas ciężący na twoich barkach.

Ludzie myślą, że jesteś spragniony pogawędki. „Chcesz porozmawiać o Ellen?” — pytają, dając do zrozumienia, że nie poczują się zakłopotani, jeśli się załamiesz. Czasem mówisz, czasem nie; różnica prawie żadna. Słowa są niewłaściwe; albo raczej nie ma słów właściwych. „Mowa ludzka jest jak pęknięty kocioł, na którym wygrywamy muzykę, by tańczyły przy niej niedźwiedzie, chociaż marzymy o tym, by wzbudzić współczucie w gwiazdach.” Mówisz i stwierdzasz, że język osierocenia jest straszliwie nieadekwatny do poczucia straty. Robisz wrażenie, jakbyś mówił o bólu innego człowieka. Kochałem ją; byliśmy szczęśliwi; brak mi jej. Nie kochała mnie; byliśmy nieszczęśliwi; brak mi jej. Oferta modlitw jest

ograniczona: odklepuj sylaby.

„Może to wygląda paskudnie, Geoffrey, ale wyjdiesz z tego. Nie traktuję wcale lekko twojej rozpacz; po prostu znam życie i wiem, że z tego wyjdiesz.” Słowa, jakie sam wypowiadałeś, gryzmołąc recepty. (Nie, pani Blank, nawet jakby pani łyknęła wszystkie, i tak by pani nie umarła.) I rzeczywiście, wychodzisz z tego. Po roku, po pięciu latach. Ale nie tak jak pociąg wyjeżdżający z tunelu, mknący przez Downs w słońcu i gładko, żwawo pędzący w stronę Kanału; wychodzisz tak jak mewa z kałuży smaru. Na resztę życia jesteś już obtoczony w smole i pierzu.

I nadal codziennie o niej myślisz. Czasem, znużony tym, że kochasz ją po śmierci, wyobrażasz sobie, że wraca do życia, żeby porozmawiać, żeby pochwalić. Flaubert ubierał swoją gospodynię w starą kraciastą suknię zmarłej matki i sam siebie zaskakiwał apokryficzną rzeczywistością. Skutkowało, a zarazem zawodziło: siedem lat po pogrzebie nadal wybuchał łzami na widok tej starej sukni, krążącej po domu. To sukces czy porażka? Uczczenie jej pamięci czy pobłażanie sobie? I czy spostrzegamy, że w pewnej chwili zaczynamy hołubić nasz smutek i czerpać z niego próżną uciechę? „Smutek jest przywarą” (1878).

Albo też próbujesz ominąć jej wizerunek. Kiedy dzisiaj przypominam sobie Ellen, próbuję myśleć o burzy gradowej, która skarciła Rouen w 1853 r. „Pierwszorzędna burza gradowa” — skomentował to Gustaw w liście do Luizy. W Croisset zniszczeniu uległy szpalery; kwiaty posiekane na kawałki; ogródki warzywne wywrócone do góry nogami. Gdzie indziej zniszczeniu uległy zbiory i porozbijane zostały szyby okienne. Jedynie szklarze byli uszczęśliwieni; szklarze i Gustaw. Rozkoszował się tymi jatkami: w ciągu pięciu minut Natura przywróciła prawdziwy porządek rzeczy, przewyciężając ten krótkotrwały, sztuczny porządek, który człowiek w swoim mniemaniu wprowadził. Czy istnieje coś głupszego — pyta Gustaw — niż klosz do przykrywania melonów? Zachwyca się gradem, który potłukł szyby. „Ludzie zbyt łatwo przyjmują, że słońce jest po to, by rosła kapusta.”

Ten list zawsze mnie uspokaja. Słońce nie jest po to, by rosła kapusta, a wszystko, co opowiadam, to czysta historia.

Przyszła na świat w 1920 r., wyszła za mąż w 1940 r., rodziła dzieci w 1942 i 1946 r., umarła w 1975 r.

Zacznę od nowa. Oczekuje się, że ludzie małego wzrostu są akuratni; ale Ellen nie była akuratna. Mierzyła niewiele ponad pięć stóp, poruszała się jednak niezgrabnie, ciągle na coś wpadała i potykała się. Łatwo robiły jej się siniaki, ale nawet tego nie zauważała. Kiedyś chwyciłem ją

za ramię, kiedy już-już wchodziła, nie rozejrzawszy się, na jezdnię przy Piccadilly i, chociaż ubrana była w płaszcz i bluzkę, następnego dnia na jej ramieniu zobaczyłem purpurowy odcisk, jakby chwytu robota. Nic o tym nie powiedziała, a kiedy wskazałem jej ramię, nie mogła sobie przypomnieć tego incydentu.

Zacznę od nowa. Była ukochaną jedynaczką. Była ukochaną jedyną żoną. Była kochana, jeśli to słowo jest właściwe, przez tych, których, jak sądzę, powinienem nazwać jej kochankami, chociaż jestem pewien, że słowo to zbyt wiele godności nadaje niektórym z nich. Kochałem ją; byliśmy szczęśliwi; brak mi jej. Nie kochała mnie; byliśmy nieszczęśliwi; brak mi jej. Może miała po dziurki w nosie tego, że się ją kocha. W wieku dwudziestu czterech lat Flaubert powiedział, że jest „dojrzały — co prawda dojrzały przedwcześnie. Ale to dlatego, że wychowano mnie w szklarni”. Czy za bardzo ją kochano? Większość ludzi nie może być kochana za bardzo, ale Ellen owszem, mogła. A może po prostu miała odmienną koncepcję miłości; dlaczego zawsze zakładamy, że wszyscy podchodzą tak samo do tej sprawy? Może dla Ellen miłość była tylko portem Mulberry, przystanią na wzburzonym morzu. Tutaj nie da się żyć: musisz wygramolić się na brzeg; no, dalej! A stara miłość? Stara miłość to zardzewiały czołg pełniący straż nad monumentem z kamiennych płyt: kiedyś coś tutaj wyzwolono. Stara miłość to rząd koszy plażowych w listopadzie.

W wiejskim pubie, daleko od domu, podsłuchałem kiedyś dwóch mężczyzn rozmawiających o Betty Corrinder. Być może ortografia nazwiska nie jest właściwa, ale takie było jego brzmienie. Betty Corrinder, Betty Corrinder — nigdy nie powiedzieli po prostu Betty albo ta Corrinder, albo jeszcze jakoś inaczej, lecz zawsze Betty Corrinder. Była, jak się zdaje, odrobinę za szybka; aczkolwiek ci, którzy stoją w miejscu, mają oczywiście przesadne odczucie szybkości. Otóż ta Betty Corrinder była szybka i mężczyźni z pubu chichotali zawistnie. „Wiesz, co mówią o Betty Corrinder.” Było to stwierdzenie, nie zaś pytanie, chociaż pytanie też się pojawiło. „Jaka jest różnica między Betty Corrinder a wieżą Eiffla? No, jaka jest różnica między Betty Corrinder a wieżą Eiffla?” Moment zawieszenia, nim pytający łaskawie podzieli się swą wiedzą z innymi. „Nie wszyscy byli na wieży Eiffla.”

Zarumieniłem się z powodu mojej żony, która przebywała dwieście mil stamtąd. Czy gdzieś, gdzie grasowała, jacyś zawistni mężczyźni opowiadali sobie o niej kawały? Nie wiedziałem. Zresztą przesadzam. Może się nie zarumieniłem. Może nie zależało mi na tym. Moja żona nie była jak Betty Corrinder, bez względu na to, jaka owa Betty Corrinder była.

W 1872 r. wiele dyskutowano we francuskich kręgach literackich na temat tego, jak należy traktować cudzołożne kobiety. Czy mąż powinien taką kobietę ukarać, czy też jej wybaczyć? Aleksander Dumas syn w *L'Homme-Femme* przedstawił nieskomplikowaną radę: „Zabij ją!” Jego książka miała trzydzieści siedem wznowień w ciągu roku.

Na początku czułem się urażony; dotykało mnie to, jałem mieć o sobie gorsze mniemanie. Moja żona chodziła do łóżka z innymi mężczyznami: czy powinienem się tym trapić? Ja nie sypiałem z innymi kobietami: czy powinienem się tym trapić?

Ellen była dla mnie zawsze miła: czy powinienem się tym trapić? Była miła nie z cudzołożnego poczucia winy, ale po prostu miła. Pracowałem ciężko; była dla mnie dobrą żoną. W dzisiejszych czasach tak się nie mówi, ale była dla mnie dobrą żoną. Nie miałem żadnych romansów, ponieważ nie byłem nimi wystarczająco zainteresowany; zresztą stereotyp flirtującego lekarza jest odrobinę odpychający. Ellen miała romanse, gdyż, jak przypuszczam, była nimi wystarczająco zainteresowana. Byliśmy szczęśliwi; byliśmy nieszczęśliwi; brak mi jej. „Czy brać życie na serio to postawa wspaniała czy też głupia?” (1855).

Trudno mi natomiast opisać, jak to wszystko nie pozostawiało w niej żadnej skazy. Nie była zepsuta, jej duchowość nie spospolitowała się; nigdy nie zaciągała długów. Czasem była poza domem odrobinę dłużej, niż wydawało się właściwe; z przeciągających się wypraw na zakupy często przynosiła podejrzenie mało sprawunków (nie zwracała na to aż takiej uwagi); tych kilka dni w mieście, żeby odrobić zaległości teatralne, zdarzało się częściej, niżbym sobie życzył. Ale była honorowa: jeśli kłamała, to tylko na temat swojego sekretnego życia. W tym zakresie kłamała impulsywnie, brawurowo, prawie żenująco; poza tym mówiła prawdę. Przypomina mi się zdanie użyte przez oskarżyciela *Pani Bovary* dla scharakteryzowania sztuki Flauberta: powiedział, że jest ona „realistyczna, ale niedyskretna”.

Czy żona, która nabiera blasku wskutek cudzołóstwa, staje się w oczach męża bardziej godna pożądania? Nie; ani mniej, ani bardziej. To przyczynek do tego, co rozumiem przez stwierdzenie, że nie była zepsuta. Czy okazywała tę tchórzliwą potulność, którą Flaubert opisuje jako charakterystyczną dla cudzołożnicy? Nie. Czy, jak Emma Bovary, „odnalazła w cudzołóstwie całą pospolitość małżeństwa”? Nie rozmawialiśmy na ten temat. (Przypis. W pierwszym wydaniu *Pani Bovary* mamy „całą pospolitość jej małżeństwa”. W wydaniu z 1862 r. Flaubert zamierzał opuścić słowo „jej”, by w ten sposób nadać ogólniejszy charakter atakowi. Bouilhet doradzał ostrożność — minęło ledwie pięć lat od procesu — iw ten sposób zaimek dzierżawczy, który

obejmuje tylko Emmę i Karola, przetrwał w wydaniach z 1862 i 1869 r. W końcu został opuszczony, a uogólnione oskarżenie nabrało mocy urzędowej w wydaniu z 1873 r.) Czy uznała, że — używając słów Nabokova — cudzołóstwo jest najbardziej konwencjonalnym sposobem wzniesienia się ponad konwencjonalność? Nie sędzę: Ellen nie myślała tymi kategoriami. Nie była świadomie buntowniczym, wolnym duchem; była zagonioną, pędzącą prosto przed siebie, wyrywającą się na wolność, wymykającą się z domu kobietą. Może to ja sprawilem, że stała się gorsza; może ci, którzy wybaczą i świata poza kimś nie widzą, są bardziej irytujący, niż mogliby podejrzewać. „Zaraz po torturze, jaką jest życie bez ukochanej osoby, idzie tortura, jaką jest życie z osobą, której się nie kocha” (1847).

Mierzyła nieco ponad pięć stóp; miała szeroką gładką twarz, łatwo różowiejącą na policzkach; nigdy się nie rumieniła; jej oczy — jak już powiedziałem — były zielonkawoniebieskie; stroiła się we wszystko, co poczta pantoflowa mody damskiej nakazywała na siebie wdziawać; łatwo wybuchała śmiechem, łatwo nabawiała się siniaków; ciągle na coś wpadała. Pędziła do kina, choć oboje wiedzieliśmy, że jest zamknięte; w lipcu chodziła na zimowe wyprzedaże; wyjeżdżała, żeby spędzić jakiś czas z kuzynem, od którego następnego ranka po jej wyjeździe przychodziła widokówka wakacyjna nadana w Grecji. Nagłość tych przedsięwzięć świadczyła o czymś głębszym niż pożądanie. W *Szkole uczuć* Fryderyk wyjaśnia Mme Arnoux, że wziął sobie Rozanettę na kochankę „z rozpaczy, jak ktoś pragnący popełnić samobójstwo”. To przebiegła obrona, ale prawdopodobna.

Jej sekretne życie ulegało zawieszeniu, kiedy przyjeżdżały dzieci, a wracała do niego, kiedy znowu wyjeżdżały do szkoły. Czasem jakiś przypadkowy przyjaciel próbował otworzyć mi oczy. Dlaczego myślą, że chcesz wiedzieć? Albo raczej, dlaczego sądzą, że jeszcze nie wiesz — dlaczego nie pojmują, że miłość z natury swej jest nieustępliwie ciekawa? I dlaczego ci prowizoryczni przyjaciele nigdy nie informują o ważniejszej sprawie: że nie jesteś już kochany? Nabrałem biegłości w zmienianiu tematu rozmowy, w mówieniu o tym, o ile bardziej Ellen jest ode mnie towarzyska, w napomykaniu, że lekarze to chętnie skalowana grupa zawodowa, w zadawaniu pytań typu: Czytał pan o tej straszliwej powodzi w Wenezueli? W takich sytuacjach zawsze miałem uczucie, być może niesłusznie, że jestem nielojalny wobec Ellen.

Byliśmy dosyć szczęśliwi; tak się przecież mówi, prawda? W jakim stopniu szczęśliwy jest ktoś dosyć szczęśliwy? Brzmi to jak błąd gramatyczny — dosyć szczęśliwy, zupełnie jak raczej jedyny — ale zaspokaja potrzebę ujęcia tego w słowa. I, jak powiedziałem, nie

zadłużała się. Obie panie Bovary (zapomina się, że Karol ożenił się dwukrotnie) zostały powalone przez pieniądze; moja żona nigdy taka nie była. Ani też, o ile wiem, nie przyjmowała podarunków.

Byliśmy szczęśliwi; byliśmy nieszczęśliwi; byliśmy dosyć szczęśliwi. Czy rozpacz to coś złego? Czy nie stanowi naturalnego stanu po osiągnięciu pewnego wieku? Przeżywam ją teraz, ona — wcześniej. Po przeżyciu określonej liczby wydarzeń, cóż pozostaje poza powtarzaniem i pomniejszaniem? Kto chce dalej żyć? Ekscentrycy, zakonnicy, artyści (czasem); ci, którzy mają fałszywe poczucie własnej wartości. Miękki ser zapada się; twardy twardnieje. Oba pleśnieją.

Muszę zaryzykować parę hipotez. Muszę beletryzować (choć nie to miałem na myśli, mówiąc o czystej historii). Nigdy nie rozmawialiśmy o jej sekretnym życiu. Muszę więc wymyślić sobie drogę do prawdy. Ellen miała mniej więcej pięćdziesiąt lat, kiedy zaczęła miewać humory. (Nie, nie o to chodzi: była zawsze zdrowa; klimakterium przeszła szybko, prawie niezauważalnie.) Poznała, co to mąż, dzieci, kochankowie, praca. Dzieci opuściły dom; mąż był zawsze ten sam. Miała przyjaciół i to, co nazywa się zainteresowaniami; aczkolwiek, w przeciwieństwie do mnie, nie uwielbiała żarliwie żadnego zmarłego cudzoziemca — co być może dodałoby jej otuchy. Sporo podróżowała. Nie miała żadnych nie spełnionych ambicji (choć „ambicja”, jak sądzę, jest przeważnie zbyt mocnym słowem dla określenia impulsu, który nakazuje ludziom robić rozmaite rzeczy). Nie była religijna. Czy warto kontynuować to wyliczanie?

„Ludzie tacy jak my muszą mieć religię rozpacz. Trzeba dorównać swojemu przeznaczeniu, to znaczy być równie jak ono niewzruszonym. Powtarzając sobie: «Tak już jest! Tak już jest!» i patrząc w mroczną otchłań pod stopami, człowiek zachowuje spokój.” Ellen nie miała nawet tej religii. Czemuż by. miała mieć? Ze względu na mnie? Ludzi pogrążonych w rozpacz nakłania się zawsze do powściągnięcia egoizmu, do zwrócenia się ku innym. To chyba nie w porządku. Dlaczego obarczać ich troską o dobro innych, skoro troska o własne wystarczy, by przygiąć ich do ziemi?

Być może było coś jeszcze. Niektórzy ludzie, w miarę jak posuwają się w latach, nabierają coraz większego przekonania o ważności swojej osoby. Inni na odwrót, tracą to przekonanie. Czy ma to dla mnie jakieś znaczenie? Czyż moje zwykłe życie nie zostało podsumowane, zamknięte, pozbawione celu przez czyjeś odrobinę mniej zwyczajne życie? Nie twierdzę, że mamy negować własną wartość w obliczu ludzi, których uznajemy za bardziej od nas interesujących. Ale życie jest pod tym względem trochę jak lektura. Jak już powiedziałem: Gdyby

wszystkie twoje reakcje na książkę zostały skopiowane i rozszerzone przez zawodowego krytyka, czemu niby miałbyś podejmować trud czytania? Tylko dlatego, że chodzi o twoje czytanie. Podobnie, na cóż przeżywać własne życie? Bo jest ono twoje. Co jednak, jeśli taka odpowiedź staje się stopniowo coraz mniej przekonująca?

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie twierdzę, że sekretne życie Ellen doprowadziło ją do rozpacz. Na Boga, przecież jej życie nie jest opowiastką z morałem. Niczyje życie nie jest taką opowiastką. Mówię tylko, że zarówno jej sekretne życie, jak i jej rozpacz zamieszkiwały tę samą komnatę w głębi jej serca, dla mnie niedostępną. Nie byłem w stanie ich dosięgnąć. Czy próbowałem? Oczywiście. Ale wcale nie byłem zdziwiony, kiedy zaczęły nachodzić ją humory. „Być głupim, samolubnym i w dobrym zdrowiu to trzy warunki szczęścia — aczkolwiek jeśli brak głupoty, pozostałe są bezużyteczne.” Moja żona dysponowała jedynie dobrym zdrowiem.

Czy życie stało się lepsze? Któregoś wieczoru zobaczyłem w telewizji, jak zadano to pytanie pewnemu poecie-laureatowi. „Jedyna rzecz, która jest według mnie w dzisiejszych czasach bardzo dobra, to technika dentystyczna” — odparł; nic poza tym nie przychodzi do głowy. Czyżbyśmy mieli tu do czynienia z odwiecznym uprzedzeniem? Nie przypuszczam. Kiedy jest się młodym, sądzi się, że starzy lamentują nad pogorszeniem się życia, gdyż w ten sposób łatwiej im umierać bez żalu. Kiedy człowiek się starzeje, zaczyna go niecierpliwic to, że młodzi tak entuzjastycznie witają każde najdrobniejsze ulepszenie — wynalezienie jakiegoś nowego zaworu albo koła zębatego — nie zwracając sobie przy tym głowy panującym na świecie barbarzyństwem. Nie mówię, że wszystko stało się gorsze; mówię tylko, że młodzi nie dostrzegliby, nawet gdyby wszystko zmierzało ku gorszemu. Dawne czasy były dobre, ponieważ byliśmy młodzi i nieświadomi tego, jak bardzo nieświadomi bywają ludzie młodzi.

Czy życie stało się lepsze? Podam moją odpowiedź, mój odpowiednik techniki dentystycznej. Jedyną dobrą rzeczą w obecnym życiu jest śmierć. Co prawda nadal istnieją możliwości ulepszeń. Ale mam na myśli te wszystkie dziewiętnastowieczne umierania. Śmierć pisarza nie jest żadną szczególną śmiercią; po prostu zdarza się, że zostaje ona opisana. Myślę o Flaubercie leżącym na swojej sofie, powalonym — któż może powiedzieć z takiego dystansu? — przez epilepsję, apopleksję albo syfilis, albo przez jakiś złośliwy splot tych trzech chorób. A jednak Zola nazwał tę śmierć *une belle mort* — zostać zmiażdżonym jak owad ogromnym paluchem. Myślę o Bouilhecie i jego końcowym obłędzie, o tym Bouilhecie, który gorączkowo układał w głowie nową sztukę,

oświadczając, że Gustaw musi ją przeczytać. Myślę o tym, jak powolnie marniał Jules de Goncourt: najpierw zająkiwał się przy spółgłoskach, przy czym „c” zmieniało się w jego ustach w „t”; potem nie był w stanie przypomnieć sobie tytułów własnych książek; potem nasunęła mu się na twarz wynędzniała maska imbecylności (to słowa jego brata); a wreszcie, na łożu śmierci, zawładnęły nim wizje, wpadał w panikę i miał chrapliwy oddech, który brzmiał (znowu wedle słów jego brata) jak piła zagłębiająca się w wilgotne drewno. Myślę o Maupassancie powoli rozkładającym się wskutek tej samej choroby, przewiezionym w kaftanie, bezpieczeństwa do Passy, do sanatorium doktora Blanche’a, który zabawiał paryskie salony nowinami o stanie swojego sławnego klienta; o Baudelaire umierającym w równie bezlitosny sposób, pozbawionym mowy, rozprawiającym z Nadarem o istnieniu Boga przez nieme wskazanie na zachód słońca; o Rimbaudzie z amputowaną prawą nogą, powoli tracącym czucie w pozostałych kończynach, odrzucającym i amputującym własny geniusz — „Merde pour la poésie”; o Daudecie „przeskakującym od wieku lat czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu pięciu”, o jego łamiących się stawach, o tym, że tylko dzięki zaaplikowaniu sobie pięciu zastrzyków morfiny z rzędu odzyskiwał na jeden wieczór swą błyskotliwość i przenikliwość, że odczuwał pokusę samobójstwa — 5, „Ale człowiek nie ma prawa”.

„Czy brać życie na serio to postawa wspaniała czy też głupia?” (1855). Ellen leżała z tubą w przetyku i rurką doprowadzoną do tamponu na przedramieniu. Wentylator w białym prostokątnym pudełku dostarczał regularnie strumieni życia, a monitor je poświadczał. Oczywiście, sam akt był spontaniczny: uciekła, nawiała od tego wszystkiego. Że niby „człowiek nie ma prawa”? Ona miała. W jej odczuciu to nawet nie podlegało dyskusji. Religia rozpaczy zupełnie jej nie interesowała. Przez monitor przesuwiała się linia EKG; swojskie pismo. Jej stan był stabilny, ale beznadziejny. Obecnie nie wpisujemy NTBR — Not To Be Resuscitated (nie przewiduje się podtrzymywania życia) — na kartę pacjenta; niektórzy ludzie uważają, że taka uwaga świadczy o braku serca. Zamiast tego piszemy „No 333”. Ostateczny eufemizm.

Patrzyłem na Ellen. Nie była zepsuta. Jej historia jest czysta. Odłączyłem ją. Zapytali, czy chcę, żeby to zrobili; ale myślę, że wolałaby, abym ja to zrobił. Naturalnie tej sprawy także nie omawialiśmy. To łatwe. Przyciskasz guzik wentylatora i odczytujesz końcowe zdanie linii EKG: pożegnalny podpis zakończony linią prostą. Odłączasz tuby, a następnie układasz w odpowiedni sposób ręce i dłonie. Robisz to wszystko, jakby starając się zbytnio nie przeszkadzać

pacjentowi.

Pacjent. Ellen. Tak więc mógłbyś w odpowiedzi na poprzednie pytanie oznajmić, że ją zabiłem. I słusznie. Odłączyłem ją. Przerwałem jej życie. Tak.

Ellen. Moja żona: ktoś, kogo — jak czuję — rozumiem gorzej niż nie żyjącego od stu lat pisarza. Czy to aberracja, czy rzecz normalna? Książki mówią: zrobiła to, gdyż. Życie mówi: zrobiła to. Książki to miejsce, gdzie wyjaśnia się różne rzeczy; w życiu tak nie jest. Nie dziwię się, że niektórzy wolą książki. Książki nadają sens życiu. Jedyne kłopot polega na tym, że nadają sens życiu innych ludzi, nigdy zaś twojemu.

Być może zbyt łatwo się godzę. Mój stan jest stabilny, ale beznadziejny. Być może to tylko kwestia temperamentu. Przypomnij sobie sfuszerowaną wizytę w burdelu w *Szkole uczuć* i płynącą z tego naukę. Nie uczestniczyć: szczęście mieści się w wyobraźni, a nie w samym akcie. Rozkoszy doznaje się najpierw przez antycypację, później dzięki pamięci. Taki jest temperament Flaubertowski. Porównaj przypadek, i temperament, Daudeta. Jego uczniowska wizyta w burdelu była tak nieskomplikowanie udana, że zabawił tam dwa czy trzy dni. Przez większość czasu dziewczęta ukrywały go, obawiając się kontroli policji; żywiły go soczewicą i gruntownie rozpieszczały. Wyniósł z tego przygotowującego o zawrót głowy obrządku — jak przyznał później — namiętne upodobanie do dotyku kobiecej skóry i dozgonną niechęć do soczewicy.

Niektórzy powstrzymują się i obserwują, bo obawiają się zarówno rozczarowania, jak i spełnienia. Inni rzucają się w wir życia z zamkniętymi oczami, przeżywają rozkosz i podejmują ryzyko: w najgorszym przypadku mogą nabawić się jakiejś strasznej choroby; w najlepszym wymigają się trwałą awersją do roślin strączkowych. Wiem, do którego obozu należę, i wiem, gdzie szukałbym Ellen.

Maksymy na całe życie. Les unions complètes sont rares. Nie zdołasz zmienić ludzkości, możesz ją jedynie poznać. Szczęście to szkarłatny płaszcz z podszewką w strzępach. Kochankowie są jak bliźnięta syjamskie, dwa ciała i jedna dusza; ale jeśli jedno umiera wcześniej, to, które przeżyło, musi wszędzie taszczyć ze sobą zwłoki. Duma sprawia, że tęsknimy za rozstrzygnięciem — za rozstrzygnięciem, celowością, ostateczną przyczyną; ale im lepszy jest teleskop, tym więcej widzisz gwiazd. Nie zdołasz zmienić ludzkości, możesz ją jedynie poznać. Les unions complètes sont rares.

Maksyma o maksymach. Prawdę o pisaniu można wymyślić, zanim opublikuje się choćby jedno słowo; prawdę o życiu można wymyślić dopiero wtedy, kiedy nie robi to już żadnej różnicy.

Według *Salambo*, do wyposażenia kartagińskiego poganiacza słoni należały drewniany młotek i dłuto. Jeśli w ogniu bitwy istniało niebezpieczeństwo, że utraci się kontrolę nad zwierzęciem, poganiacz miał rozkaz rozłupać mu czaszkę. Prawdopodobieństwo takiej sytuacji musiało być dosyć znaczne: aby słonie były bardziej zaciekle w boju, pojono je najpierw mieszaniną wina, środków pobudzających i pieprzu, a następnie kłuto włóczniami.

Niewielu z nas ma dosyć odwagi, żeby zastosować młotek i dłuto. Ellen ją miała. Czasem czuję się zażenowany współczuciem ze strony ludzi. „To jej trzeba współczuć” — mam ochotę powiedzieć; ale milczę. A kiedy już okazali mi swoją sympatię i obiecali wycieczkę, jakbym był dzieckiem, i nader obcesowo spróbowali nakłonić, bym dla własnego dobra zaczął mówić (dlaczego sądzą, że nie wiem, na czym polega moje dobro?), pozwalają mi usiąść i pomarzyć chwilę o niej. Myślę o gradzie z 1853 r., o wybitych szybach, zrujnowanych zbiorach, zniszczonych szpalerach, roztrzaskanych kloszach do przykrywania melonów. Czy jest coś głupszego niż taki klosz? Oklaskuj kamienie rozbijające szyby. Ludzie nieco zbyt pospiesznie określili zadanie słońca. Zadaniem słońca nie jest sprzyjanie wzrostowi kapusty.

14. ARKUSZ EGZAMINACYJNY

Kandydaci muszą odpowiedzieć na cztery pytania: na oba ustępy paragrafu A i na dwa pytania z paragrafu B. Punkty przyznawać się będzie wyłącznie za poprawność odpowiedzi; nie przewiduje się ocen za sposób przedstawienia ani za charakter pisma. Za odpowiedzi żartobliwe albo arogancko zwięzłe będzie się odejmować punkty. Czas: trzy godziny.

PARAGRAF A: KRYTYKA LITERACKA

Część I

Stało się rzeczą jasną dla egzaminatorów, że w ostatnich latach kandydaci mają coraz większe trudności z odróżnianiem Sztuki od Życia. Wszyscy twierdzą, że rozumieją tę różnicę, ale sposób jej postrzegania może być bardzo rozmaity. Zdaniem niektórych Życie jest bogate i usłane różami, przyrządzone według przepisu starego wieśniaka wyłącznie z naturalnych produktów, podczas gdy Sztuka to blady, komercyjny produkt, sprowadzający się w znacznej mierze do sztucznych barw i sztucznych smaków. Dla innych to Sztuka jest czymś prawdziwszym, czymś pełnowartościowym, wypełnionym zdarzeniami i dającym satysfakcję emocjonalną, podczas gdy Życie uważają za

gorsze od najnędniejszej powieści: dalekie od narracyjnej swady, zaludnione nudziarzami i hultajami, bez ładu i składu wypełnione nieprzyjemnymi incydentami i kończące się w sposób łatwy do przewidzenia i przykry. Zwolennicy tego ostatniego punktu widzenia mają skłonność do cytowania Logana Pearsalla Smitha: „Ludzie mówią, że życie to dopiero coś, ale ja wolę czytać”. Kandydatom radzi się nie wykorzystywać tego cytatu w swoich odpowiedziach.

Omów relację między Sztuką a Życiem na podstawie dowolnych dwóch spośród następujących stwierdzeń lub sytuacji:

a. „Przedwczoraj w lesie koło Toques w uroczym zakątku nad źródłem natknąłem się na niedopałki cygar i okruchy pasztetu. Odbывał się tu piknik! Opisałem to dokładnie w *Listopadzie* jedenaście lat temu! Wówczas było to czyste zmyślenie, teraz zaś — autentyczne doświadczenie. Wszystko, co wymyślasz, jest prawdą: możesz być tego pewna. Poezja jest równie ścisła jak geometria... Moja biedna Bovary bez wątpienia w tej właśnie chwili cierpi i szlocha w dwudziestu francuskich wioskach.”

List do Luizy Colet, 14 sierpnia 1853 r.

b. W Paryżu Flaubert używał zamkniętego powozu, żeby uniknąć wykrycia i prawdopodobnego uwiedzenia przez Luizę Colet. W Rouen Leon korzysta z zamkniętego powozu, żeby uwieść Emmę Bovary. W rok po opublikowaniu *Pani Bovary* w Hamburgu można było wynajmować powozy w celach seksualnych. Znane były pod nazwą „bovary”.

c. (Kiedy jego siostra Karolina leży umierająca) „Moje oczy są suche jak marmur. To dziwne, do jakiego stopnia cierpienia w powieści otwierają moje serce i przepelniają je współczuciem, podczas gdy smutki rzeczywiste pozostają w moim sercu oschłe i gorzkie, zmieniając się w kryształ natychmiast, kiedy się tylko pojawiają.”

List do Maksyma du Campa, 15 marca 1846 r.

d. „Powiadasz, że naprawdę kochałem tę kobietę (Mme Schlesinger), ale to nieprawda. Tylko kiedy do niej pisałem, dzięki tej mojej umiejętności wzbudzania w sobie uczuć za pomocą pióra, traktowałem swój temat poważnie; ale tylko kiedy pisałem. Wiele rzeczy, które pozostawiają mnie chłodnym, kiedy je widzę lub o nich słyszę, porusza mnie i budzi entuzjazm, irytację albo ból, jeśli sam o nich mówię albo — i to szczególnie — jeśli o nich piszę. Oto jeden z przejawów mojej

szarlatańskiej natury.”

List do Luizy Colet, 8 października 1846 r.

e. Giuseppe Marco Fieschi (1790-1836) zyskał sławę dzięki roli, jaką odegrał w spisku mającym na celu zamordowanie Ludwika Filipa.

Wynajął mieszkanie przy Boulevard du Temple i korzystając z pomocy dwóch członków Société des Droits de l’Homme, skonstruował „maszynę piekielną” składającą się z dwudziestu luf, które można było jednocześnie odpalić. 28 lipca 1835 r., kiedy Ludwik Filip przejeżdżał tamtędy konno z trzema synami i liczną świtą, Fieschi wystrzelił salwę przeciwko panującemu społeczeństwu.

Kilka lat później Flaubert zamieszkał w domu zbudowanym w tym samym miejscu przy Boulevard du Temple.

f. „O, tak! Ten okres (panowania Napoleona III) dostarczy materiału na wyśmienite książki. Może w kosmicznym porządku rzeczy coup d’état — i wszystkie jego następstwa — miał dostarczyć jedynie garści atrakcyjnych scen utalentowanym ludziom pióra.”

Flaubert cytowany w *Souvenirs littéraires Du Campa*.

Część II

Prześledź, jak dojrzewał stosunek Flauberta do krytyków i krytyki, na podstawie następujących cytatów:

a. „Oto doprawdy głupie rzeczy: 1) krytyka literacka, bez względu na to, czy jest dobra, czy zła; 2) Stowarzyszenie Wstrzemięźliwości...”

Notatnik intymny

b. „W żandarmach jest coś tak głęboko groteskowego, że na ich widok nie mogę powstrzymać się od śmiechu; ci Stróże prawa zawsze robią na mnie komiczne wrażenie, podobnie jak adwokaci, rajcy miejscy i profesorowie literatury.”

Nad wybrzeżami i polami

c. „Wartość człowieka można oszacować według liczby jego wrogów, wagę zaś dzieła sztuki według liczby ataków, jakie nań spadły. Krytycy są jak pchły: kochają czystą bieliznę i uwielbiają koronki.”

List do Luizy Colet, 14 czerwca 1853 r.

d. „Krytyka zajmuje najniższe miejsce w hierarchii literatury: prawie zawsze pod względem formy, a już bezsprzecznie, jeśli chodzi o jej

wartość moralną. Stoi nawet niżej niż rymowanki i akrostychy, które wymagają przynajmniej odrobiny pomysłowości.”

List do Luizy Colet, 28 czerwca 1853 r.

e. „Krytycy! Wieczna miernota żyjąca z geniusza poprzez oczernianie go i wyzyskiwanie! Gatunek chrząszczy rozrywających najlepsze stronice Dzieła na strzępy! Mam już tak dosyć drukarstwa i niewłaściwego użytku, jaki ludzie z niego robią, że gdyby cesarz zakazał jutro słowa drukowanego, doczołgałbym się na kolanach do Paryża i pocałował go z wdzięczności w zadek.”

List do Luizy Colet, 2 lipca 1853 r.

f. „Jak rzadko zdarza się wyczucie literackie! Można by myśleć, że znajomość języków, archeologii, historii i tak dalej winna być w tym pomocna. Ale gdzie tam! Rzekomo wykształceni ludzie coraz mniej potrafią obcować ze sztuką. Nie mogą zgoła pojąć, czym w ogóle jest sztuka. Przypisy uznają za bardziej interesujące niż sam tekst. Przywiązują większą wagę do kul inwalidzkich niż do samych nóg.”

List do George Sand, 1 stycznia 1869 r.

g. „Jaką rzadkością jest krytyk, który wie, o czym mówi.”

List do Eugène’a Fromentina, 19 lipca 1876 r.

h. „Zrażeni do dawnego stylu krytyki, próbowali zapoznać się z nowym i sprowadzili sobie recenzje teatralne zamieszczone w gazetach. Co za pewność siebie! Co za upór! Co za brak uczciwości! Arcydzieła znieważane, a miernoty — czczone! Gafy rzekomych uczonych i głupota rzekomych mędrców!”

Bouvard i Pécuchet

PARAGRAF B

Ekonomia

Flaubert i Bouilhet chodzili do tej samej szkoły; dzielili poglądy i dziwki; mieli te same zasady estetyczne i podobne ambicje literackie; obaj próbowali teatru jako drugiego uprawianego przez siebie gatunku. Flaubert nazwał Bouilheta: „Moje lewe jądro”. W 1854 r. Bouilhet spędził noc w hotelu w Mantes, którego bywalcami byli Gustaw i Luiza: „Spałem w waszym łóżku — donosił — i srałem do waszego kibla (cóż za osobliwa symbolika!)”. Poeta zawsze musi pracować na utrzymanie,

powieściopisarz — nigdy. Rozważ, jaki wpływ na ich działalność pisarską i reputację wywarłoby odwrócenie ich sytuacji finansowej.

Geografia

„Nie ma bardziej sennej atmosfery niż atmosfera tego regionu. Podejrzewam, że w wielkiej mierze przyczyniła się do tego, że Flaubert pisał tak powoli i z takim móżdżkiem. Wyobrażał sobie, że zмага się ze słowami, a tymczasem walczył z niebem; i być może w innym klimacie, natchniony kojąco suchym powietrzem, stawiałby sobie mniejsze wymagania albo uzyskiwałby te same rezultaty, ale kosztem mniejszego wysiłku.” (Gide w liście pisanym z Cuverville, Seine-Maritime, 26 stycznia 1931 r.) Przedyskutuj to zagadnienie.

Logika (wraz z medycyną)

a. Achilles Kleofas Flaubert, spierając się ze swoim młodszym synem, poprosił, by ten wyjaśnił, czemu służy literatura. Gustaw odbijając piłeczkę poprosił ojca-chirurga o wyjaśnienie mu, czemu służy śledziona: „Nic o tym nie wiesz, tak samo zresztą jak ja, poza tym, że nie może się bez niej obejść nasz cielesny organizm, podobnie jak nasz organizm duchowy nie może żyć bez poezji”. Doktor Flaubert został pograżony.

b. Śledziona składa się z jednostek tkanki limfatycznej (albo białej miazgi) plus sieć ukrwienia (albo czerwona miazga). Ważną jej funkcję stanowi usuwanie z krwi starych lub uszkodzonych czerwonych krwinek. Jest aktywna w wytwarzaniu przeciwciał: śledziennicy wytwarzają mniej przeciwciał. Dowiedziono, że tetrapeptyd zwany tuftsyną jest pochodną proteiny wytwarzanej w śledzionie. Chociaż usunięcie śledziony, zwłaszcza w dzieciństwie, zwiększa prawdopodobieństwo zachorowań na zapalenie opon mózgowych i posocznice, nie uważa się już jej za organ o zasadniczym znaczeniu: można go usunąć, nie powodując widocznego zachwiania aktywności u danego osobnika.

Jaki z tego wniosek?

Biografia (z etyką)

Maksym du Camp ułożył następujące epitafium dla Luizy Colet: „Ta, która tu spoczywa, skompromitowała Victora Cousina, ośmieszyła

Alfreda de Musseta, zwymyślała Gustawa Flauberta i próbowała zamordować Alfonsa Karra. Requiescat in pace”. Du Camp opublikował to epitafium w swoich *Souvenirs littéraires*. Kto prezentuje się korzystniej: Luiza Colet czy Maksym du Camp?

Psychologia

E1 urodziła się w 1855 r.

E2 urodziła się częściowo w 1855 r.

E1 miała bezchmurne dzieciństwo, ale w wieku dojrzałym przejawiała skłonność do kryzysów nerwowych.

E2 miała bezchmurne dzieciństwo, ale w wieku dojrzałym przejawiała skłonność do kryzysów nerwowych.

E1 prowadziła nie uregulowane życie płciowe według przekonania ludzi właściwie myślących.

E2 prowadziła nie uregulowane życie płciowe według przekonania ludzi właściwie myślących.

E1 wyobrażała sobie, że ma trudności finansowe.

E2 wiedziała, że ma trudności finansowe.

E1 popełniła samobójstwo, połykając kwas pruski.

E2 popełniła samobójstwo, połykając arszenik.

E1 to Eleonora Marx.

E2 to Emma Bovary.

Pierwsze opublikowane angielskie tłumaczenie *Pani Bovary* było dziełem Eleonory Marx.

Przedyskutuj to zagadnienie.

Psychoanaliza

Zastanów się nad znaczeniem tego snu, zanotowanego przez Flauberta w Lamalgue w 1845 r.: „Śniło mi się, że spacerowałem z matką po wielkim lesie, gdzie było mnóstwo małp. Im dalej zagłębialiśmy się w las, tym było ich więcej. Śmiały się i skakały z gałęzi na gałąź. Ciągle ich przybywało; były coraz większe; zagradzały nam drogę. Przyglądały mi się i ogarnął mnie lęk. Otoczyły nas wielkim kręgiem: jedna z nich chciała mnie pogłaskać i ujęła mnie za rękę. Wypaliłem jej prosto w ramię z mojej strzelby i połała się krew; małpa zaczęła straszliwie wyć. Wtedy matka powiedziała: «Dlaczego ją zraniłeś? Przecież to twój przyjaciel. Co ci zrobiła? Czy nie widzisz, że cię kocha? I że wygląda zupełnie tak samo jak ty!» Małpa patrzyła na mnie. Czuję, że dusza rwie mi się na strzępy i obudziłem się... z uczuciem, jakbym stanowiął

jedno ze zwierzętami i bratał się z nimi w tkliwej panteistycznej komunii”.

Filatelistyka

Gustaw Flaubert pojawił się na francuskim znaczku (o nominale 8F + 2F) w 1952 r. Jest to nijaki portret „według E. Girauda”, na którym to portrecie powieściopisarz — o nieco chińskiej fizjonomii — został w sposób nietypowy dla jego epoki odziany w nowoczesną koszulę z kołnierzykiem i krawat. Ten znaczek ma najniższy nominał w serii, która została wypuszczona jako forma pomocy dla Narodowego Funduszu Opieki: najwyższym nominałem uhonorowano (we wzrastającym porządku) Maneta, Saint-Saënsa, Poincaré’go, Haussmanna i Thiersa.

Jako pierwszy z francuskich pisarzy pojawił się na znaczku Ronsard. Victor Hugo znalazł się na trzech różnych znaczkach między 1933 a 1936 rokiem, raz w serii wypuszczonej dla wsparcia Funduszu Opieki nad Bezrobotnymi Intelktualistami. Portret Anatola France’a wsparł to samo dzieło miłosierdzia w 1937 r., a Balzaka w 1939 r. Młyn Daudeta wtargnął na znaczek w 1936 r. Francja pétainowska uczciła Fryderyka Mistrala (1941) oraz Stendhala (1942). Saint-Exupéry, Lamartine i Chateaubriand pojawili się w 1948 r.; Baudelaire, Verlaine i Rimbaud w 1951 r., w okresie dekadencckiej gorączki. Tenże rok przyniósł też kolekcjonerom Alfreda de Musseta, który zajął miejsce po Flaubercie w łożu Luizy Colet, ale teraz o rok wyprzedził go na kopercie.

a. Czy powinniśmy poczuć się zlekceważeni w imieniu Flauberta? A jeśli tak, czy powinniśmy poczuć się bardziej czy mniej zlekceważeni w imieniu Micheleta (1953), Nerval (1955), George Sand (1957), Vigny’ego (1963), Prousta (1966), Zoli (1967), Sainte-Beuve’a (1969), Mérimée’go i Dumasa ojca (1970) albo Gautiera (1972)?

b. Oceń szansę ukazania się na francuskich znaczkach podobizn Ludwika Bouilheta, Maksyma du Campa albo Luizy Colet.

Fonetyka

a. Współwłaściciel kairskiego Hôtel du Nil, gdzie Flaubert mieszkał w 1850 r., nazywał się Bouvaret. Bohaterka pierwszej powieści pisarza nosi nazwisko Bovary; współbohater ostatniej powieści nosi nazwisko Bouvard. W sztuce *Le Candidat* występuje Comte de Bouvigny; w sztuce *Le Château des coeurs* występuje Bouvignard. Czy było to rozmyślnie?

b. Nazwisko Flauberta zostało po raz pierwszy błędnie wydrukowane przez „Revue de Paris” jako Faubert. Przy rue Richelieu miał sklep kupiec Faubet. „La Presse”, relacjonując proces dotyczący *Pani Bovary*,

podawała jako nazwisko autora Foubert. Martyna, femme de confiance George Sand, nazywała go Flambart. Kamil Rogiér, malarz mieszkający w Bejrucie, nazwał go Folbert: „Czy chwytasz subtelność tego żartu?” — pisał Gustaw do swojej matki. (Na czym ów żart polega? Przypuszczalnie chodzi tu o dwoistość językową, dzięki której określenie oddaje istotę wyobrażenia, jakie miał o sobie powieściopisarz: Rogier nazwał go Szalonym Niedźwiedziem.) Także Bouilhet zaczął nazywać go Folbert. W Mantes, gdzie pisarz spotykał się z Luizą, była Café Flambert. Czy to wszystko przypadkowa zbieżność?

c. Zdaniem Du Campa nazwisko Bovary należy wymawiać z krótkim „o” (jak w angielskim słowie „bother”). Czy powinniśmy stosować się do tego wskazania, a jeśli tak, dlaczego?

Historia teatralna

Oceń trudności techniczne związane z wprowadzeniem w życie następujących wskazówek inscenizatorskich (*Le Château des coeurs*, akt VI, scena VIII):

Garnek, którego ucha zmieniono w skrzydła, wzbija się w powietrze, obraca do góry dnem i powiększa się, tak że zawisa nad całym miastem, a jarzyny — marchewki, rzepy i pory — które się z niego wysypują, unoszą się w powietrzu i zmieniają w świetliste konstelacje.

Historia (z astrologią)

Rozważ następujące przepowiednie Gustawa Flauberta:

a. (1850) „Wydaje mi się prawie niemożliwe, by Anglia nie przejęła wkrótce kontroli nad Egiptem. W Adenie jest już pełno angielskiego wojska. Nic łatwiejszego: wystarczy przekroczyć Suez i pewnego pięknego ranka w Kairze zaroi się od czerwonych kubraków. Nowina dotrze do Francji dwa tygodnie później i wszyscy będziemy bardzo zdumieni! Wspomnij moją przepowiednię”.

b. (1852) „W miarę jak ludzkość się doskonali, jednostka ulega degradacji. Kiedy wszystko zostaje sprowadzone do równoważenia bilansu interesów ekonomicznych, jakież miejsce pozostaje na cnotę? Kiedy Natura została tak ujarzmiona, że utraciła wszelkie swoje pierwotne formy, gdzież znajdą się sztuki plastyczne? I tak dalej. Nim nastąpi krach, sprawy przybiorą mroczny obrót”.

c. (1870, u progu wojny francusko-pruskiej) „Oznaczać to może nawrót konfliktów rasowych. Zanim minie wiek, ujrzymy miliony ludzi

pozbawione życia za jednym zamachem. Wschód przeciwko Europie, stary świat przeciwko nowemu. Czemu by nie?”

d. (1850) „Od czasu do czasu przerzucam gazetę. Wygląda na to, że wszystko toczy się w zawrotnym tempie. Tańczymy nie na krawędzi wulkanu, ale na desce klozetowej, która, moim zdaniem, nieźle już zmurszała. Wkrótce społeczeństwo runie i utonie w dziewiętnastu stuleciach gówna. Wrzasku będzie co niemiara”.

e. (1871) „Internacjoniści to jezuici przyszłości”.

15. A CO Z PAPUGĄ...

A co z papugą? Cóż, rozwiązanie zagadki wypchanej papugi zajęło mi prawie dwa lata. Listy, które napisałem po pierwszym pobycie w Rouen, nic pożytecznego nie dały; na niektóre nie uzyskałem nawet odpowiedzi. Pewno można było pomyśleć, że jestem znikowanym ze starości uczonym-amatorem, który uczepia się błahostek w żalosnej próbie wyrobienia sobie nazwiska. W istocie jednak, młodzi mają znacznie większego bzika niż starzy — są o wiele bardziej egoistyczni, samodestrukcyjni i po prostu cholernie dziwaczni. Rzecz tylko w tym, że mają bardziej pobłażliwą prasę. Kiedy jakiś osiemdziesięcio-, siedemdziesięcio- albo pięćdziesięcioczerolatek popełnia samobójstwo, nazywa się to rozmiękczeniem mózgu lub depresją poklimakteryjną, lub ostatnim porywem nikczemnej próżności, bo chodzi o to, żeby inni mieli poczucie winy. Kiedy samobójstwo popełnia dwudziestolatek, nazywa się to szlachetnym protestem przeciwko lichym warunkom, jakie oferuje życie, aktem nie tylko odwagi, lecz również moralnego i społecznego buntu. Przeżywać życie? Starzy mogą to zrobić za nas. Oczywiście, czyste wariactwo. Mówię to jako lekarz.

I skoro już jesteśmy przy tym temacie. Powiedziałbym, że myśl, iż Flaubert mógłby targnąć się na własne życie, również jest czystym wariactwem. Wariactwem jednego tylko człowieka: roueńczyka nazwiskiem Edmund Ledoux. Ten fantasta dwukrotnie wypływa na powierzchnię w biografii Flauberta; za jednym i drugim razem zajmuje się wyłącznie rozgłaszaniem plotek. Pierwsza niepożądana wypowiedź to twierdzenie, że Flaubert zaręczył się z Juliet Herbert. Ledoux utrzymywał, że widział egzemplarz *Kuszenia Świętego Antoniego* dedykowany przez Gustawa Juliet słowami „A ma fiancée”. Dziwne, że widział go w Rouen, nie zaś w Londynie, gdzie Juliet mieszkała. Dziwne, że nikt poza nim tego egzemplarza nie widział. Dziwne, że nie przetrwał. Dziwne, że sam Flaubert nigdy nie wspomniał o tym narzeczeństwie. Dziwne, że podobny krok byłby diametralnie sprzeczny ze wszystkim, w co wierzył.

Dziwne również, że drugie oszczercze twierdzenie Ledoux — dotyczące samobójstwa — także jest sprzeczne z najgłębszymi przekonaniem pisarza. Posłuchajmy, co on sam ma do powiedzenia: „Posiądźmy skromność zranionego zwierzęcia, które kryje się gdzieś na uboczu i nie wydaje z siebie głosu. Świat pełen jest ludzi, którzy ryczą przeciwko Opatrzności. Człowiek powinien, choćby ze względu na dobre maniery, unikać zachowywania się jak oni”. I jeszcze ten cytat, który utkwił mi w głowie: „Ludzie tacy jak my muszą mieć religię rozpacz. Powtarzając sobie: «Tak już jest! Tak już jest!» i patrząc w mroczną otchłań pod stopami, człowiek zachowuje spokój”.

Te słowa nie pasują do samobójstwa. To słowa człowieka, którego stoicyzm jest równie głęboki jak jego pesymizm. Zranione zwierzęta nie dobijają się same. A jeśli rozumiesz, że patrzenie w mroczną otchłań u twoich stóp rodzi spokój, wtedy w ową otchłań nie skaczesz. Może to właśnie stanowiło słabość Ellen: niezdolność do patrzenia w mroczną otchłań. Mogła tylko zerkać w nią od czasu do czasu. Jedno spojrzenie budziło rozpacz, a rozpacz sprawiała, że zaczynała uganiać się za rozrywkami. Niektórzy omijają spojrzeniem mroczną otchłań; inni nie zwracają na nią uwagi; dla tych, którzy się w nią wpatrują, staje się obsesją. Ona wybrała najwłaściwszą dawkę: jedyna sytuacja, w której poślubienie lekarza mogło wydawać się pomocne.

Relacja Ledoux wygląda następująco: Flaubert powiesił się w kąpiel. To chyba brzmi bardziej wiarygodnie niż oznajmienie, że poraził się prądem za pomocą pigułek nasennych; ale mimo wszystko... Oto, co się wydarzyło: Flaubert wstał, wziął gorącą kąpiel, miał atak apopleksji i pokuśtykał do sofy w swoim gabinecie; tam zastał go lekarz, który potem wydał świadectwo zgonu. Tak było. Koniec sprawy. Pierwszy biograf Flauberta rozmawiał z rzeczonym lekarzem, który to potwierdził. Wersja Ledoux wymaga następującego łańcucha zdarzeń: Flaubert zanurzył się w gorącej kąpiel, powiesił się w jakiś nie wyjaśniony dotychczas sposób, następnie zszedł, ukrył sznur, powlókł się do gabinetu, padł na sofę, a kiedy przybył lekarz, postarał się umrzeć, udając przy tym symptomy ataku apopleksji. Doprawdy, to zbyt śmieszne.

Nie ma dymu bez ognia — powiadają. Przykro mi, ale czasem jest. Edmund Ledoux to pierwszy przykład samorzutnie powstającego dymu. Kim w końcu był ów Edmund Ledoux? Zdaje się, że nikt tego nie wie. Nie był autorytetem w żadnej dziedzinie. To kompletna nicość. Istnieje wyłącznie z racji wystąpienia z dwoma kłamstwami. Może kiedyś skrzywdził go ktoś z rodziny Flauberta (może Achillesowi nie udało się wyleczyć mu bolesnego guza na palcu u nogi?) i w ten sposób wziął

odwet. Ponieważ oznacza to, że niewiele książek o Flaubercie może zakończyć się bez dyskusji — nieodmiennie zwieńczonej odrzuceniem przypuszczeń — nad twierdzeniem o samobójstwie. Jak widzicie, my także do tego doszliśmy. Jeszcze jedna długa dygresja, której nacechowany moralnym oburzeniem ton zapewne wywiera skutek wręcz przeciwny do zamierzonego. A przecież chciałem napisać o papugach. Przynajmniej co do nich Ledoux nie ma żadnej teorii.

Ale ja — owszem. I to nie tylko teorię. Jak już powiedziałem, zajęło mi to dobre dwa lata. Nie, to przechwałki: w rzeczywistości mam na myśli fakt, że dwa lata upłynęły między pojawieniem się a rozstrzygnięciem tej kwestii. Jeden z bardziej snobistycznych uczonych, do jakich napisałem, sugerował nawet, że ta sprawa jest pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia. Cóż, zapewne musi strzec swojego terytorium. Ktoś jednak dał mi nazwisko pana Lucjana Andrieu.

Postanowiłem nie pisać do niego; w końcu, moje listy nie dały jak dotąd żadnego rezultatu. Zamiast tego w sierpniu 1982 r. wybrałem się na wycieczkę do Rouen. Zatrzymałem się w Grand Hotel du Nord, przylegającym do Gros Horloge. W kącie mojego pokoju od sufitu do podłogi przechodziła źle osadzona rura kanalizacyjna, która warczała do mnie mniej więcej co pięć minut, robiąc wrażenie, że przepływają nią wszystkie nieczystości z całego hotelu. Po kolacji leżałem na łóżku, wsłuchując się w sporadyczne odgłosy wypróżniania się po galijsku. Potem Gros Horloge wybił głośno i dźwięcznie godzinę, tak blisko, jakby znajdował się w szafie na ubrania. Zastanawiałem się, jakie mam szanse, żeby usnąć.

Moje obawy okazały się nieuzasadnione. Po dziesiątej rura wodociągowa zamilkła; tak samo Gros Horloge. Może jest tylko turystyczną atrakcją w ciągu dnia, a Rouen pieczołowicie odłącza jego kurant, kiedy goście miasta chcą spać. Leżałem na wznak przy zgaszonym świetle i myślałem o papudze Flauberta: dla Felicyty była to groteskowa, ale logiczna wersja Ducha Świętego; dla mnie — niepokojący, wymykający się symbol głosu pisarza. Kiedy Felicyta umierała w swoim łóżku, papuga wróciła do niej w powiększonej postaci i zaprosiła ją do nieba. Zapadając w sen, rozmyślałem, o czym będę śnił.

Nie śniłem o papugach. Zamiast tego miałem sen kolejowy. Podczas wojny przesiadka w Birmingham. Gdzieś przy końcu peronu odłączany wagon kierownika pociągu. Walizka ociera mi się o łydkę. Zaciemniony pociąg; stacja oświetlona przyćmionym światłem. Rozkład jazdy, którego nie jestem w stanie odczytać, rozmazujące się cyfry. Znikąd żadnej nadziei; nie ma już pociągów; pustka, mrok.

Można by przypuszczać, że taki sen dopełnia się po ujawnieniu swojej

pointy. Ale sny nie mają żadnego poczucia tego, co robią ze śniącym, podobnie jak nie mają poczucia delikatności. Sen o stacji — który śni mi się mniej więcej co trzy miesiące — po prostu powtarza się niby taśma filmowa wyświetlana wciąż od nowa, aż budzę się z uczuciem ciężaru na piersi i przygnębienia. Tego ranka obudziłem się na bliźniacze odgłosy czasu i gówna: Gros Horloge i rura kanalizacyjna w kącie. Czas i gówno: czyżby śmiech Gustawa?

W Hôtel-Dieu ten sam posępny gardien w białym kitlu oprowadził mnie dokoła. W medycznym dziale muzeum dostrzegłem coś, co poprzednim razem uszło mojej uwagi: lewatywę do samodzielnego stosowania. Tak znienawidzone przez Gustawa Flauberta: „pociągi, trucizny, lewatywy, ciastka z kremem...” Składała się z wąskiego drewnianego taboretu, wydrążonego dziubka i pionowej rączki. Siadało się okrakiem na taborecie, wsuwało na dziubek, a następnie pompowało w siebie należytą ilość wody. Cóż, w końcu zapewniało to jakąś prywatność. Obaj z gardien zachichotaliśmy porozumiewawczo: powiedziałem mu, że jestem lekarzem. Uśmiechnął się i poszedł po coś, co miało niechybnie wzbudzić moje zainteresowanie.

Wrócił z dużym kartonowym pudłem po butach zawierającym dwie zmumifikowane ludzkie głowy. Skóra była nienaruszona, chociaż wskutek upływu czasu nabrała brunatnego odcienia; równie być może brunatnego jak stary słój dżemu porzeczkowego. Większość zębów pozostała na swoich miejscach, ale nie zachowały się włosy ani oczy. Jedną z głów wyposażono w szorstką czarną perukę i parę szklanych oczu. (Jakiego były koloru? Nie mogę sobie przypomnieć, ale jestem pewien, że mniej skomplikowanego niż oczy Emmy Bovary.) Ta próba nadania głowie bardziej realistycznego wyglądu dała wprost przeciwny skutek: głowa wyglądała jak dziecięca maska do straszenia, jak zaskakująca twarz z wystawy sklepu z zabawkami-psikusami.

Gardien wyjaśnił, że głowy są dziełem Jana Baptysty Laumoniera, poprzednika Achillea Kleofasa Flauberta w szpitalu. Laumonier poszukiwał nowych metod konserwowania ciał; a miasto pozwoliło mu eksperymentować z głowami straconych zbrodniarzy. Przyszedł mi na myśl pewien incydent z dzieciństwa Gustawa. Mając sześć lat, poszedł pewnego razu na spacer ze swoim Oncle Parain i w jakimś momencie znalazł się u stóp gilotyny, która dopiero co była w użyciu: na bruku lśniła jeszcze krew. Wspomniałem o tym z pewną nadzieją, ale gardien potrząsnął głową. Byłby to bardzo miły zbieg okoliczności, ale daty nie zgadzały się. Laumonier zmarł w 1818 r.; zresztą dwa okazy w pudełku po butach nie zostały w istocie rzeczy zgilotynowane. Pokazał mi głębokie bruzdy tuż pod szczęką, w miejscu gdzie niegdyś zacisnęła się

pętla założona przez kata. Kiedy Maupassant zobaczył w Croisset ciało Flauberta, szyja pisarza była czarna i napuchnięta. Tak to wygląda przy apopleksji. Nie oznacza to bynajmniej, że ktoś powiesił się w łazience.

Szliśmy dalej przez muzeum, aż dotarliśmy do pomieszczenia z papugą. Uzyskałem pozwolenie na wykonanie fotografii, więc wydobyłem mój Polaroid. Trzymałem pod pachą naświetlony arkusz, gdy gardien wskazał mi kopię listu, którą zauważyłem przy pierwszej wizycie. Flaubert do Mme Brainne, 28 lipca 1876 r.: „Gdy wie pani, co mam przed sobą na biurku od trzech tygodni? Wypchaną papugę. Pełni tutaj służbę wartowniczą. Jej widok zaczyna mnie irytować. Ale trzymam ją przy sobie, by w ten sposób mój umysł przesiąknął ideą papugowatości. Piszę bowiem o miłości między starą panną a papugą”.

— Ta jest prawdziwa — oznajmił gardien, stukając w szklany klosz przed nami. — Ta jest prawdziwa.

— A tamta?

— Tamta to oszustka.

— Skąd ma pan pewność?

— To proste. Ta wzięła się z muzeum w Rouen. — Wskazał na okrągły znaczek na końcu żerdki, a następnie zwrócił moją uwagę na fotokopię wpisu z rejestru muzealnego. Spisano tam zestaw okazów wypożyczonych Flaubertowi. Większość wpisów dokonana była jakąś muzealniczą stenografią, której nie byłem w stanie odcyfrować, ale wypożyczenie amazońskiej papugi nie pozostawiało cienia wątpliwości. Seria fajek w ostatniej rubryce rejestru wskazywała, że Flaubert zwrócił wszystko, co mu wypożyczono. Łącznie z papugą.

Czułem się w nieokreślony sposób rozczarowany. Zawsze sentymentalnie zakładałem — bez żadnych dostatecznych uzasadnień — że papugę znaleziono wśród rzeczy pisarza po jego śmierci (to wyjaśnia bez wątpienia, dlaczego potajemnie sprzyjałem ptakowi z Croisset). Oczywiście fotokopia nie dowodziła niczego poza tym, że Flaubert wypożyczył jakąś papugę z muzeum, a następnie ją zwrócił. Stempel muzeum był sprawą delikatniejszą, ale bynajmniej nie rozstrzygającą...

— Prawdziwa jest ta nasza — powtarzał niepotrzebnie strażnik, wskazując mi drogę powrotną. Wyglądało to tak, jakby nasze role uległy odwróceniu: to on potrzebował zapewnień, nie ja.

— Z pewnością ma pan rację.

Ale wcale tej pewności nie miałem. Pojechałem do Croisset i sfotografowałem drugą papugę. Ta też chlubiła się stemplem muzeum. Zgodziłem się z gardienne, że jej papuga jest bez wątpienia prawdziwa,

natomiast ptak z Hôtel-Dieu to bezsprzecznie oszust.

Po obiedzie udałem się na Cimetière Monumental. „Nienawiść do mieszczaństwa to początek wszelkiej cnoty” — napisał Flaubert, a jednak został pochowany wśród najwybitniejszych rodzin roueńskich. Podczas jednego z wyjazdów do Londynu odwiedził Highgate Cemetery i uznał go za przesadnie czysty: „Ma się wrażenie, że ci ludzie umierali w białych rękawiczkach”. Na Cimetière Monumental chowano ich we frakach, z wszystkimi odznaczeniami, a także z końmi, psami i angielskimi guwernantkami.

Grób Gustawa jest mały i bezpretensjonalny; jednak w tym otoczeniu nie wygląda na grób artysty i antymieszczaucha, ale raczej mieszczaucha, który poniósł porażkę. Pochyliłem się przez barierkę ogradzającą rodzinny grobowiec — nawet po śmierci można być właścicielem gruntów — i wyjąłem egzemplarz *Prostoty serca*. Opis papugi Felicyty podany przez Flauberta na początku rozdziału czwartego jest bardzo krótki: „Nazywano ją Lulu. Miała zielony tułów, zakończenia skrzydeł różowe, głowę niebieską, a gardło złote”. Porównałem moje dwie fotografie. Obie papugi miały zielony tułów; obie miały różowe zakończenia skrzydeł (bardziej różowe miał egzemplarz z Hôtel-Dieu). Ale jeśli chodzi o niebieską głowę i złote podgardle, nie ulegało wątpliwości, że ten warunek spełniała papuga z Hôtel-Dieu. U papugi z Croisset było zupełnie na odwrót; złoty czub i niebieskawozielone gardło.

Naprawdę byłem przekonany, że to ta. Mimo to zadzwoniłem do pana Lucjana Andrieu i ogólnikowo wyjaśniłem, o co mi chodzi. Poprosił, żebym wpadł nazajutrz. Kiedy podawał mi adres — rue de Lourdines — wyobraziłem sobie dom, z którego ze mną rozmawiał, jako solidną, mieszczańską budowlę uczonego zajmującego się Flaubertem. Mansardowy dach przebity przez oeil-de-boeuf; różowawa cegła, wystrój w stylu drugiego cesarstwa; wewnątrz chłodna powaga, oszklone szafy na książki, wywoskowana posadzka i pergaminowe abażury; wdychałem męski, klubowy zapach.

Mój na chybcika zbudowany dom okazał się oszustwem, snem, fikcją. W rzeczywistości dom uczonego od Flauberta znajdował się po drugiej Stronie rzeki, w południowej części Rouen, w podupadłej dzielnicy, gdzie małe fabryczki przycupnęły między rzędami tarasowatych domów z czerwonej cegły. W tych uliczkach ciężarówki robiły wrażenie zbyt wielkich; ledwie parę sklepów i tyleż samo barów; jeden z nich proponował tête de veau jako swoje plat du jour. Kiedy dociera się już do rue de Lourdines, napotyka się znak drogowy wskazujący roueńską rzeźnię.

Monsieur Andrieu czekał na mnie przed wejściem do domu. Był to niski, starszy już mężczyzna w tweedowej marynarce, tweedowych pantoflach i tweedowym kapeluszu. W klapie marynarki miał trzy rzędkie kolorowych jedwabnych baretek. Zdjął kapelusz i uścisnął mi dłoń, potem z powrotem go włożył; jego głowa jest w lecie dosyć fragile — wyjaśnił. Miał pozostać w kapeluszu przez cały czas, jaki spędziłem w jego domu. Niektórzy mogliby uważać go za lekko stukniętego, ale ja — nie. Mówię to jako lekarz.

Ma siedemdziesiąt siedem lat — poinformował mnie — jest sekretarzem i najstarszym żyjącym członkiem Soci t  des Amis de Flaubert. Usiedliśmy po dwóch stronach stołu we frontowym pokoju, którego ściany obwieszane były bric- -brac: pamiątkowe talerze, medale ku czci Flauberta, obraz przedstawiający Gros Horloge, a namalowany przez samego pana Andrieu. Pokój był mały i zagracony, interesujący i osobisty: jakby schludniejsza wersja pokoju Felicjty albo pokoju w pawilonie Flauberta. Wskazał swój portret, narysowany przez przyjaciela; przedstawiał go jako rewolwerowca z wielką butlą calvadosu wystającą z kieszeni na biodrze. Powinienem być zapytać o powód tak srogiej charakterystyki mojego łagodnego, uprzejmego i jowialnego gospodarza, ale nie uczyniłem tego. Wyjąłem natomiast egzemplarz książki Enid Starkie *Flaubert: the Making of a Master* i pokazałem mu fronty spis.

— C'est Flaubert,  a? — zapytałem,  eby uzyskać ostateczne potwierdzenie.

Zachichotał.

— C'est Louis Bouilhet. Oui, oui, c'est Bouilhet. — Było widać,  e nie po raz pierwszy zadano mu to pytanie. Zasięgnąłem jeszcze u niego informacji co do jednego, mo e dwu ch szczegu w i wspomniałem o papudze.

— Ach, papuga. S  dwie.

— Tak. Czy wie pan, ktu ra jest prawdziwa, a ktu ra uzurpatorem? Znowu zachichotał.

— Muzeum w Croisset zało ono w 1905 roku — odparł. — W roku mojego przyj cia na  wiat. Naturalnie nie było mnie przy tym. Zgromadzili materiał, jaki udało si  im znale ć. C ż, sam pan widział. — Skinąłem potakuj co. — Niewiele. Mn stwo rzeczy uległo rozproszeniu. Ale kustosz doszedł do wniosku,  e jedn  rzecz mieć jednak mog , a mianowicie papug  Flauberta. Lulu. Tak wi c udali si  do Muzeum Historii Naturalnej i zapytali: Czy mogliby my odzyskać papug  Flauberta? Potrzebna jest nam do pawilonu. A Muzeum

odpowiedziało: Jasne, proszę za mną.

Monsieur Andrieu widać opowiadał już tę historię poprzednio, gdyż z góry wiedział, w którym miejscu należy zawiesić głos.

— Tak więc zaprowadzili kustosza w miejsce, gdzie przechowywali nie wystawiane zbiory. Chce pan papugę? — zapytali. Chodźmy zatem do działu ptaków. Otworzyli drzwi i ich oczom ukazało się... pięćdziesiąt papug. Une cinquantaine de perroquets!

Cóż zatem uczynili? Uczynili rzecz logiczną, rzecz mądrą. Wrócili w to miejsce z egzemplarzem *Prostoty serca* i przeczytali sobie podany przez Flauberta opis Lulu. — Dokładnie tak samo jak ja wczoraj. — A następnie wybrali papugę, która najbardziej pasowała do opisu.

Czterdzieści lat później, po ostatniej wojnie, zaczęto przygotowywać zbiory dla Hôtel-Dieu. Teraz oni przyszli do Muzeum i powiedzieli: Czy moglibyśmy mieć papugę Flauberta? Oczywiście — odparło Muzeum — do wyboru, do koloru; uważajcie tylko, byście wybrali właściwą. Tak więc oni także zajrzeli do *Prostoty serca* i wybrali papugę, która najlepiej pasowała do opisu podanego przez Flauberta. I w ten sposób mamy dwie papugi.

— Tak więc pawilon w Croisset, który pierwszy dokonywał wyboru, musiał wziąć prawdziwą papugę?

Pan Andrieu przybrał wymijający wyraz twarzy. Zsunął swój tweedowy kapelusz nieco bardziej na tył głowy. Wyjąłem moje fotografie.

— Ale jeśli tak, co z tym? — Zacytowałem znany opis papugi i wskazałem, że w wersji z Croisset nie zgadza się głowa i podgardle. Niby dlaczego papuga wybrana w drugiej kolejności bardziej przypomina tę z książki niż papuga wybrana jako pierwsza?

— No tak. Musi pan jednak pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, Flaubert był artystą. Był pisarzem i korzystał ze swojej wyobraźni. I mógł zmienić fakty, żeby uzyskać lepszą kadencję zdania; taki przecież był. Czy stąd, że wypożyczył papugę, wynika, iż musiał ją opisać tak, jak wyglądała? Dlaczego nie miałby przestawić kolorów, jeśli dzięki temu zdanie brzmiało mu lepiej?

Po wtóre, Flaubert zwrócił papugę do muzeum po napisaniu opowiadania. Było to w 1876 r. Pawilon założono dopiero trzydzieści lat później. Wie pan, wypchane zwierzęta są zagrożone przez mole. Rozpadają się. W końcu papuga Felicjty rozpadła się, prawda? Wysypało się z niej to, czym ją wypchano.

— Tak.

— I być może w miarę upływu czasu zmieniają kolor. Oczywiście

nie jestem ekspertem w dziedzinie wypychania ptaków.

— Tak więc uważa pan, że każda z tych dwóch może być prawdziwa? A również jest całkiem prawdopodobne, że żadna.

Rozłożył powoli dłonie na stole w uspokajającym geście zaklinacza. Zadałem ostatnie pytanie.

— Czy pozostałe papugi są nadal w Muzeum? Wszystkie pięćdziesiąt?

— Nie wiem. Nie sędzę. Musi pan wiedzieć, że w latach dwudziestych i trzydziestych, za mojej młodości, panowała wielka moda na wypchane zwierzęta i ptaki. Ludzie trzymali je w salonach. Uważali, że są ładne. Tak więc mnóstwo muzeów sprzedawało tę część swoich zbiorów, którą uważało za niepotrzebną. Po co mieli trzymać pięćdziesiąt papug znad Amazonki? Tylko niszczały. Nie wiem, ile ich mają w tej chwili. Myślę, że pozbyli się większości.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. U stóp schodów pan Andrieu uchylił kapelusza, na krótko wystawiając swoją wrażliwą głowę na sierpniowe słońce. Byłem zadowolony i jednocześnie rozczarowany. Miałem odpowiedź i nie miałem jej; był to i nie był koniec. Tak samo jak ostatnie uderzenie serca Felicjty, historia obumierała „jak wysychająca fontanna lub zanikające echo”. Cóż, tak może być powinno.

Nadszedł czas wizyt pożegnalnych. Jak przystało na sumiennego lekarza, dokonałem obchodu trzech posągów Flauberta. Jakże się miewał? W Trou ville wąsy nadal wymagały reperacji, aczkolwiek łąta na prawym udzie mniej rzucała się w oczy. W Barentin lewa noga zaczyna pękać, w rogu marynarki jest dziura, a górna część tułowia porosła mchem; patrzyłem na zielone plamy na piersi; przymykając oczy, próbowałem wyobrazić go sobie w roli kartagińskiego tłumacza. W Rouen, na place des Carmes, jest, jeśli chodzi o strukturę, bez zarzutu, ufny w swój stop składający się w 93 procentach z miedzi i w 7 procentach z cyny; ale nadal jest pokryty bruzdami. Wydaje się, że rok po roku wylewa miedziane łzy, które kreślą jasne smugi na szyi. Nie jest to takie niestosowne: Flaubert miał zawsze łzy tuż pod powiekami. Te łzy spływają po jego ciele, przyodziewając go w fantazyjną kamizelkę i kreśląc wąskie prążki na nogach, jakby był ubrany w sztuczkowe spodnie. To także nie jest niestosowne: przypomina, że w takim samym stopniu lubił życie salonowe, co ustronie w Croisset.

Kilkaset jardów na północ, w Muzeum Historii Naturalnej, zaprowadzono mnie na górę. Spotkała mnie niespodzianka: przypuszczałem, że zbiory nie wystawione trzyma się zawsze w piwnicach. Ale w dzisiejszych czasach na dole urządzili pewnie centrum

nauki i rozrywki: kafeterie, plansze na ścianach, gry komputerowe i wszystko, co ułatwia naukę. Dlaczego z taką gorliwością zmieniają uczenie się w grę? Chcą, żeby było czymś dziecięcym, nawet jeśli chodzi o dorosłych. Szczególnie jeśli chodzi o dorosłych.

Było to małe pomieszczenie, może osiem stóp na dziesięć, z oknami po prawej stronie i półkami po lewej. Pomimo górnego oświetlenia, w tej krypcie grobowej na najwyższym piętrze panował mrok. Aczkolwiek nie był to, jak sądzę, w pełni grobowiec: niektóre z tych stworzeń zostaną znowu wyniesione na światło, by zastąpić zjedzonych przez mole albo niemodnych już kolegów. Było to więc pomieszczenie dwuznaczne, półkostnica, półczyściec. Unosił się tu także dosyć nieokreślony zapach: coś pośredniego między szpitalem a sklepem z wyrobami żelaznymi.

Wszędzie, gdzie spojrzałem, były ptaki. Półka za półką — ptaki pokryte warstwą białego środka owadobójczego. Skierowano mnie do trzeciego rzędu. Ostrożnie przecisnąłem się między półkami, a następnie spojrzałem pod ostrym kątem do góry. Stały tam rzędem papugi znad Amazonki. Z niegdyś pięćdziesięciu pozostały trzy. Jaskrawość ich ubarwienia została przytłumiona środkiem owadobójczym. Patrzyły na mnie niby trzy figlarne, bystrookie, okryte łupieżem, niecne staruchy. Wyglądały również — muszę przyznać — na odrobinę zbzikowane. Przypatrywałem im się przez dłuższą chwilę, a potem wymknąłem się z tego miejsca.

Może była to któraś z nich.

„Czytelnik’*, Warszawa 1992. Wydanie I

Ark. wyd. 9,7; ark. druk. 18,25

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków

Zam. wyd. 957; druk. 3332/91

Printed in Poland

Przypisy

Bez ustanku mieć wzwód!” [1]

[1] Cytaty z Flauberta zostały porównane w miarę możliwości z francuskimi oryginałami i wszystkie przekłady są autorstwa

tańczył; Gustaw nie tańczył; Flaubear [2]

[2] Bear to po angielsku niedźwiedź (przyp. tłum.).

Zacznijmy od tego, że papugi [3]

[3] Papuga to po angielsku parrot (przyp. tłum.).

